

Prof. Andrzej Romanowski
O relacjach polsko-niemieckichKs. Olszewski
– aferzysta w aureoli świętegoPaweł Siergiejczyk
Czy Tusk jest liberałem?Internetowa przemoc
– ciemna strona szkoły**Prof. Henryk
Skarżyński**twórca
Światowego
Centrum Słuchu
w Kajetanach

PREŻNA NAUKA TO SILNE PAŃSTWO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



• TEATR CAPITOL •

NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY

Boeing Boeing

AUTOR
Marc
Camoletti

PRZEKŁAD
Bartosz
Wierzbicka

REŻYSERIA
Wojciech
Adamczyk

PREMIERA

LISTOPAD 2024



Dagmara Bryzek Dorota Chotecka Maria Dejmek Katarzyna Gałązka Barbara Garstka Katarzyna Kołeczek
Beata Olga Kowalska Maja Kowalska Mikołaj Krawczyk Michał Mikołajczak Józef Pawłowski Adrian Zaremba

• KUP



• www.teatrcapitol.pl •

Patroni Medialni



TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 41d5953032



Scenariusz katastrofy

Rozłam w partii Razem na nowo rozbudził dyskusję o przyszłości lewicy i o jej miejscu na scenie politycznej. I również o polskiej polityce.

Zacznijmy więc od polityki. Pęknięcie w Razem skomentował na portalu X premier Donald Tusk: „Prawo i Sprawiedliwość i Razem – te nazwy partii wymyślił ktoś obdarzony nieprzeciętnym poczuciem humoru. Czarnego”.

W takim razie do tej dwójki doskonale pasuje Koalicja Obywatelska – bo ani ona obywatelska, ani koalicja. Ale tego już Donald Tusk nie zauważył.

I taka jest dzisiaj polityka. Liczy się zaczepka, przyciągnięcie uwagi. Wskazanie palcem. O reszcie można zapomnieć, bo za chwilę będzie jakieś nowe wydarzenie. By skutecznie działać w takich warunkach, partia polityczna musi się skupić na dwóch elementach. Po pierwsze, musi być blisko swoich wyborców, współpracować i być z nimi związana, aby byli uodpornieni na takie i inne wrzutki. Tak jak uodpornieni są wyborcy PiS, twardo wierzący w Jarosława Kaczyńskiego i jego słowa. Po drugie, musi mieć inteligentnych, szybko reagujących liderów, którzy potrafiliby na zaczepki odpowiadać, a także sami kreować wydarzenia.

Szkopuł w tym, że żaden z tych elementów nie jest dziś w partiach lewicowych obecny. Ani Lewica, ani Razem nie są blisko swoich wyborców. To partie żyjące swoim życiem, bo na pewno nie życiem swojego elektoratu. Nie mają też liderów, którzy reagowaliby

inteligentnie i szybko. Jesteśmy więc świadkami fenomenu. Mamy niemałą grupę wyborców, 20-25%, którzy deklarują poglądy lewicowe, i partie, które tak się określają, a zbierają i w wyborach, i w sondażach 6-7%. Coś tu nie działa. I wiadomo co. A raczej kto. Pisaliśmy o tym w „Przeglądzie” – najstarszym ogniwem są liderzy lewicy.

Adrian Zandberg swoje wielkie dni miał w roku 2015, kiedy w telewizyjnym występie usunął w cień Barbarę Nowacką i tym samym zepchnął pod ośmioprocentowy próg koalicję SLD oraz partii Palikota. Jakiego postępu od tego czasu dokonał? Ilu nowych wyborców zdobył? A jak chce ich zdobywać w roku wyborów prezydenckich, czyli kolejnej polaryzacji? Będzie wołał, żeby więcej dać z budżetu, i tak rekordowo deficytowego? Podobnie jest z Robertem Biedroniem, który już dawno porzucił krajową politykę na rzecz wygodnego życia za granicą razem z partnerem.

A Włodzimierz Czarzasty? Szefuje SLD (później Lewicy) od stycznia 2016 r., czyli już prawie dziewięć lat. Jest jakąś wartością dodaną? Po serii klęsk wyborczych zapowiadał, że zwolni miejsce przewodniczącego. A przecież wiadomo, że nie zwolni. Skończy się to tym, że gdy łagodnie wpłynie pod próg wyborczy, ministrowie i posłowie zostawią go razem z Anną Marią Żukowską i odejdą w poszukiwaniu nowego życia politycznego.

Lewica ma już napisany scenariusz nadchodzącej katastrofy. Bardzo jestem ciekaw, czy znajdzie się ktoś, kto ten scenariusz odwróci.



NA JESIENNE WIECZORY

Kupuj teksty z ARCHIWUM

Znajdziesz w nim wszystko od początku istnienia PRZEGLĄDU

tygodnikprzeglad.pl

OTRZYMASZ DOSTĘP DO BIEŻĄCEGO I ARCHIWALNYCH NUMERÓW

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Prężna nauka to silne państwo**
– rozmowa z prof. Henrykiem Skarżyńskim
- 11 Kongres „Zdrowie Polaków” 2024**
Nauka w służbie społeczeństwu
- 13 Męczeństwo księdza Olszewskiego**
Rozmodleni aferzyści
Funduszu Sprawiedliwości
- 16 Ciemna strona szkoły**
O czym nie wiedzą rodzice ani dyrekcje
- 19 Sto lat to za mało!**
Jubileusz prof. Werblana
- 24 Uchodźcy. Rezk Alkabak**
Ucieczka to sieć kontaktów
- 32 Komu bije dzwon**
I o ile za głośno

OPINIE

- 20 Paweł Siegiejczyk**
Czy Tusk jest liberałem?

HISTORIA

- 28 Odwieczny wróg?**
– rozmowa
z prof. Andrzejem Romanowskim

ZAGRANICA

- 34 Konserwatyści rządzą tylko raz**
Litwini wybrali nowy Sejm
- 37 Kraj jałowych wyborów**
Czy w Bułgarii powstanie stabilny rząd?
- 40 Cuda z opóźnieniem**
Budowy za drogie nawet dla Saudyjczyków

SPORT

- 44 Madrycki spleen**
Złota Piłka dla Rodriga

KULTURA

- 46 Architektura narzędziem obrotu kapitału**
– rozmowa z Filipem Springerem
- 50 Culturalia**
- 52 Pierwsze znaki**
Farba powstała 100 tys. lat temu
- 58 Witos nie tylko na poważnie**
Karykatury, plakaty, figurki
- 66 Zofia Błażko. Piękno melancholii**

PSYCHOLOGIA

- 55 Z tego się nie wyrasta**
– rozmowa z dr. Jarosławem Józwiakiem

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Robert Walenciak**
Scenariusz katastrofy
- 23 Roman Kurkiewicz**
Paroksyzmy prezydenta
- 43 Tomasz Jastrun**
Kłosek czy sztuka
- 51 Wojciech Kuczok**
Zapasy duchowe na zimę



44
SPORT

MADRYCKI SPLEEN

Złota Piłka dla Rodriga



46
KULTURA

ARCHITEKTURA NARZĘDZIEM OBROTU KAPITAŁU

– rozmowa z Filipem Springerem



55
PSYCHOLOGIA

Z TEGO SIĘ NIE WYRASTA

– rozmowa
z dr. Jarosławem Józwiakiem

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 41d5953032



✉ 100-lecie prof. Andrzeja Werblana

Gratulacje i najlepsze życzenia dla świadka-kreatora historii i rzecznika prawdy historycznej, Andrzeja Werblana.

Andrzej Lam

Można go lubić lub nie, natomiast należy go czytać, ponieważ jest encyklopedią wiedzy o Polsce Ludowej i procesach w niej zachodzących. Ja go bardzo cenię, chociaż nie ze wszystkimi ocenami politycznymi się zgadzam. Nie uważałem nigdy prof. Werblana za komunistę. Być może był nim na początku swojej drogi politycznej, chociaż i tu mam wątpliwości. To klasyczny realista polityczny, rozumiejący procesy, miejsce i czas. Jeden z nielicznych publicystów w III RP, który zrozumiał, co jest najważniejsze w myśli Romana Dmowskiego. Werblan ma umiejętność wyławiania tego, co najistotniejsze. Tak jest również w przypadku Władysława Gomułki, Aleksandra Bocheńskiego czy gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

Łukasz Jastrzębski

f Udręka 14 mln Polaków

Demontaż transportu publicznego rozpoczął się wiele lat temu i nie ma specjalnie czemu się dziwić. Władza powoli likwidowała przewoźników państwowych, a na ich miejsce wpuszczano firmy prywatne. Te z kolei interesują się tylko zyskiem, a skoro trasy były nierentowne, to kursy likwidowano. Politycy przez lata obiecywali wiele zrobić w tej materii, szczególnie Beata Szydło. Każdy temat jest dobry, aby wygrać wybory, a po wyborach – bez zmian. W budżecie zawsze brakuje kasy, tym bardziej że władza ma większe problemy, bo teraz liczy się tylko bezpieczeństwo, a 4,7% PKB na zbrojenia to dopiero poziom. Ludzie dzisiaj są bez znaczenia, potrzebni jedynie w czasie wyborów.

Andrzej Kościński

Zawiodło myślenie społeczne. Łatwiej „władcom” kupić kilkadziesiąt abramsów lub innego badziewia, niż przeciąć ten wrzód. Myśleli, że dopłacą do samochodów elektrycznych albo – tak jak teraz – do rowerów elektrycznych i będzie cacy. Nawet jak obiecają dopłacać do rakiet lub helikopterów, to i tak nie będzie cacy. Czytając ostatnie dwa zdania artykułu red. Kornela Wawrzyniaka, a mając na uwadze limuzyny rządowe i to, jak one wpływają na umysły przewożonych w nich „elementów władzy”, uważam, że powinno być wypisane na ścianach Sejmu, kancelarii premiera i prezydenta ku przestrodze i naprawie Rzeczypospolitej: „Polska jest dziś nie tylko bankrutem komunikacyjnym, ale przede wszystkim bankrutem moralnym. Państwem, które przez swoją nieudolność pogłębia nierówności społeczne, zamiast z nimi walczyć”.

Józef Brzozowski



ZDJĘCIE TYGODNIA



No to za zwycięstwo! Kamala Harris (z lewej) i gubernator stanu Michigan Gretchen Whitmer w Trak Houz Bar & Grill po wiecu wyborczym w Kalamazoo. 26 października 2024 r.

Nie 40 mln, jak powszechnie mówimy, lecz tylko **37,6 mln** liczyła ludność Polski na koniec 2023 r.

Dochody państwa w bieżącym roku będą na poziomie **626 mld zł** i są mniejsze od planowanych. **Deficyt w budżecie został zwiększony do 240 mld zł.**

Coraz bardziej wolne są media w USA, tak wolne jak „Washington Post”, którego właściciel Jeff Bezos, twórca Amazona, zabronił publikacji tekstu wspierającego w wyborach Kamalę Harris. Podobnie postąpił miliarder Patrick Soon-Shiong, właściciel „Los Angeles Timesa”.

Instytut Gallupa podał, że 84% Amerykanów głosujących na demokratów uważa, że proces głosowania i liczenia głosów jest „wiarygodny lub raczej wiarygodny”. Wśród wyborców popierających republikanów – tylko 28%.

Komisja ds. wpływów rosyjskich kierowana przez gen. Jarosława Stróżyka uznała, że **Antoni Macierewicz dopuścił się „zdrady dyplomatycznej”**.

Ks. Michał Olszewski, wypuszczony z aresztu za kaucją 350 tys. zł, ma na sumieniu wydawanie otrzymanych z Funduszu Sprawiedliwości pieniędzy na wsparcie własnej rodziny. Matka Grażyna dostała od niego 152 tys. zł, a ojcu Janowi „pożyczył” 100 tys. zł. Ponad 1 mln wydał na restaurację, zakupy w sklepach i hotele. Politycy PiS i ich media budują na przestępstwach tego aferzysty mit męczennika (**więcej na s. 13**).

W ciągu sześciu i pół miesiąca tego roku policja

zatrzymała w Warszawie **1045 kierowców prowadzących pod wpływem alkoholu**, 120 pod wpływem narkotyków i 329 z sądowym zakazem prowadzenia pojazdów.

Po 56 latach kierowania Orkiestrą Kameralną Polskiego Radia Amadeus jej założycielka **Agnieszka Duczmal przekazała batutę córce Annie Duczmal-Mróz.**

Maria Halber, autorka powieści „Strużki”, została wyróżniona przez jury **Nagrody Conrada** za najlepszy prozatorski debiut roku.

Minister sprawiedliwości Adam Bodnar domaga się od byłego premiera Mateusza Morawieckiego przeprosin za przypisanie mu odpowiedzialności za ugodzenie nożem polskiego żołnierza na granicy z Białorusią. W pozwie domaga się też wpłaty 10 tys. zł na WOŚP.

Mimo wysokiej pensji dla szeregowego w czasie zadań na Ukrainie (190 tys. hrywien, czyli ok. 19 tys. zł) do formowanego w Polsce legionu ukraińskiego zgłosiło się tylko ok. 300 chętnych. Zbyt mało, by rozpocząć szkolenie wojskowe.

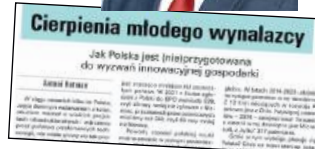
351 tys. wniosków o azyl złożono w Niemczech w 2023 r. Do tego dochodzi 1,2 mln uchodźców z Ukrainy i 250 tys. migrantów, którzy powinni zostać odesłani do swoich krajów.

Przychody klubów piłkarskiej PKO BP Ekstraklasy w sezonie 2023/2024 przekroczyły miliard złotych (1,168 mld). Największe miała Legia Warszawa (267 mln zł), a po niej Lech Poznań (123 mln) i Raków Częstochowa (114 mln).

PRZEBŁYSKI

Pytanko do ministra Wieczorka

Ludzie listy piszą do władz, a władze się dziwią, że chce im się tracić czas. Nasz szef o tym wie i nie pisze do tych różnych, ciągle zmieniających się ministrów. Ale zdarzyło się coś, co go zmusiło do napisania listu do Dariusza Wieczorka, ministra nauki. To coś to los młodego polskiego wynalazcy z patentem, który w naszym kraju nic z nim nie może zrobić. Poszedł więc w sierpniu list do ministra. I do listopada nic. Jak to mówi Węłesa: ani be, ani me, ani kukuryku. Może więc list nie dotarł do spracowanych rąk ministra? Może jeszcze są w resorcie jacyś dywersanci z poprzedniej ekipy i list spuścili do kanału? A może Poczta Polska, która po rządach Tomasza Zdzikota, prawej ręki Macierewicza, ledwo zipie, list zgubiła? Wariantów może być wiele. Najsmutniejszy byłby taki, że w tym ministerstwie cierpienia młodego wynalazcy nikogo nie obchodzą.



Lwica Lewicy od Petru do Zalewskiej

Joanna Izabela Scheuring-Wielgus z domu Bąkowska jest bez wątpienia kobietą zaradną. A w polityce skłoną do szybkiej zmiany partyjnych koszulek na te, z którymi wiąże się większe profity. W ciągu paru lat potrafiła przeskoczyć z zarządu Nowoczesnej Ryszarda Petru do rady krajowej Lewicy Włodzimierza Czarzastego. Wolta iście cyrkowa. Ale opłacalna. Bo po ograniu naiwnych lewicowców trójka (Biedroń, Śmiszek, pani Joanna) z Wiosny trafiła do Brukseli. Przebojowa wiośnianka potrafiła nawet papieżowi wcisnąć na audiencję przestępcę. Oszukany Franciszek pocałował go w rękę. Czy może więc dziwić obrazek z kulis Parlamentu Europejskiego – Scheuring-Wielgus obściskująca się z Anną Zalewską z PiS? Tak, właśnie z tą była minister edukacji.

Jakby PiS wróciło do władzy, pani Joanna Scheuring-Wielgus będzie miała przyczółek. Pokazała przecież, że umie zagrać każdą rolę.

Wędrowniki pośta Ociepy

„Ja jestem prosty chłopak”, zażartował w trakcie rozmowy w Polsat News Marcin Ociepa. Z widzów może sobie Ociepa robić ją, ale tylko z tych, którzy mają bardzo krótką pamięć. Dla reszty to polityczny wędrowniczek. Gdzie już nie był! Od Chrześcijańskiego Bloku Samorządowego, Prawicy Rzeczypospolitej po partię Polska jest Najważniejsza i Polska Razem, a później Porozumienie. Zaufał mu, na swoje nieszczęście, Jarosław Gowin. Załatwił mu stanowisko wiceministra najpierw rozwoju, a później obrony narodowej. Ale gdy Gowin przestał być wicepremierem, Ociepa porzucił go szybko. Kaczyński, by mieć większość w Sejmie, kupił go sobie do kolekcji. Taki to z Ociepy prosty chłopak. Prawdą jest tylko to, że jego wiedza o wojsku jest tak prosta jak konstrukcja drewnianej kolby karabinu.





PYTANIE TYGODNIA | Jakie szanse ma Razem jako samodzielny byt polityczny?

DR HAB. WOJCIECH PESZYŃSKI,
politolog, UMK

Okres szans na samodzielny byt polityczny już minął. Pojawił się dziewięć lat temu po słynnej debacie telewizyjnej, w której bardzo dobrze wypadł Adrian Zandberg. Ten potencjał został jednak zmarnowany – to po pierwsze. Po drugie, to partia nastawiona na problemy społeczne, a nie światopoglądowe. Takich lewic pod prawicowymi szyldami mamy mnóstwo, dlatego Razem nie zaistnieje w wyścigu na pomysły socjalne. Po trzecie, w polityce bardzo ważne są pieniądze. Wychodząc z koła Lewicy, Razem traci subwencje. Po czwarte, Zandberg Razem nie uratuje. Chociaż jest piekielnie inteligentny, przez ostatnie lata się leni. Gdyby był bardziej pracowity, mógłby się wybić z partią na niepodległość. Obecnie nie widać jednak szans na przetrwanie.

JACEK ŻAKOWSKI,
dziennikarz, „Polityka”

To jest nieprzewidywalne. W wyborach 2027 r. raczej będzie trudno. A co dalej, zależy od tego, na ile lewicowa będzie koalicja Nowej Lewicy z Koalicją Obywatelską i Trzecią Drogą.

PROF. JAROSŁAW FLIS,
socjolog, UJ

Na razie mało wskazuje na to, żeby Razem miało szanse na samodzielny byt. Podejmowano próby, lecz ani wyniki z 2015 r., ani wyniki z wyborów do europarlamentu nie dowodziły, że to ugrupowanie może liczyć na poparcie większe niż 3-4%. Co istotne, za każdym razem pojawia się konkurencja odwołująca się do podobnego elektoratu. Choćby w 2015 r. lista Zjednoczonej Lewicy czy lista Nowoczesnej. Twierdzenia fanklubów PiS i PO, że tylko dwie partie się liczą, a wszystko zmierza do polaryzacji, nie są prawdą. W kraju wielkości Polski z tym konkretnym systemem wyborczym i rodzajem podziału społecznego jest miejsce na cztery,

a nawet pięć partii. Tylko która formacja będzie tą piątą? Patrząc na pierwotną siódmkę posłów Razem, mieliśmy pięć osób z Warszawy, jedną z Krakowa i jedną z Kutna. Nie minął rok, a ta ostatnia już znalazła się poza klubem. Pytanie, czy da się robić politykę na placu Zbawiciela.

DR MATEUSZ ZAREMBA,
politolog, USWPS

Szanse nie są zbyt wielkie. Razem wypłynęło dzięki sukcesowi Adriana Zandberga po debacie w październiku 2015 r. Ale tak naprawdę uzyskiwało wówczas jednoprocentowe wyniki. Szanse ta partia miała wspólnie z Lewicą. Warto pamiętać, że wszystkie lewicowe twory partyjne, które próbowały być samodzielnymi bytami, zazwyczaj upadały, vide tzw. borówki. Nie zapominajmy też o bardzo istotnym czynniku: na osi lewica-prawica mamy przewagę osób sytuujących się bardziej na prawo. Warto mieć to z tyłu głowy, kiedy się myśli o ewentualnym kliencie politycznym lewicy.

PREŻNA NAUKA TO SILNE PAŃSTWO

W Kajetanach wykonujemy najwięcej na świecie operacji poprawiających słuch

Rozmawia Robert Walenciak

Wielokrotnie mówił pan, że spotykał na swojej drodze świetnych ludzi. Ale ci ludzie się nie ukrywają, każdy ma szansę ich spotkać, może więc chodzi o umiejętność ich przyciągnięcia, współpracy, wyciągnięcia tego, co najlepsze?

– Wobec innych uwiarygadnia mnie fakt, że w pierwszej kolejności wymagam od siebie. Tak jestem ukształtowany, to jest zgodne z moją wewnętrzną naturą, z etosem pracy, który otrzymałem od rodziców. Każdy widzi, że się nie objam. Ciągła praca nad sobą przenosi się na zespół. Jeżeli człowiek nie pracuje nad sobą, nie będzie umiał pracować z zespołem. A w pojedynkę dużo się nie działo. Jeżeli ktoś nie ma zaplecza, sztabu, który z nim pracuje, to o sukces jest ekstremalnie trudno.

A co jest sukcesem?

– W tej pracy nie chodzi o błysk. Jeżeli ktoś mnie pyta, dlaczego ośrodek w Kajetanach nazywa się Światowe Centrum, czy to nie jest megalomania, przesada, odpowiadam, że światowych centrów handlu jest wiele na świecie, światowych centrów słuchu



PROF. HENRYK SKARŻYŃSKI

Prof. Henryk Skarżyński – uznany ekspert, innowator, naukowiec, lekarz kilku specjalności. O wymiarze jego osiągnięć naukowych świadczy ponad 5 tys. publikacji krajowych i zagranicznych, w tym 66 monografii, 130 rozdziałów w monografiach i ponad 4 tys. doniesień zjazdowych. Dla wielu kluczowych haseł indeksowych jest na pierwszym miejscu lub w pierwszej piątce najczęściej cytowanych autorów we współczesnej literaturze. Autor ponad tysiąca doniesień popularnonaukowych, scenariuszy filmowych i wierszy poświęconych pacjentom. Napisał dwa libretta do musicalu.

Jako lekarz klinicysta wykonał przeszło 240 tys. procedur chirurgicznych i od ponad 20 lat corocznie przeprowadza z zespołem najwięcej w świecie operacji poprawiających słuch. Łącznie wprowadził do praktyki klinicznej ponad 150 nowych rozwiązań. O skali jego dokonań organizacyjnych świadczy wybudowanie największego międzynarodowego ośrodka w swoich specjalnościach – Światowego Centrum Słuchu.

Osobistą i zespołową działalność profesora dostrzegły międzynarodowe kapituły i towarzystwa naukowe, gospodarcze i kulturalne. Został uhonorowany 463 razy, w tym odznaczeniami państwowymi prezydenta RP, prezydentów Gruzji i Ukrainy, króla Belgów, Unii Europejskiej, władz Kirgistanu i Bangladeszu oraz medalami przyznanymi przez papieża Franciszka i prymasa Polski. Jest doktorem honorowym czterech ośrodków uniwersyteckich w Polsce, profesorem honorowym w trzech ośrodkach: w USA, Europie i Azji, członkiem honorowym i pierwszym Polakiem w wielu towarzystwach naukowych o zasięgu światowym.

Pasje artystyczne profesora znajdują wyraz chociażby w organizacji Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego „Ślimakowe Rytm”. W dziesięciu edycjach wydarzenia wystąpiła plejada uzdolnionych wokalistów i muzyków pacjentów, którzy odzyskali słuch.

też może być wiele. Ale jeżeli czegoś robimy najwięcej w świecie, a często jako pierwsi, mamy tytuł, by powiedzieć, że to światowe centrum. Poza tym użycie takiej nazwy to ogromna mobilizacja, to mnie napędza, by pokazywać to, co nowe, wyznaczać perspektywy i kierunki rozwoju. Mam naturę realnego optymisty, który szuka nowych wyzwań. Siedzimy w sali, gdzie wieczorem odbędzie się kolejny wykład dla ludzi z różnych stron świata, będziemy tym osobom przedstawiali nasze osiągnięcia. To młodzi ludzie, mają specjalizację, ale chcą ją rozwinąć w zakresie chirurgii ucha, chcą zobaczyć nasze operacje na żywo. We wtorek będzie kilkadziesiąt operacji do pokazania. Ogromny wysiłek. Organizujemy to po raz 81.

Po raz 81. przyjeżdża kilkadziesiąt osób popatrzeć, jak pracujecie?

– Tak, a my chcemy, żeby oni to zobaczyli i mogli powtórzyć u siebie – co zresztą robią, piszą prace. Nawiasem mówiąc, z tego obszaru medycyny jestem najczęściej cytowanym autorem w pracach naukowych w międzynarodowym piśmiennictwie.

To ważne?

– Patrząc szerzej na osiągnięcia współczesnej nauki – jeżeli nie jesteś cytowany, nie jesteś uwzględniany w rankingach, to znaczy, że albo nie umiałeś pokazać, co potrafisz, albo nie umiałeś tego utrwalić. Czyli cię nie ma. Jeżeli od ponad 20 lat wykonujemy najwięcej na świecie operacji poprawiających słuch, daje mi to poczucie, że mamy jeden z najważniejszych wkładów w obecny międzynarodowy rozwój tego obszaru medycyny i nauki, wyznaczamy trendy. W praktyce to oznacza, że jesteśmy znakomitym partnerem do współpracy i wdrażania nowych rozwiązań, dzięki czemu Polacy mają dostęp do najnowszych technologii, jako jedni z pierwszych albo pierwszych. Jeszcze w tym roku, na początku grudnia, będziemy wsczepiali najnowsze urządzenia, które w tej chwili się pokazują. Jako pierwsi.

A druga strona medalu? Zespół?

On też musi być najlepszy.

– Tak, dla pacjentów, to nasza misja. Jeżeli zdecydowaliśmy się na ten zawód, mamy robić najlepiej jak

potrafimy dla drugiego człowieka. Patrząc na pacjentów, którzy do nas przychodzą, jak na osoby, które nie przychodzą tu do kawiarni, tylko do szpitala. Chciałbym, żeby w szpitalu czuli się jak najlepiej, by zminimalizować uczucie lęku. Łatwo o tym się mówi, trudniej reagować na bloku operacyjnym, kiedy ma się ułamki sekund na działanie.

Mikrochirurgia wymaga szczególnej precyzji i koncentracji. Nie ma tu miejsca na nerwy czy zawahanie.

To pańskie słowa.

– Mikrochirurg musi mieć idealnie wytrenowaną, pewną i precyzyjną rękę. Żeby w odpowiednim momencie zawiesić dłoń nad mikroskopijnym elementem w uchu i kontrolować każdy ruch. Operacje wyczerpują. We wtorek pokażę kilkadziesiąt operacji, ale nie będę robił wszystkich sam. Zacznę jedną, przeprowadzę ją od początku do końca. Potem będziemy pracować w zespole. Tu każdy wie, do którego momentu co ma robić. Zespół idący na blok operacyjny

Przygotowywałem się przez dwa lata, żeby wprowadzić do Polski program leczenia głuchoty.

w 99% zna pacjenta, jest przygotowany. To ważny element planu działalności szpitala – żeby lekarz się nie bał, że go coś zaskoczy, że nie potrafi wykonać jakiejś czynności. Oczywiście zawsze coś może zaskoczyć. Ale chodzi o to, żeby nie siedział na bloku operacyjnym ze strachem, że trafi mu się operacja, której nie robi. I by miał poczucie, że jest ktoś starszy, bardziej doświadczony, kto w każdej chwili podejdzie i pomoże. Nie jesteśmy wielkim zespołem. W stosunku do operacji, które przeprowadzamy, stanowimy wręcz mikrozespół.

Ile osób ten zespół liczy?

– Jeżeli jest pięć sal, to jest pięciu głównych operatorów. Bywa, że u czterech są osoby, które się uczą, i inni, którzy się szkolą. Tu nigdy nie było przerostu zatrudnienia. Wychodził z założenia, że jeżeli świadomie stać nas na to, byśmy zrobili to samo mniejszą grupą, to niech ci, którzy są, zarobią lepiej. Mogę powiedzieć, że dyrektor Instytutu

Patologii Słuchu i szef Światowego Centrum Słuchu nigdy nie był najlepiej zarabiającym człowiekiem w tym zespole. To świadczy, że pracują tu ludzie, którzy chcą coś z siebie dać.

Jak to jest, że polska otolaryngologia stanowi światową czołówkę, ale w wielu dziedzinach medycyny jesteśmy w ogniu? Brakuje człowieka, który pchnąłby daną dziedzinę? A może system źle zadziałał?

– Myślę, że jednak jest to kwestia ludzi. Tego, co chcą ze sobą zrobić, co chcą zrobić dla innych. Przywołałam sytuację z 1992 r. Przygotowywałem się przez dwa lata, żeby wprowadzić do Polski program leczenia głuchoty. Nie zdawałem sobie do końca sprawy ze skali problemu. Ani z tego, że świat lekarzy, psychologów, logopedów, pedagogów, inżynierów klinicznych to różne światy, które się nie spotykały na żadnych forach, nie przenikały. Nie do końca wiedziałem, jak oni muszą współpracować, żeby zawiązać zespół, ani jak ten zespół będzie się napędzał.

Zaczął pan spotykać się z nimi.

– Szybko zrozumieliśmy, że jeśli nie stworzymy odpowiedniego zaplecza, nic wielkiego się nie rozwinie. Ale chcieliśmy to stworzyć! Zaczynając program implantów w Polsce, byłem 20 lat za czołówką światową. Po pięciu latach, w 1997 r., pokazywałem w Stanach Zjednoczonych możliwości rozszerzenia ówczesnych wskazań do stosowania implantów z dziesiątek tysięcy na setki tysięcy oczekujących. Patrzyli na mnie z niedowierzaniem: o czym on mówi? A przedstawiłem to na podstawie naszych obserwacji, tego, co mówili rodzice po operacji ich dzieci, co powiedział logopeda, a co psycholog, na zwrócił uwagę inżynier. Dało to nam tak ogromny materiał, że mogłem powiedzieć: mamy szansę zrobić milowy krok. I zrobiliśmy go.

Dziś to pan jest czołówką.

– Zbudowaliśmy od podstaw Kajetany. Mamy kontakty z całym światem, pokazujemy operacje, ▶



▶ prowadzimy unikatowe międzynarodowe warsztaty szkoleniowe. Za nami jest siedem światowych bądź europejskich kongresów, które nam przyznano, przed nami pięć przyszłych. Łącznie w ciągu 30 lat zorganizowaliśmy ponad 150 różnych wydarzeń naukowych. A gremia światowe konkurują ze sobą. Nie jest tak, że ludzie wolą lecieć do Polski niż do Rio de Janeiro czy innych atrakcyjnych miast. Jeżeli więc chcą być u nas, to pokazuje, jakim szacunkiem nas darzą. I nasz wkład w światową medycynę.

30 lat ciężkiej pracy.

– Siedzimy w miejscu, w którym w 1995 r. rosła trawa. A ja pokazywałem w telewizji makietę i mówiłem, że tu będzie ośrodek. Mało kto wierzył, że się uda. Pytano, dlaczego tak daleko od Warszawy, kto tu dojedzie. Odpowiadałem, że z lotniska bliżej będzie tutaj niż do Warszawy! Dlaczego z lotniska? – pytali. Bo jak będą przyjeżdżali ludzie z zagranicy, będą mieli z lotniska bliżej – mówiłem. Budziło to zdziwienie. Ale niektórzy wierzyli. Przypomnę dwóch. Pierwszym był ówczesny szef Mayo Clinic w Rochester, największego amerykańskiego centrum medycznego, komercyjnego. Nie są uniwersyte-tem, ale szkołą, wyznaczają kierunki

dla medycyny w Stanach Zjednoczonych. Kiedy ów szef tu był i zobaczył jedynie dach i zarysy, powiedział, że on widzi Mayo Clinic pod Warszawą. Druga osoba to prof. Józef Zwiśtocki, wnuczek prezydenta Mościckiego. Spotkaliśmy się na kongresie w Melbourne. Przegadaliśmy mnóstwo godzin, opowiedziałem mu, co chcemy zbudować. Przyjechał w 1995 r. na konferencję, na której prezentowałem makietę ośrodka.

Tu, gdzie rosła trawa.

– Tak! Przywieźliśmy akt erekcyjny podpisany przez premiera Józefa Oleksego, który nie mógł dojechać, ale obecna była jego żona Maria. I przyjechał Józef Zwiśtocki, wielki naukowiec. Poruszenie było ogromne, gdy mówił, że to jest prawdziwe, że chce dożyć tego momentu, a był w słusznym wieku, kiedy centrum będzie funkcjonowało, i wygłosić wykład. Dożył! Mam zdjęcia i filmy, jak Józef chodzi tu po korytarzach i ogląda. Czuł, że to coś wielkiego i trwałego. Zaraził się naszym optymizmem i był naszym ambasadorem wprowadzającym nas na salony świata naukowego.

Centrum efektownie się prezentuje i w środku, i na zewnątrz.

– Staram się, żeby otoczenie Światowego Centrum Stuchu

było zielone, wypielęgnowane, żeby trawa była skoszona. Po co? Ludzie w takim otoczeniu lepiej się czują, widzą zresztą ich reakcje. Kiedy jest maj i kwitną rododendrony, przyjeżdżają młode pary, dzieci idące do pierwszej komunii i robią sobie zdjęcia.

Jeżeli otoczenie dobrze wygląda, można mniemać, że w środku też wszystko jest na poziomie.

– Wjeżdżając, człowiek ocenia, czy jest tutaj jakaś ręka gospodarza. Przywiązuję do takich spraw ogromną wagę. Trudno mi się pogodzić z tym, że gdzieś w szpitalu widzę poodrywane płytki. Nie stać szpitala, żeby je przykleić? Niemożliwe! To kwestia pewnej dbałości. Ja tę dbałość przenoszę na operacje, gdzie bez troski o najmniejsze detale efektów by nie było. Przecież nie mogę powiedzieć pacjentowi, że zrobiłem doskonałą operację, kiedy on mi odpowiada: ale ja nie słyszę.

Kolejna pańska inicjatywa to kongresy poświęcone ochronie zdrowia i nauce. Odnoszę wrażenie, że chciałby pan wejść do debaty publicznej z przesłaniem: zacznijmy mówić o sprawach ważnych, o zdrowiu, nauce, przestańmy zaśmiecać sobie głowy sensacją czy awanturami politycznymi.

– Jak mnóstwo innych osób irytuję się tym, jak wielki priorytet nadaje się wydarzeniom typu ukradł, zabił, a jak mało uwagi przywiązuje się do spraw najważniejszych: rozwoju nauki, zdrowia, budowania dobrych relacji międzyludzkich.

Można z tym się przebić, narzucić tematy w debacie publicznej?

– To moja kolejna misja. Dać przykład, że potrafimy rozmawiać o najtrudniejszych sprawach, cieszyć się, że inni osiągają sukcesy, by ich naśladować. Formuła kongresu „Zdrowie Polaków” jest otwarta. Ma kształtować zachowania prozdrowotne społeczeństwa. Będziemy mówili dużo o tym, co nauka daje medycynie. Jako przewodniczący Rady Głównej Instytutów Badawczych powiedziałem: możemy narzekać, że jest za mało pieniędzy, że nas gdzieś nie uwzględniono, nie wysłuchano, ale zrobimy serię spotkań, w trakcie których będziemy mogli pokazać, co robimy, jakie mamy osiągnięcia. Bo ludzie tego nie widzą, nie wiedzą, że te efekty naukowe są i że sami z nich korzystają. Każdego dnia.

Ludzie uważają, że polska medycyna jest słaba, a nauka jeszcze słabsza.

– A to nieprawda. Jeżeli posłuchamy naszych naukowców, przekonamy się, ile wnieśli do światowej nauki. Owszem, głównie na Zachodzie,

bo tam znaleźli odpowiednie warunki. Ale to dobrze! Jeżeli stworzymy im warunki do pracy w Polsce, to oni bardzo chętnie wrócą albo podejmą współpracę. Tak powinniśmy myśleć.

Lekarze również wyjeżdżają, najlepsi.

– Nie chciałbym tak mówić. Owszem, nie wyjeżdżają najgorsi. Wyjeżdżają dobrzy, poszukujący albo sposobu na życie, albo możliwości

kreowali i równocześnie będziemy mogli zmieniać siebie.

A zmieniamy?

– Postęp, rozwój nauki jest ogromny. Wręcz galopuje. W tej chwili zaczynamy stosować w profilaktyce programy wykorzystujące sztuczną inteligencję. Przyjęto nasze wnioski patentowe, i w kraju, i w Unii Europejskiej, żeby sztuczną inteligencję wykorzystać tam, gdzie można, w profilaktyce, do szybkiego liczenia,

Gremia światowe konkurują ze sobą. Nie jest tak, że ludzie wolą lecieć do Polski niż do Rio de Janeiro czy innych atrakcyjnych miast.

rozwoju. Parę osób z mojego zespołu, którym kieruję od ponad 30 lat, też wyjechało. Ze wszystkimi mam znakomite relacje, szkolimy się wzajemnie, uzupełniamy, wspieramy w różnych miejscach na świecie. To wartość dodana. Czasami nawet większa niż to, jeżeli ta osoba została w kraju.

A ci w kraju?

– Naprawdę widzę w wielu miejscach fantastycznych, zaangażowanych ludzi. Musimy ich dostrzegać, pokazywać jako wzorce w wymiarze regionu, w wymiarze kraju, w wymiarze międzynarodowym. Bo w ten sposób będziemy ich

analizowania danych, do działań, których realnie nie bylibyśmy w stanie wykonać. I to jest ogromny impuls, wielki wpływ nauki na medycynę.

Nie chcę taniego kredytu zaufania. Ale zachęcam kolegów, żebyśmy jako środowisko inteligenckie, bo tak na to trzeba patrzeć, mieli poczucie odpowiedzialności za rozwój społeczeństwa. Ktoś musi pokazywać wzorce zachowania, etyczne, moralne. Niezależnie od tego, że go oplują, bo dziś najłatwiej jest opluć. A najtrudniej naśladować tych najlepszych, żeby być jeszcze lepszymi.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Kongres „Zdrowie Polaków” 2024: NAUKA W SŁUŻBIE SPOŁECZEŃSTWU

Szósta edycja Kongresu „Zdrowie Polaków”, która odbędzie się w dniach 25-27 listopada 2024 r., to wydarzenie o szczególnym znaczeniu dla zdrowia publicznego w Polsce. Pod hasłem „Nauka dla zdrowia społeczeństwa” spotkają się eksperci z różnych dziedzin, aby debatować nad kluczowymi problemami zdrowotnymi Polaków. Organizowany przez prof. Henryka Skarżyńskiego kongres jest wyjątkowy nie tylko ze względu na interdyscyplinarność, ale przede wszystkim dzięki wymiarowi społecznemu, który kładzie nacisk na odpowiedzialność każdego z nas za zdrowie publiczne zbiorowe i indywidualne.

Od początku istnienia kongres przyciąga uwagę nie tylko środowisk medycznych, ale i szerokiej opinii publicznej. Jego celem jest prezentacja osiągnięć naukowych, ale przede wszystkim edukacja społeczeństwa i budowanie świadomości, jak ważne jest dbanie o zdrowie. Tegoroczna edycja, podobnie jak poprzednie, będzie transmitowana w mediach publicznych oraz elektronicznych, co umożliwi dotarcie z wiedzą do milionów Polaków. Wydarzenie to ma służyć jako platforma, która przez



Warszawa

- cały rok promuje zdrowy styl życia i szeroko pojętą profilaktykę zdrowotną.

Integracja nauki i społeczeństwa

Hasło „Nauka dla zdrowia społeczeństwa” nie jest przypadkowe. Organizatorzy kongresu podkreślają, że zdrowie społeczne jest nierozdzielnie związane z postępowaniem naukowym i technologicznym, a także z edukacją obywateli. Sztuczna inteligencja, telemedycyna, innowacje w diagnostyce – to tematy, które zostaną szeroko omówione podczas wydarzenia. Chodzi nie tylko o prezentowanie nowych technologii, ale przede wszystkim o to, by nauczyć Polaków, jak z nich odpowiedzialnie korzystać i jak odróżniać sprawdzoną wiedzę od nieprawdziwych informacji czy fake newsów, które coraz częściej pojawiają się w przestrzeni publicznej.

Jak podkreśla prof. Henryk Skarżyński, jednym z największych wyzwań, przed którymi stoi polskie społeczeństwo, jest niewystarczająca wiedza na temat rodzimych osiągnięć naukowych. „Musimy zmienić to podejście. Polscy naukowcy i lekarze dokonali wielu przełomowych

Organizowany przez prof. Henryka Skarżyńskiego kongres jest wyjątkowy dzięki wymiarowi społecznemu.

odkryć, które realnie wpływają na życie ludzi, a ich upowszechnienie to nasz wspólny obowiązek”, mówi profesor. Kongres „Zdrowie Polaków” stawia sobie za cel przywrócenie prestiżu pracy naukowców i lekarzy oraz zwiększenie społecznego zrozumienia dla znaczenia badań i wdrożeń.

Wyzwania dla zdrowia publicznego

Ciągle mówimy o chorobie i na niej się skupiamy, a zapominamy, jak ważne jest zarządzanie naszym zdrowiem jeszcze przed rozwinieniem się choroby. W obliczu globalnych wyzwań zdrowotnych, takich jak pandemia COVID-19 czy kryzys klimatyczny, kongres stanowi doskonałe forum do dyskusji nad kluczowymi problemami, które dotyczą nie tylko Polski, ale i całego świata. Edycja 2023 r. pod hasłem „One Health” zwróciła uwagę na konieczność holistycznego podejścia do zdrowia, uwzględniającego związek między zdrowiem ludzi, zwierząt i środowiska. W tym roku organizatorzy zamierzają kontynuować ten wątek, podkreślając potrzebę działań, które obejmują szerokie spektrum zagadnień: od zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży po kondycję polskich seniorów.

Jednym z ważniejszych tematów będzie problem coraz częstszych zaburzeń psychicznych wśród dzieci i młodzieży. Wzrost przypadków depresji, lęków i innych problemów psychologicznych, a także brak wystarczającej aktywności fizycznej to zjawiska wymagające natychmiastowej interwencji. Ekspertki będą debatować nad tym, jak system edukacji, rodziny i samorządy mogą wspólnie działać na rzecz poprawy kondycji psychicznej młodych ludzi.

Kolejnym kluczowym tematem będą potrzeby zdrowotne seniorów. W obliczu starzejącego się społeczeństwa rośnie potrzeba wdrożenia rozwiązań systemowych, które zapewnią osobom starszym odpowiednią opiekę zdrowotną, a także wsparcie socjalne i psychologiczne. Kongres będzie miejscem wymiany doświadczeń i najlepszych praktyk, które mogą być wdrożone zarówno na poziomie krajowym, jak i lokalnym.

Kongres – więcej niż tylko wydarzenie

Kongres „Zdrowie Polaków” to nie tylko trzy dni intensywnych debat i wykładów. Nie tylko w Światowym Centrum Słuchu, ale po raz pierwszy w wielu miejscach w całym kraju. Organizatorzy chcą, aby był to impuls do prowadzenia nieustającej dyskusji na temat zdrowia przez cały rok. W tym celu powołano Konsorcjum Kongresu „Zdrowie Polaków”, w skład którego wchodzi najważniejsze instytucje badawcze i medyczne w Polsce. Konsorcjum ma na celu kontynuowanie działań promujących zdrowie publiczne, edukację zdrowotną i profilaktykę. Działalność ta nie ogranicza się do zamkniętych kręgów ekspertów – celem jest dotarcie do każdego obywatela, niezależnie od wieku czy miejsca zamieszkania.

„Zdrowie to nasza wspólna odpowiedzialność”, mówi prof. Skarżyński. To przesłanie ma zachęcić każdego Polaka

do większej dbałości o własne zdrowie oraz do świadomych decyzji opartych na rzetelnej wiedzy naukowej. W czasach, gdy fake newsy i dezinformacja stanowią coraz większe zagrożenie dla zdrowia publicznego, edukacja i promocja nauki stają się kluczowymi narzędziami w walce o zdrową przyszłość.

Przyszłość w rękach młodego pokolenia

Jednym z głównych wyzwań, przed którymi stoi polska nauka, jest zainteresowanie młodych ludzi badaniami naukowymi i medycyną. Jak podkreślają organizatorzy kongresu, aby zapewnić ciągłość innowacji i rozwoju, niezbędne jest zaangażowanie nowego pokolenia naukowców. Kongres ma być miejscem, które inspirować młodych ludzi do podejmowania wyzwań badawczych, zdobywania nowej wiedzy i dokonywania przełomów naukowych, które wpłyną na zdrowie całego społeczeństwa.

„Prężna nauka to silne państwo i ogromny potencjał jego rozwoju” – te słowa prof. Skarżyńskiego doskonale oddają sens Kongresu „Zdrowie Polaków”. Organizatorzy wierzą, że poprzez popularyzację nauki i medycyny, edukację społeczną oraz promocję zdrowego stylu życia kongres przyczyni się do budowania zdrowszego i silniejszego społeczeństwa, gotowego na wyzwania przyszłości.

Zaproszenie do udziału w kongresie kierowane jest do wszystkich, którzy chcą się włączyć w ogólnopolską debatę o zdrowiu i przyszłości Polski. Razem, poprzez naukę i współpracę, możemy zrobić wiele, aby poprawić jakość życia Polaków i przyczynić się do lepszego jutra. ■

MĘCZEŃSTWO księdza Olszewskiego

Jak pisowscy propagandziści wykreowali aferzystę na świętego i ofiarę prześladowań politycznych

Andrzej Sikorski

Gdyby ks. Michał Olszewski został oskarżony o pedofilię czy przemyt narkotyków, pewnie nie stawano by tak chętnie w jego obronie. Ale ma on to wyjątkowe szczęście, że uczestniczył w zakrojonym na szeroką skalę procederze przestępczym wyprowadzania pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości, nad którym patronat sprawowali wpływowi politycy: Zbigniew Ziobro i jego zastępca w Ministerstwie Sprawiedliwości Marcin Romanowski. Ten drugi ma postawione zarzuty i uchylony immunitet, ale na razie skutecznie unika aresztu. Dodajmy, że w tym rozkradaniu publicznych pieniędzy brało udział wielu polityków i działaczy Suwerennej Polski. Oni również są na celowniku prokuratury. Takie doborowe towarzystwo zapewnia Olszewskiemu medialny parasol ochronny.

Proceder przestępczy

Zarzuty postawione duchownemu przez prokuraturę są poważne. Chodzi o przywłaszczenie mienia, pranie pieniędzy i udział w zorganizowanej grupie mającej popełniać przestępstwa przeciw mieniu, szczególnie poprzez przekraczanie uprawnień i niedopełnianie obowiązków oraz poświadczanie nieprawdy w dokumentach i wyrządzanie szkody w wielkich rozmiarach, aby osiągnąć korzyści.

Podobne zarzuty usłyszały Urszula Dubejko i Karolina Kucharska, urzędniczki ministerstwa, które też trafiły na siedem miesięcy do



Gdy ks. Olszewski decyzją sądu opuścił za kaucją areszt 25 października 2024 r., ludzie witali go kwiatami i śpiewem niczym bohatera narodowego.

aresztu, a więzienne mury tak jak ks. Olszewski opuścił po wpłaceniu 350 tys. zł kaucji.

Przypomnijmy: przekręt polegał na tym, że Fundacja Profeto, której szefem jest ks. Olszewski, miała dostać ok. 100 mln zł (z czego 68 mln zł wypłacono) na budowę ośrodka dla ofiar przemocy. Tyle że wielbny nigdy nie zajmował się działalnością pomocową ani dobroczynną, aktywny był na polu biznesowo-medialnym. Rzeczony ośrodek dla ofiar przestępstw szykowany był zaś jako profesjonalne centrum multimedialne, składające się m.in. z sali widowiskowej na 350 osób, sal konferencyjnych i studiów nagraniowych.

Z ujawnionych taśm Tomasza Mraza, byłego dyrektora Funduszu Sprawiedliwości, który poszedł na

współpracę z prokuraturą i potajemnie nagrywał kierownictwo re-sortu z czasów Ziobry, wiemy, że konkurs z ministerialną dotacją dla Profeto był ustawiony. Prokuratura dysponuje dowodami, że Urszula Dubejko, Karolina Kucharska i Marcin Romanowski doskonale wiedzieli, iż uczestniczą w procederze przestępczym, i podejmowali działania, aby się zabezpieczyć w razie ewentualnej wpadki. Spodzielając się postawienia zarzutów, „na bieżąco starali się monitorować działania podejmowane przez organy ścigania, ustalali treść składanych wyjaśnień i wersje obrony, a także podejmowali kroki, takie jak niszczenie danych na nośnikach pamięci, w celu usunięcia dowodów przestępstwa”.

Według doniesień „Gazety Wyborczej” ks. Olszewski wyprowadził kilkanaście milionów złotych na cele niezwiązane z budową ośrodka. Prawie 680 tys. zł trafiło do spółki, w której udziały ma jego obrońca, mec. Krzysztof Wąsowski. Ponad 150 tys. zł wielebny przekazał swojej matce, a 100 tys. zł ojcu. Około 5 mln zł Olszewski przekazał spółce, która zajmuje się wyposażaniem w profesjonalny sprzęt studyjny pomieszczeń do nagrywania audycji radiowych i telewizyjnych, a prawie 3,5 mln zł firmie produkującej i sprzedającej skarpetki. Dodajmy do tego, że Olszewski w sklepach, restauracjach, hotelach i na bilety (kolejowe, lotnicze) wydał ponad milion złotych, z bankomatu wypłacił ponad pół miliona złotych, a z banku ponad 50 tys. euro.

Zemsta Tuska i Putina

Politycy PiS i wspierające partię Jarosława Kaczyńskiego media nie tylko stanęli murem za ks. Olszewskim, ale jeszcze wykreowali go na męczennika za wiarę i ofiarę reżimu Donalda Tuska.

Ks. Michał Olszewski uczestniczył w zakrojonym na szeroką skalę procederze przestępczym wyprowadzania pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości.

Wszystko wskazuje, że operacja ta była starannie przemyślana i realizowana wedle opracowanego scenariusza. (Podobny zabieg zastosowano w przypadku Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, choć nie udało się uzyskać zamierzonego efektu). Zaczęło się już w marcu br., wkrótce po zatrzymaniu duchownego przez funkcjonariuszy ABW.

„Myślę, że perspektywa wiary jest jedyną słuszną w tym momencie, dlatego że mamy do czynienia już z wtargnięciem wręcz takiego przemocowanego państwa w obszar naszej wiary, religijności. Doświadczaliśmy tego w Wielkim Tygodniu (...), w Wielki Czwartek została podjęta decyzja sądu o wtrąceniu do aresztu ks. Michała Olszewskiego”, wywodziła Marzena Nykiel, redaktorka naczelną portalu wPolityce.pl.

Że aresztowanie ks. Olszewskiego było tylko pretekstem do uderzenia w Kościół, nie mieli wątpliwości Jakub Jałowiczor z portalu Opoka i Bogumił Łoziński, zastępca redaktora naczelnego „Gościa Niedzielnego”. Ten pierwszy stwierdził, że chodziło „o efekt mrozący i zastraszanie księży”, a drugi oświadczył, że „odkąd ten rząd jest u władzy, to jest takie wyraźne pójście na zwarcie z Kościołem i w ogóle z religią, ludźmi wierzącymi”.

Swoje dołożył mec. Krzysztof Wąsowski, relacjonując pobyt klienta w areszcie: „Podchodzi do tej sprawy bardzo duchowo, bardzo religijnie. Najwyraźniej Pan Bóg postawił go w takim miejscu, w jakim jest. Zaczynam obserwować oddziaływanie jego obecności – nie powiem na współwięźniów, bo z nimi nie mam żadnego kontaktu, ale na personel, na służbę więzienną. Widać pewne ciekawe zachowanie. Bardzo pozytywne. Zaczynają mówić do ks. Michała Olszewskiego per ksiądz, niektórzy proszą nawet o modlitwę, dają odczuć, że ten człowiek nie do końca zasadnie jest więziony”.

Potem był wysłany z za krat „wstrząsający” list Olszewskiego, w którym duchowny opisał rzekome tortury. Okazało się jednak, że autorami opowieści byli bliscy księdza, co pisowskie media ukryły przed opinią publiczną.

Poruszony cierpieniem duchownego sędzia Piotr Schab zamieścił wpis na portalu X: „Ojcie, nie jesteś moim spowiednikiem, nie miałbym odwagi uklęknąć przed Tobą w konfesjonale, wiem jednak, że Bóg dotyka cierpieniem tych kapłanów, których wybrał ponad innych, tak jak polskich księży, którzy w roku 1864 poniesieni zostali w czerwoną zabójczą dziczą, aby nie było świadków prawdy, tak jak kapłanów odebranych Polsce i bitych w Dachau, tak jak synów Kościoła, odzieranych z godności przez zbrodniarzy roku 1981...”.

Dorota Kania dała do zrozumienia, że uwięzienie i torturowanie Olszewskiego ma głębszy wymiar i stoi za tym nie tylko Tusk, ale i Putin. „Wuj ks. Michała Olszewskiego, ks. Józef Joniec, pijar, zginął 10 kwietnia 2010 r. w katastrofie smoleńskiej. Pomysłodawca Parafady i sadzenia Dębów Pamięci Ofiar Katynia na całym świecie. Warto o tym pamiętać”, zaleciła czołowa propagandystka PiS.

Profesjonalni oprawcy

Pod aresztem śledczym, gdzie umieszczono Olszewskiego, zgromadzili się oburzeni ludzie. Wobec funkcjonariuszy Służby Więziennej kierowano groźby pobicia i pozbawienia życia. Sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli, a mec. Wąsowski musiał wszystko odkręcać. Okazało się, że torturowano księdza, ale tylko w pierwszych godzinach po zatrzymaniu na tzw. dotku, a mieli być za to odpowiedzialni funkcjonariusze ABW. Tortury zaś polegały na tym, że duchowny spał na gołym betonowym łóżku, na które zostały narzucone „dwa stare źle pachnące koce”, a do picia dostał wodę z kranu. „Ks. Michał prosił, bym przekazał, że Służba Więzienna zachowuje się wyjątkowo dobrze. W tym areszcie, przed którym jesteśmy, jest to tak profesjonalnie i wręcz z dużym zrozumieniem i życzliwością ci ludzie podchodzą. (...) Tu w areszcie na Kłobuckiej ci ludzie wręcz ratują mu życie”, zakomunikował adwokat.

Demonstranci przeniesli się więc pod siedzibę Prokuratury Krajowej i pod Sejm. W lipcu w całej Polsce z inicjatywy polityków PiS organizowano czuwania modlitewne w intencji uwolnienia Olszewskiego.

We wrześniu cała Polska znowu żyła męczeństwem księdza, gdy media relacjonowały wyprowadzanie udręczonego kapłana z budynku sądu. „Na nagraniach i zdjęciach widać, że sercanin jest skrajnie wychudzony. Podczas gdy ks. Michał Olszewski był wyprowadzany przez funkcjonariuszy, miał na rękach kajdanki. Wykonywał gest błogosławieństwa w kierunku zgromadzonych przed sądem protestujących, którzy przyszli, aby wyrazić sprzeciw wobec metod

stosowanych przez państwo. Reporter stacji wPolsce24 przekazał, że podczas trwającego od końca marca pobytu za kratami kapłan schudł 15 kg”, można było przeczytać na stronie internetowej tygodnika „Do Rzeczy”. Warto mieć na uwadze, że naczelny pisma Paweł Lisicki również uczestniczył w wyprowadzaniu pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości, co zostało opisane w raporcie Najwyższej Izby Kontroli.

chęć poruszenia sumienia Polaków. Przypomnienia im, że przynależność do narodu, który posiada ponadtyścioletnią, chrześcijańską tradycję, dał światu niezliczoną liczbę świętych, w tym największego spośród nas – Św. Jana Pawła II, zobowiązuje do świadczenia o wartościach wynikających z Dekalogu. Nie wolno nam godzić się na kłamstwo, deprawację, bezprawie, a tym wszystkim jest przetrzymywanie w areszcie i znęcanie się

Podobną taktykę dewaluowania działalności przestępczej zastosowały Urszula Dubejko i Karolina Kucharska. Bogobojne niewiasty zaraz po opuszczeniu aresztu rozpoczęły tournée po mediach wspierających PiS.

„Muszę powiedzieć, że to była trochę taka Droga Krzyżowa. Mogłam dzielić – oczywiście w bardzo małym stopniu – cierpienie Chrystusa. Gdyby nie Matka Przenajświętsza, gdyby nie to, że mogłam się zwrócić do Jezusa, nie wyobrażam sobie przetrwania tego czasu, zwłaszcza że byłam cały czas w pełnej izolacji. Miałam pomoc nieba, ale wymodloną przez wszystkich Państwa – przez Rodzinę Radia Maryja”, mówiła na antenie rozgłośni toruńskiego redemptorysty Urszula Dubejko. Druga podejrzana uderzyła w podobną nutę. „To modlitwa i wiara. To one stały się moim punktem odniesienia, moją kotwicą w walce o przetrwanie każdego z tych 213 dni spędzonych w areszcie. (...) Codzienna modlitwa różańcowa i odprawianie Drogi Krzyżowej pozwalały mi przetrwać najgorsze chwile, nawet jeśli nie potrafiłam ich zrozumieć i jeśli modlitwom tym towarzyszyły łzy”, powiedziała Karolina Kucharska w Telewizji Republika.

Andrzej Sikorski

Rzekomy ośrodek dla ofiar przestępstw szykowany był jako profesjonalne centrum multimedialne.

„Maltretowany psychicznie ksiądz, który nie miał kontaktu z bliskimi przez długi czas. Wychudzony, w fatalnej formie fizycznej. Od dawna w areszcie – a przecież powinien odpowiadać z wolnej stopy. To nie lata 80. i stan wojenny. To »uśmiechnięta« Polska. Dziś”, napisał Mateusz Morawiecki w mediach społecznościowych. Ciemny lud musiał już być mocno zdezorientowany, wszak mec. Wąsowski zapewniał publicznie, że ks. Olszewski w areszcie ma jak u Pana Boga za piecem...

Przeciwko kolejnym torturom stosowanym wobec niezłomnego kapłana zaprotestowało pięciu byłych działaczy antykomunistycznych, prowadząc... strajk głodowy. Jednym z nich był Jan Karandziej, którego duchowny (za pośrednictwem mec. Wąsowskiego) poprosił o zmianę formy protestu na modlitwę, post lub jafmużnę, co zostało odpowiednio nagłośnień przez prawicowe media.

Poruszony Karandziej wystosował oświadczenie. „Z pokorą i wdzięcznością przyjmuję słowa ks. Olszewskiego i z serca za nie dziękuję. Wiem też, że on również zrozumie, iż nie mogę spełnić Jego prośby. Podobnie jak Ksiądz, który mimo tortur, fizycznych i psychicznych nie złamie się i nie ulegnie pokusie zażośćuczynienia oprawcom, którzy nie wahają się poświęcić życia i zdrowia prawego człowieka dla realizacji politycznych celów, nawet jeśli zagrożać mogą suwerenności ojczyzny. Jednym z powodów mojej decyzji o podjęciu protestu głodowego jest

nad ludźmi, którzy wciąż chronieni są obowiązującą w polskim prawodawstwie zasadą domniemania niewinności”, napisał opozycjonista.

Gdy Olszewski opuścił areszt, ludzie witali go kwiatami i śpiewem nierzycem bohatera narodowego. „Chciałem wam wszystkim podziękować. Mówili, że to był areszt wydobywczy. Ale on był wydobywczy w tym znaczeniu, że to wasze modlitwy mnie wydobyły”, oświadczył kapłan, którego prawicowi publicyści zaczęli porównywać do ks. Jerzego Popiełuszki.

Prof. Walickiego korespondencja z bratem

Instytut Historii Nauki PAN, Polskie Towarzystwo Filozoficzne, Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza oraz „Przegląd” zapraszają na spotkanie poświęcone książce „O Andrzeju Walickim inaczej. Opowieść epistolarna”, powstałej na bazie korespondencji profesora z jego bratem mieszkającym w USA. Spotkanie odbędzie się **8 listopada 2024 r. o godz. 18.00 w Centrum Edukacyjnym Instytutu Narutowicza (Warszawa, ul. Andersa 20).**

O postaci wielkiego polskiego filozofa w panelu dyskutować będą: **prof. Joanna Schiller-Walicka, prof. Paweł Kozłowski, prof. Janusz Dobieszewski i dr Monika Woźniak.**

Osoby, które nie mogą wziąć udziału w wydarzeniu, a chciałyby zapoznać się z jego przebiegiem, proszone są o wysłanie wiadomości na adres: **m.sierminski@gmail.com.**



Ciemna strona szkoły

Przemoc ze szkolnych korytarzy przeniosła się do sieci. Nastolatki hejtują się za pomocą specjalnych stron i aplikacji. W każdej szkole. Bez wyjątku



Kornel Wawrzyniak

„Zabij się”, „Zrobimy ci pogrom Żydów w kiblu”, „Jebany pedale”. To tylko próbka hejterskich odzywek, które do niedawna można było przeczytać na instagramowej grupie Spotted założonej przez uczniów jednej z lepszych podstawówek w Polsce. Spotted to internetowa przestrzeń, w której anonimowo dzielono się zdaniem na dany temat, zadawano pytania czy wyrażano swoje poglądy. Narzędzie szybko zmieniło się w potężną broń do hejtowania rówieśników.

Dzisiaj każda szkoła ma swoje Spotted. Strony powstają w mediach społecznościowych z inicjatywy uczniów, a nie placówek. Specjaliści, w tym policjanci zajmujący się przemocą rówieśniczą, twierdzą, że każda szkoła ma swoją ciemną stronę. Co najgorsze, to wszystko dzieje się pod nosem rodziców i nauczycieli. Szkoły

umywają ręce, bo chociaż grupy do hejtowania zawierają ich nazwy, to telefon należy do sfery prywatnej. Rozwiązywanie problemu pozostaje więc po stronie rodziców.

Hejt głęboko ukryty (ale tylko przed rodzicami)

– Trudno uwierzyć, że te cudowne, cukierkowe dziewczynki, które w szóstej klasie nadal noszą kucyki, tak ostro jadą z tematem na grupach Spotted. Trudno uwierzyć, że tak małe dzieci w ogóle znają taki kaliber wyzwisk. O istnieniu Spotted naszej szkoły i o tym, co tam się wyrabia, dowiedziałam się od jednej z matek. Prerażona wysłała mi screeny, na których anonimowi grupowicze namawiają jednego z uczniów do samobójstwa. Wszystko dzieje się na grupie, która nosi nazwę naszej szkoły – opowiada matka 12-letniej Aliny.

Grupy Spotted są dziś powszechne. Mają je zarówno szkoły średnie,

jak i podstawówki. W wielu przypadkach w tej patologii uczestniczą nawet najmłodsi uczniowie, którzy dopiero co zaczęli naukę. Spotted prowadzone są przez anonimowych administratorów, których bardzo trudno namierzyć. Sytuację utrudnia fakt, że wszystko dzieje się na platformach społecznościowych należących do zagranicznego kapitału. Jeśli już rodzice zgłoszą hejt na takiej grupie, policja ma bardzo ograniczone pole działania, bo serwery są prywatne i znajdują się poza Polską. Słowem, Mark Zuckerberg musi się zgodzić na to, aby dzieci przestały się nawzajem dręczyć.

O grupach wiedzą oczywiście uczniowie, część nauczycieli i wielu rodziców. W cyklicznym badaniu, które przeprowadza Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa (NASK), „Nastolatki 3.0”, co piąty uczeń i uczennica deklaruje, że doświadczyli przemocy w internecie, jednocześnie aż 75% rodziców

twierdzi, że takie zjawisko nigdy nie dotknęło ich dzieci. To duża rozbieżność, świadcząca o tym, że rodzice są mocni w głębie, ale z praktyką u nich słabutko. 15% przyznaje, że nic nie wie o przemocy w internecie. Zorientowanych w temacie jest zaledwie 10%.

Szkoła za słaba

– Postanowiłam zgłosić sprawę hejtowania na grupie Spotted do dyrekcji. Gdy wicedyrektorka placówki usłyszała, z czym przychodzę, zaczęła podniesionym, wpadającym w pisk głosem mówić, żebym nic jej nie pokazywała, bo ona będzie musiała wtedy coś z tym zrobić. Żenada. Poszłam więc do dyrektorki, ale ta stwierdziła, że według jej interpretacji prawnej ustawy Kamilka ona nie może tego tykać. Co więcej, skoro ja wiem o hejcie w szkole, muszę to niezwłocznie zgłosić policji. Podkreślam: ja. Nie szkoła, której 200 z 500 uczniów obserwuje i czynnie działa w hejterskiej grupie – opowiada Justyna.

Tymczasem specjaliści z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę zalecają rodzicom współpracę ze szkołą: „Bądź w stałym kontakcie z nauczycielami i administracją szkoły. Uczestnicz w zebraniach i spotkaniach Rady Rodziców. Angażuj się w programy i warsztaty dotyczące przeciwdziałania przemocy. Wspieraj działania szkoły na rzecz bezpieczeństwa uczniów”.

Ktoś założył, że polska szkoła ogarnie internet. Ironia? Żart? Czy płonna nadzieja? W przypadku internetu zresztą szkoła może niewiele. Ale to wszystko kwestia dobrej lub złej woli dyrekcji. Mamy przestarzałe prawo, w którym nie uwzględniono, że przemoc rówieśnicza między uczniami może się dziać w sieci. Jeśli jest to szkolna ławka, korytarz czy boisko i ktoś złapie dzieci na bójce albo wyzywkach, sprawa jest oczywista. Jeśli jednak uczeń uderzy drugiego krok przed wejściem do szkoły, to ujmując rzecz w kategoriach suchej legislacji, nie jest to problem placówki. Nauczyciele mogą sobie patrzeć na młodzieńcze mordobicie przez okna i nic im do tego.

Poradnia Dziecko w sieci dla ofiar cyberprzemocy:

22 826 88 62

poradniadws@fdds.pl

Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży:

116 111

116111.pl

Bezpłatna i anonimowa pomoc telefoniczna i online dla rodziców i nauczycieli w sprawach bezpieczeństwa dzieci:

800 100 100

Podobnie zachowuje się część dyrektorów w obliczu przemocy internetowej. W kategoriach samego prawa prawdą jest, że to problem wyłącznie rodziców. Są natomiast inicjatywy edukacyjne dotyczące cyberbezpieczeństwa, w których szkoły mogą uczestniczyć. Ale to zależy od woli dyrekcji.

Możemy mówić o paradoksie, ponieważ przemoc internetowa dzieje się najczęściej z udziałem rówieśników ze szkoły. Przykładem jest śmierć 16-letniej Julii z Lubina, która po pięciu latach nieustannego hejtowania jej w internecie odebrała sobie życie. Rodzice na portalu Lubin.pl tłumaczyli, że hejt zaczął się

jak przewrażliwieni rodzice. Jedna z matek przyznała, że jej córka wręcz powiedziała: »Słuchaj, mamo, ja wygooglowałam i jedyne, co będzie, to że przyjdzie pani kurator, pogrozi mi palcem, i tak mi nic nie zrobią«. Dla nich te konsekwencje nie były żadnymi konsekwencjami”, podkreślała matka zmarłej 16-latki.

Dziś wszyscy biją się w pierś. A jednak hejt zabił dziewczynę.

Rodzice za leniwi

Bezstresowe wychowanie to dziś hasło, które niszczy wiele dzieci będących online. „Fajni” rodzice dają dzieciakom komórki i pełną swobodę korzystania z tych narzędzi podłączonych do internetu. Oczywiście większość tych cool rodziców obraża się na podstawową zasadę, jaką jest ciągłe monitorowanie aktywności ich pociech w sieci. „Regularnie sprawdzaj, z kim i jak dziecko komunikuje się w internecie. Ustal jasne zasady korzystania z technologii”, doradzają w poradniku przeciwko przemocy rówieśniczej specjaliści z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. Na co dzień widać, że większość dzieciaków nie zna żadnych zasad dotyczących komórki. „Fajni” rodzice wycierają zaś sobie usta hasłami „wolność” i „prywatność”. Prawdziwe powody takiego ich zachowania to jednak nic innego jak lenistwo, niewiedza i głupota.

Grupy Spotted są dzisiaj powszechne zarówno w szkołach średnich, jak i w podstawówkach. W wielu przypadkach w tej patologii uczestniczą najmłodszy uczniowie.

podczas nauki zdalnej w pandemii. „To był koszmar. Wyglądało to tak, że lekcja leciała swoim torem, nauczyciel ją prowadził, a dzieci na czacie jechały po sobie, pisały straszne rzeczy. Próbowaliśmy na to reagować, zgłosiliśmy to wychowawczyni, która rozmawiała z uczniami, ale nic to nie dało”, twierdzi ojciec Julii.

Mimo że wszystko działo się w trakcie lekcji, według relacji rodziców nie podjęto żadnych realnych działań. „Byliśmy cały czas zbywani, ignorowani, traktowani

Tymczasem współcześnie umożliwienie dziecku dostępu do internetu wymaga stałego monitorowania nie tylko jego zachowania w sieci i kontaktów, ale również najnowszych trendów, wiedzy, jakie aplikacje są obecnie modne. Świat elektroniki szybko się zmienia i jeśli chcemy, żeby dziecko było bezpieczne, nie możemy za nim gonić. Musimy być dwa kroki do przodu. To zadanie wyjątkowo trudne. Ale nikt nie twierdził, że wychowanie dzieci jest łatwiejsze niż np. w latach 70. ▶

► Specjaliści od cyberbezpieczeństwa biją na alarm: trzeba czuwać nawet nad tym, z kim dzieci rozmawiają na czatach lub z kim mają do czynienia w grach komputerowych. Na serwerach gier poluje na najmłodszych masa zboczeńców. Dzieci padają często ofiarą tzw. sextortion, czyli m.in. szantażowania nieprawdziwymi materiałami pornograficznymi, na których twarz ofiary doklejona została do filmu albo zdjęcia. Czytelników zostawię w tym miejscu jedynie z myślą, że ktoś, kto szantażuje dziecko, raczej nie czyha na jego kieszonkowe.

Rodzice nie wiedzą nawet, ile dokładnie czasu ich dzieci spędzają online. We wspomnianym wcześniej badaniu NASK zapytano: „Ile Twoje dziecko spędza czasu w internecie?”. Rodzice odpowiedzieli, że 3 godziny i 38 minut. Dzieci zaś czas korzystania z internetu oszacowały na prawie 5 godzin. Rozbieżności w odpowiedziach na pytania zadane w badaniu „Nastolatki 3.0” jest jeszcze więcej. Najczęstszymi przejawami cyberprzemocy według wskazań nastolatków są: wyzywanie (29,7%, według rodziców – 13,5%), ośmieszanie (22,8%, według rodziców – 12,5%) czy poniżanie (22%,

dzieci, w tym ośmioletnia Lalani z Teksasu i dziewięcioletnia Arriani z Milwaukee. Sprawę opisywaliśmy szerzej na łamach „Przeglądu” („Zabójczy internet. Co z tym zrobić?”, 8 maja 2023).

Kolejny trend popularny w ostatnich miesiącach to zjadanie tabletki do zmywarki. Na tego typu treści wytypował w dużej mierze jeden z polskich patostreamerów. 18-latek nazywany Jelly Frucik stał się gwiazdą wśród młodszych dzieci.

Co piąty uczeń i uczennica deklaruje, że doświadczyli przemocy w internecie, jednocześnie aż 75% rodziców twierdzi, że takie zjawisko nigdy nie dotknęło ich dzieci.

Niedawno wydał książkę, chociaż to dość szumna nazwa dla kolorowanki z tiktokowymi cytatami z samego siebie. Empik urządził patostreamerowi spotkanie autorskie. Tłum sparałizował jedną z większych galerii handlowych w Warszawie. Chłopak nadaje na TikToku właściwie codziennie. Jego treści są nazywane kontrowersyjnymi, chociaż z perspektywy dorosłego wydają się po prostu skrajnie głupie. Sam twórca twierdzi, że mówi to, co myśli.

Hate (CCDH, Centrum Zwalczania Nienawiści w Sieci) chcieli sprawdzić, z jakimi treściami mają styczność najmłodszy użytkownicy aplikacji TikTok. Założyli konta, które udawały profile 13-latków. Część tych kont miała dodatkowo symulować osoby o większej wrażliwości na treści niebezpieczne. W ciągu 30 minut konta „wrażliwe” dostawały sugestie treści już nie tylko odnoszących się do zaburzeń odżywiania, ale również nakłaniających

do samookaleczeń, a nawet samobójstwa. Według ekspertów z CCDH podtykanie ekstremalnych treści nie jest przypadkowe, lecz wynika z budowy algorytmu, którym posługuje się aplikacja.

Tymczasem według statystyk Urzędu Komunikacji Elektronicznej tylko czworo na dziesięciorgo rodziców korzysta z narzędzia, jakim jest kontrola rodzicielska. Jedynie 37% respondentów twierdzi, że konfiguruje ustawienia bezpieczeństwa w telefonie dziecka.

Czy rodzice wiedzą, co ich dzieci oglądają w internecie? Patrząc na popularność takich patologicznych treści jak kanał Jelly Frucika, można założyć, że tych, którzy wiedzą, jest niewielu. Szkoła zaś nie zajmuje się niebezpiecznymi treściami, twierdząc, że to prywatna sprawa dzieci i rodziców. Z kolei ministra Nowacka bryluje głównie w mediach społecznościowych, m.in. na TikToku, aby być bliżej dzieci...

Najbardziej jednak boli brak świadomości zagrożeń wśród rodziców. Gdyby byli bardziej zorientowani, wiedzieliby, jak wiele niebezpieczeństw czyha w internecie na ich dzieci. Taka świadomość rodziłaby zaś wściekłość na decydentów, którzy od lat mają problem z uregulowaniem bezpieczeństwa w sieci.

Najczęstszymi przejawami cyberprzemocy według wskazań nastolatków są: wyzywanie, ośmieszanie i poniżanie.

według rodziców – 9%). Młodzi ludzie stają się celem ataków słownych w największym stopniu z powodu wyglądu fizycznego (13,7%), ubioru (8,5%) oraz upodobań i hobby (9,7%).

Wobec powyższego w sferze marzeń pozostaje śledzenie trendów dotyczących aplikacji czy mód obowiązuje w popularnych serwisach społecznościowych. Te ostatnie są szczególnie niebezpieczne. Część twórców internetowych promuje treści destrukcyjne, aby się wybić. To zaś skłania część dzieci do podejmowania zachowań niebezpiecznych. Mieliśmy chociażby *blackout challenge* na TikToku, czyli modę na podduszanie. Życie straciło w ten sposób siedmioro

Fakt. Wystarczy sprzeciwić mu się podczas przekazu na żywo, a ten od razu krzyczy: „Zamknij pizdę!”. To właśnie z hejtowania swoich odbiorców patostreamer jest znany najbardziej.

„Po raz kolejny załamuję ręce nad nami, nad dorosłymi. To, że Jelly Frucik i jemu podobni instagramerzy, influencerzy zyskują sławę, jest efektem naszego sposobu bycia z naszymi dziećmi, a właściwie naszej nieobecności”, zaznaczała psycholożka Aleksandra Piotrowska w materiale TVN o Jelly Fruciku.

A dzieci same sobie

Badacze z amerykańskiej organizacji Center for Countering Digital

Sto lat to za mało!

Świątowaliśmy z prof. Andrzejem Werblanem jego urodziny



Panie profesorze, trzymamy kciuki za następną książkę!

Na urodzinowe spotkanie zaprosił Aleksander Kwaśniewski, a redakcję „Przeglądu” reprezentował m.in. Robert Walenciak.



Życzenia jubilatowi złożyli Agnieszka Wołk-Łaniewska i Wiesław Uchański...

...oraz Jerzy Domański.

Prof. Andrzej Werblan śmieje się, gdy chcą mu śpiewać „Sto lat”, bo sto lat ma już za sobą.

Podczas urodzinowego spotkania życzyliśmy mu więc zdrowia, kolejnych rocznicowych rekordów i weny twórczej. Zaprosili na to spotkanie Aleksander Kwaśniewski i jego Fundacja Amicus Europae z jej prezesem Ireneuszem Bilem. A udział w jubileuszu brali: delegacja „Przeglądu” – Jerzy Domański, Paweł Dybicz i Robert Walenciak oraz Krzysztof Żuczkowski, szefowe „Nie” – Marta Miecińska i Agnieszka Wołk-Łaniewska, szef „Kuźnicy” i „Zdania” Paweł Sękowski, wydawca Iskier Wiesław Uchański. I profesorowie: Andrzej Friszke, Janusz Reykowski, Jerzy J. Wiatr. A także Sławomir Wiatr i Stanisław Soltys.

Była też rodzina profesora: córka Hanna z zięciem, wnuczki z mężami i prawnuczki...

Świątując piękny jubileusz, trochę marzyliśmy. Prof. Werblan jest stałym autorem „Nie”, pisuje do „Przeglądu” i „Zdania”, Wiesław Uchański wydrukował dwie książki – „Polskę Ludową” i „Polskę Ludową. Postscriptum”, w których profesor opowiada o Polsce Ludowej i swoim życiu. Każdy z redaktorów marzył więc o kolejnych tekstach profesora. A Wiesław Uchański – o kolejnych książkach.

Dostojny jubilat zdradził się zresztą z takim pomysłem: „Spotkałem w swoim życiu wielu ważnych i ciekawych ludzi. Więć o nich i tych spotkaniach chciałbym jeszcze



Panie profesorze, musi się udać!

Dopingiem do pracy niech będzie krótkie wspomnienie Aleksandra Kwaśniewskiego. Otóż przed odlotem na konferencję do USA zabrał ze sobą „Polskę Ludową”, czyli rozmowę Andrzeja Werblana i Karola Modzelewskiego, moderowaną i opracowaną przez niżej podpisanego. Czytał ją w samolocie, a potem w hotelu. „Zakwaterowany byłem w Las Vegas, w hotelu Four Seasons, w którym mieści się muzeum wielkiego boksera Muhammada Alego – opowiadał. – I tak się zaczytałem, że nie zdążyłem zwiedzić muzeum, musiałem jechać na lotnisko. Ja! Były minister sportu i były szef PKOl, mając obok takie muzeum, wybrałem lekturę pańskiej książki! To największy komplement!”.
Panie profesorze, dziękując za niezwykle celne, niebanalne analizy z pogranicza polityki i historii, czekamy na więcej! I do następnej okrańlej rocznicy!

Robert Walenciak

Czy Tusk jest liberałem?

Elastyczność personalna Donalda Tuska doskonale łączy się z elastycznością programową, dzięki której Platforma wciąż zajmuje czołowe miejsce w polskiej polityce

Paweł Serbiejczyk

Donald Tusk już jest ważną postacią w naszej historii najnowszej. Choćby dlatego, że tylko dwóch premierów od 1918 r. urzędowało dłużej niż on: Józef Cyrankiewicz i Piotr Jaroszewicz. Przy czym o ile Tusk zapewne przebijie wynik Jaroszewicza, kierującego rządem PRL nieco ponad dziewięć lat, o tyle rekordu Cyrankiewicza – prawie 22 lata na stanowisku premiera – z pewnością nie pobije ani on, ani żaden inny polityk w III RP. W przeciwieństwie jednak do Cyrankiewicza i Jaroszewicza obecny szef rządu jest nie tylko administratorem państwa, ale też twórcą i niekwestionowanym liderem (by nie powiedzieć wodzem) swojego obozu politycznego, a także jedynym czynnym polskim politykiem, który przez dłuższy czas sprawował istotną funkcję w skali międzynarodowej.

Można Tuska nie lubić, można – a nieraz wręcz należy – go krytykować, lecz nie sposób mu odmówić na tle całej polskiej „klasy politycznej” największego doświadczenia. Jest to doświadczenie człowieka, który wie, jak funkcjonuje państwo oraz jak działa polityka europejska i światowa. Z pewnością nie da się z tym porównać doświadczenia innych liderów partyjnych, nawet tak długoletnich jak Jarosław Kaczyński, których główną umiejętnością jest gra w sejmowe szachy i wewnętrzno-partyjne warcaby.

Jest jednak coś, co powoduje, że Tusk w polskiej polityce czuje się niepewnie. Coś, co sprawiało, że przez lata mało kto wierzył w możliwość ponownego odsunięcia przez niego PiS od władzy, a dziś np. wygrania wyborów prezydenckich – chyba

nawet on sam nie bardzo w to wierzy. Przyczyną tej niepewnej pozycji Tuska na scenie politycznej jest określenie liberał, którego używają wobec niego przeciwnicy zarówno z prawej, jak i z lewej strony. A ktoś, kto uchodzi za liberała, żądnych wyborów w Polsce nie wygra – takie przekonanie dominuje od lat. Najwyraźniej i on w to uwierzył, bo właściwie nigdy nie określał się jako liberał. Ale czy to oznacza, że przestał być liberałem? A może tylko zręcznie unika tego słowa, które szczęścia w polityce mu nie przyniosło?

Przez lata mało kto wierzył, że Tusk może ponownie odsunąć PiS od władzy, a dziś mało kto wierzy, że mógłby np. wygrać wybory prezydenckie.

Trzeba wszak pamiętać, że Donald Tusk zaczął karierę jako jeden z twórców środowiska gdańskich liberałów w latach 80. Na początku następnej dekady weszło ono na scenę polityczną III RP jako Kongres Liberalno-Demokratyczny, a było to wejście bardzo nietypowe. Oto zaraz po wygraniu wyborów prezydenckich w grudniu 1990 r. Lech Wałęsa powołał na stanowisko premiera mało znanego posła Jana Krzysztofa Bieleckiego z niewielkiej wówczas partii KLD. Wraz z Bieleckim weszło do rządu kilku innych gdańskich liberałów, m.in. Janusz Lewandowski, który został ministrem przekształceń własnościowych. Na czele ugrupowania stanął wówczas młodszy od nich o kilka lat Donald Tusk i to on w październiku 1991 r. poprowadził Kongres do wyborów parlamentarnych, w których liberałowie zdobyli

7,5% głosów i 37 mandatów poselskich. Niestety, duża część tych mandatów przypadła nowobogackim biznesmenom, którzy związali się z KLD jako partią rządzącą, a wkrótce okazało się, że nie brakuje wśród nich pospolitych aferzystów.

Ten fakt, jak również liczne afery gospodarcze z okresu rządu Bieleckiego i polityka prywatyzacyjna ministra Lewandowskiego (wyprzedaż najlepszych polskich przedsiębiorstw zagranicznemu kapitałowi) spowodowały, że partia Tuska szybko dorobiła się opinii „liberałów-aferatów”. To zaś doprowadziło do klęski Kon-

gresu w przyspieszonych wyborach parlamentarnych z września 1993 r., gdy dostał on niespełna 4% głosów i znalazł się poza Sejmem – podobnie zresztą jak większość partii post-solidarnościowych, które nie przekroczyły pięcioprocentowego progu.

Sojusz i rozłam

I to był koniec KLD; w kwietniu 1994 r. partia ta połączyła się z Unią Demokratyczną, tworząc Unię Wolności. Tusk i jego koledzy byli w UW wyraźnie marginalizowani, a on sam tylko przez rok pełnił funkcję wiceszefa Unii u boku Tadeusza Mazowieckiego. Później co prawda wrócił do parlamentu, ale jako jeden z wicemarszałków Senatu, co oznaczało brak wpływu na politykę rządu AWS-UW. Dopiero ustąpienie Leszka Balcerowicza z funkcji

szefa UW i kongres partii z grudnia 2000 r., gdy wybrano jego następcę, sprawiły, że Donald Tusk mógł wrócić do wielkiej polityki. Co prawda, przegrał rywalizację o przywództwo w Unii z Bronisławem Geremekiem, ale już w styczniu 2001 r. dokonał w UW rozłamu, tworząc wraz z niedawnym kandydatem na prezydenta Andrzejem Olechowskim i AWS-owskim marszałkiem Sejmu Maciejem Płażyńskim nowe ugrupowanie – Platformę Obywatelską.

A ponieważ w tym samym czasie swoją nową partię, Prawo i Sprawiedliwość, założyli bracia Kaczyńscy, historia obu formacji będzie odąd toczyć się równolegle: początkowo jako sojuszników w dobijaniu AWS i UW, a później w zwalczaniu rządów SLD, od 2005 r. zaś jako wrogów, których rywalizacja do dziś jest osią polskiej polityki. Od tego czasu PiS trzy razy pokonało Platformę w wyborach parlamentarnych (w latach 2005, 2015 i 2019) i PO trzykrotnie wygrała z PiS (w latach 2007, 2011 i 2023), co daje remis. Natomiast w wyborach prezydenckich przewaga należy do partii Kaczyńskich (zwycięstwa jej kandydatów w latach 2005, 2015 i 2020 wobec sukcesu kandydata PO tylko w 2010 r.). Taki jest „urok” polskiej polityki od dwóch dekad i wszelkie próby przełamania tego duopolu okazują się nieskuteczne. Przyszłoroczne wybory prezydenckie najpewniej będą dalszym ciągiem tej samej rywalizacji Tuska z Kaczyńskim, której korzenie tkwią jeszcze w początkach lat 90.

Platforma jednak nie jest prostą kontynuacją KLD, tak samo jak PiS nie stanowi zaledwie dalszego ciągu Porozumienia Centrum. W wymiarze personalnym zarówno otoczenie obu liderów, jak i kadry partyjne w ogóle zostały znacznie poszerzone i dziś już tylko niektórych postów PiS można zaliczyć do „zakonu PC”, a pojedynczy politycy PO wywodzą się ze środowiska gdańskich liberałów. Tusk od niemal ćwierćwiecza konsekwentnie otwiera swoje ugrupowanie na ludzi zarówno o prawicowych, jak i o lewicowych życiorysach, a coraz większa część jego podwładnych zaczynała przygodę z polityką już w samej Platformie.

Ta elastyczność personalna doskonale łączy się z elastycznością programową, która umożliwia Platformie ciągłe zajmowanie czołowego miejsca w polskiej polityce. Obecny premier bez wątpienia wyciągnął właściwe wnioski z krótkiej historii KLD, który przegrał jako partia wyraziście liberalna zaraz po tym, jak swoją działalnością skompromitował samo słowo liberalizm. Czy to jednak oznacza, że sam Tusk przestał być liberałem?

Etapy rozwoju

Próba odpowiedzi na to pytanie jest najnowsza książka prof. Lecha Mażewskiego „Jaki liberalizm? Gdańscy liberałowie 1983-1994” (Wydawnictwo von Borowiecky, Warszawa-Radzymin 2024). Stanowi ona nie

Tusk jest strażnikiem prozachodniej, a zwłaszcza proeuropejskiej linii III RP. To wybór nie tylko geopolityczny, ale i ustrojowy, który można nazwać liberalno-demokratycznym.

tylko naukową monografią środowiska KLD, lecz także rozprawę autora – znanego historyka prawa, ustroju i myśli politycznej – z własną przeszłością. Mażewski bowiem był jedną z ważnych postaci tego środowiska, publicystą wydawanego przez Tuska „Przeglądu Politycznego”, w latach 1991-1993 posłem, który jednak w 1992 r. opuścił Kongres, po tym jak przegrał z Tuskiem rywalizację o przywództwo w partii, ale też o jej kierunek ideowy. Mażewski próbował skierować KLD-owski liberalizm na tory konserwatywne, a gdy okazało się to niemożliwe, sam przeniósł się do Partii Konserwatywnej Aleksandra Halla, później zaś w ogóle porzucił działalność polityczną na rzecz naukowej, dzięki czemu mogły powstać liczne książki profesora, nie szablonowo traktujące polską historię i współczesność.

W najnowszej pracy Lech Mażewski szczegółowo analizuje kolejne etapy rozwoju politycznego i ideowego środowiska gdańskich liberałów, poczynając od okresu stanu wojennego, gdy zaczynało ono

się formować, po lata 90., gdy przez moment współrzadziło Polskę, by z kretesem przegrać. Główną wartością tej pracy jest pokazanie ewolucji sposobu myślenia ludzi, którym przyszło brać udział w budowaniu fundamentów III RP (zwłaszcza w wymiarze gospodarczym). Nie jest bowiem tak, że liberalizm gospodarczy, którego praktyczną realizacją w warunkach polskich stała się prywatyzacja z lat 90., był programem gdańszczan od samego początku. Mażewski wykazuje, że taką wersję liberalizmu – modnego wówczas w świecie za sprawą brytyjskiego thatcheryzmu i amerykańskiej reaganomiki – zaszczerpił Tuskowi i jego kolegom Janusz Lewandowski, który na łamach „Przeglądu Politycznego” jako pierwszy prezentował anglosaską myśl ekonomiczną, dotąd u nas właściwie

nieznaną. Wcześniej w tym samym czasopiśmie młody Donald Tusk propagował raczej liberalizm w znaczeniu ogólnopolitycznym (demokracja, wolność polityczna), a nawet – co wyraźnie zarzuca mu Mażewski – „liberalizm progresywny”, czyli lewicowy, zarówno w sferze społeczno-gospodarczej, jak i światopoglądowej.

Dominacja starszego i lepiej czytanego w zagranicznej literaturze Lewandowskiego sprawiła, że KLD wszedł na polską scenę polityczną jako partia liberalizmu gospodarczego, co w warunkach masowego bezrobocia i biedy okresu transformacji ustrojowej nie mogło przynieść tej partii sukcesów wyborczych. Brakuje jednak u Mażewskiego refleksji nad samym Tuskiem, który przecież – w przeciwieństwie do pozostałych liderów Kongresu – nie był ani ekonomistą, ani biznesmenem, lecz absolwentem studiów historycznych, w dodatku o kaszubskich korzeniach, co szczególnie musiało wpłynąć na jego pojmowanie polskości, niemieckości i europejskości. Wypomniany po latach przez przeciwników ▶

z prawicy „dziadek z Wehrmachtu” z pewnością uświadomił mu, że polityka w warunkach III RP nie polega na sporach o wysokość podatków, skalę interwencjonizmu państwowego czy metody prywatyzacji, lecz stanowi rodzaj wojny kulturowej, w której retoryka nacjonalistyczna jest i będzie używana bez pardonu. Dlatego ów liberalizm gospodarczy w wydaniu KLD-owskim został przez Tuska bez żalu odłożony do lamusa, tym bardziej że ściganie się w tej konkurencji z kolejnymi formacjami zakładanymi przez Janusza Korwin-Mikkego (później także przez Ryszarda Petru z błogosławieństwem Leszka Balcerowicza) oznaczałoby polityczną marginalizację Platformy Obywatelskiej.

Kierunek Zachód

A Tusk założył tę partię nie po to, by znów przegrywać, lecz by wreszcie zacząć odnosić sukcesy. I to mu się udało, ale za cenę ideowych i programowych slalomów, których

starła się być „bardziej prawicowa od prawicy” (zwłaszcza w sprawie lustracji, którą zresztą Tusk traktował bardzo cynicznie, wykorzystując ją chociażby do usunięcia z partii Zyty Gilowskiej).

To zaczęło się zmieniać po wyborach z października 2007 r., które PO wygrała dzięki zebraniu większości głosów wyborców lewicowych i centrowych, wystraszonych perspektywą dalszych rządów braci Kaczyńskich. Od tej pory Tusk stawał się coraz mniej prawicowy (pozbywszy się uprzednio Rokity, który przeszedł na stronę pisowską), a nawet powoli zaczął pozyskiwać kolejnych polityków lewicy – choć samego SLD nigdy nie dopuścił do współrządzenia, zadowolając się przez dwie kadencje koalicją z PSL. Nie była to jeszcze epoka tak silnych zmian pokoleniowych, by ówczesny premier miał się interesować postulatami liberalizacji prawa do aborcji, związków partnerskich czy ograniczenia religii w szkołach. Na to przyszedł czas dopiero po powrocie Tuska

podkreślić – choć sam Tusk niestety tego nie robi – że w tej roli zastąpił Aleksandra Kwaśniewskiego, który przez dwie kadencje swojej prezydentury zapewnił Polsce nowoczesną konstytucję oraz dopilnował wejścia naszego kraju do NATO i Unii Europejskiej.

Gdy zabrakło prezydenta Kwaśniewskiego, a władzę dwukrotnie przejmowało PiS, po raz pierwszy po 1989 r. pojawiła się groźba ostrego konfliktu z naszymi zachodnimi sojusznikami (zwłaszcza Niemcami i Francją), a także z instytucjami europejskimi. Również stosunki z Ameryką rządzoną przez demokratów (najpierw przez prezydenta Obamę, potem Bidena) znacznie się ochłodziły w czasach dominacji polskiej prawicy, która uwielbia USA, lecz jedynie wtedy, gdy władzę sprawują tam republikanie.

Premier Tusk – przy pomocy ministra Sikorskiego – to wszystko naprawiał i nadal naprawia, słusznie uznając, że miejsce Polski jest na Zachodzie, zarówno w wymiarze bezpieczeństwa narodowego i rozwoju gospodarczego, jak i wyboru cywilizacyjnego, co szczególnie istotne w świecie zagrożonym imperialnymi ambicjami Chin i Rosji oraz narodowymi egoizmami wielu krajów Europy. Czy taką postawę można nazwać liberalizmem? Być może. Ale jest to liberalizm wyznawany przez większość elit świata zachodniego: od amerykańskich demokratów, przez niemieckich socjaldemokratów i chadeków, po francuskich socjalistów, gaullistów i centrystów spod znaku prezydenta Macrona. W szczegółach oni wszyscy się różnią, lecz stanowią swoistą międzynarodówkę obrońców liberalnej demokracji przed zagrożeniem ze strony rodzimych i obcych nacjonalizmów, kwestionujących porządek ustanowiony w Europie po roku 1945 (w jej części zachodniej) i 1989 (we wschodniej). Tusk – tak jak wcześniej prezydent Kwaśniewski – do tej nieformalnej międzynarodówki należy, a nawet zajmuje w niej istotne miejsce. I to sprawia, że jest dziś najważniejszą postacią w polskiej polityce.

Paweł Siergiejczyk

Platforma nie jest prostą kontynuacją KLD, tak samo jak PiS nie stanowi tylko dalszego ciągu Porozumienia Centrum.

w ostatnim ćwierćwieczu wykonał niemało. Platforma powstała bowiem jako partia sytuująca się wyraźnie na prawo od Unii Wolności, z bardzo silnym skrzydłem konserwatywnym. Tak było do 2007 r., gdy obok Tuska na czele partii stał najpierw Maciej Płażyński, a po jego odejściu Jan Maria Rokita, głównym rezerwuarem kadr PO stało się zaś Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe, wcześniej będące jednym z filarów AWS. To były czasy, gdy Platforma nie tylko domagała się podatku liniowego, okręgów jednomandatuowych i likwidacji finansowania partii politycznych z budżetu państwa, lecz także żądała totalnej lustracji i otwarcia archiwów IPN, popierała kult „żołnierzy wyklętych” i głosowała za likwidacją Wojskowych Służb Informacyjnych. Była więc równie antykomunistyczna jak ówczesne PiS, a w niektórych sprawach

z Brukseli, choć można się zastanawiać, na ile poważnie traktuje on cały ten lewicowo-liberalny pakiet spraw i czy rzeczywiście jest zdeterminowany je przeprowadzić, a w jakim stopniu to dla niego tylko narzędzie mobilizowania wyborców i dalszego osłabiania lewicy.

Lech Mażewski postrzega obecną linię ideowo-polityczną Platformy jako powrót Tuska do młodzieńczego „liberalizmu progresywnego” i de facto zdradę zarówno liberalizmu gospodarczego w wydaniu KLD, jak i konserwatywnych początków PO. Autor książki nie zwraca natomiast uwagi na kluczowy element aktywności politycznej Tuska od niemal dwóch dekad. Otóż jest on strażnikiem prozachodniej, a zwłaszcza proeuropejskiej linii III RP, co oznacza wybór nie tylko geopolityczny, ale i ustrojowy, który można nazwać liberalno-demokratycznym. Warto

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Paroksyzmy prezydenta

Dla tych, którzy mają małe dzieci i zwierzęta domowe, raczej psy niż koty, pewne formy zachowań w sytuacjach nerwowych, awanturniczych są oczywistością. Nie ma wówczas wobec krzyczącego, miotającego się po podłodze dzieciaka czy namolnego psiaka broni potężniejszej niż obojętność, brak zainteresowania, przejście mimo, niezwracanie uwagi. To po prostu działa, choć warto pamiętać, że ten krzyk czy szczek jest zarazem czymś kompletnie nieznośnym, jak i wołaniem o uwagę, zainteresowanie. Atak decybeli trzeba jednak przerwać, w ostateczności przeczekać. Tyle pseudomądrości pedagogicznych.

Jest to refleksja, która mnie dopadła po ostatnich wystęпах i publicznych wystąpieniach prezydenta Dudy, Andrzeja. Andrzej Duda już wielokrotnie zasłużył sobie na konstatację, że cechuje go rodzaj niedojrzałości, że wykonuje gesty i serwuje wypowiedzi godne chłopca w krótkich spodenkach. W ostatnich dniach widowiskowo powrócił do tej niedojrzałości, dokładając szczyptę chamstwa i ogólnej dezynwoltury, rozumianej tu jako rezygnacja z pracy rozumowej. Za to ujawnił potencjał do natychmiastowej tzw. reakcji nożycowej (uderz w stół, nożyce się odezwą). Otóż nasza instytucja, bo tak się widzi Andrzej Duda, została, jak się okazuje, dotknięta do żywego krytyczną pod jego adresem wypowiedzią prof. Adama Strzembosza, przypomnijmy – byłego pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, przewodniczącego Trybunału Stanu oraz przewodniczącego Krajowej Rady Sądownictwa.

94-letni obecnie profesor w wypowiedzi publicznej stwierdził, że Andrzej Duda winien jest co najmniej 16-krotnego naruszenia konstytucji podczas swojego urzędowania, nazywanego też harcowaniem. Cios nestora polskiego świata prawniczego trafił widać celnie, bo z zawziętością godną lepszej sprawy i nieokiełznaną agresją Duda usiłował się odwinąć Strzemboszowi. Jak to ma w swoim niepowtarzalnym stylu, dobrał jednak nie te armaty do nie tego komara. „Prof. Strzembosz jest jednym z ludzi, którzy są odpowiedzialni za to, że w polskim wymiarze sprawiedliwości pozostali komunistyczni sędziowie, splamieni przynależnością do PZPR, a niektórzy splamieni wydawaniem wyroków w stanie wojennym – wyżył się prezydent. – Więc myślę, że wypowiadanie się przez niego w tych sprawach jest co najmniej nie na miejscu. Ale rozumiem, że już jest starszym panem. (...) Oj tak, doświadczenie ma wielkie. W podtrzymywaniu komuny na pewno”.

Ten płacz urażonego „Długopisa” brzmi naprawdę paradnie, kiedy wspomnimy epizod powołania przez Dudę

na sędziego Trybunału Konstytucyjnego prokuratora Piotrowicza, byłego posła PiS, który w rzeczy samej realnie oskarżał opozycjonistów w stanie wojennym. Wszystko to w myśl zasady: „może i szuja, ale nasza szuja”. Z Dudy wydobywa się w chwilach niepewności co do jego przyszłości sprawdzony język „zoologicznego antykomunizmu”. Chwila nieuwagi i Andrzej Duda zacznie dekomunizować swoich rodziców, którzy wszak oboje obronili doktoraty w PRL.

Zareagował też Donald Tusk (widać, że ma dzieci – patrz początek tekstu), mówiąc: „Bądźcie, proszę, wyrozumiali wobec pana prezydenta i jego dziwnych, agresywnych wypowiedzi”. Słychać ten ton, pewien rodzaj dystansu do historycznych szarży Andrzeja Dudy. Cóż, Andrzej Duda niepowstrzymanie przechodzi do historii i równocześnie do przyszłości, która jest i nieznana, i raczej niepewna. Co mu obie zrobią, historia i przyszłość,

Andrzej Duda niepowstrzymanie przechodzi do historii i równocześnie do przyszłości, która jest i nieznana, i raczej niepewna.

nie wiemy. Ale wiemy, kiedy to się stanie. Istnieje strona licznikdudy.pl, gdzie nieubłagane widać kurczący się stan urzędowania w Pałacu Prezydenckim. Kiedy piszę te słowa, zostało 279 dni, 5 godzin, 21 minut i 36 sekund i z każdą chwilą nadchodzi ten moment.

Sam prof. Strzembosz z dystansem, którego promil pomógłby Andrzejowi Dudzie zachowywać się poważnie, komentował słowa prezydenta w rozmowie z Wirtualną Polską: „Pan prezydent jest za wysoko, a ja za nisko (...). W czasie kiedy ja byłem pierwszym prezesem Sądu Najwyższego, większość sędziów odeszła w stan spoczynku. Doszło do nowych wyborów wszystkich sędziów. Nigdy nie było takiej czystki w sądzie jak w SN właśnie za mojego urzędowania. Ale co ja będę dyskutował z panem prezydentem, mierny emeryt wobec takiej głowy państwa”. Przypomniał też, że „zastępcą Zbigniewa Ziobry w resorcie sprawiedliwości był Andrzej Kryże, który również był sędzią w czasach stanu wojennego. Nikomu to nie przeszkadzało, rządził całym ministerstwem”.

Tak więc spuszcza kurtynę milczenia za odchodzącym prezydentem, choć raczej jestem pewny, że to nie koniec jego dokazywania. Nie mam na to wpływu, będę informował, ile jeszcze zostało nam tego krótkospodenkowania. ■

Uchodźcy. Rezk Alkabak

Ucieczka to sieć kontaktów. Ktoś komuś wysyła pieniądze, ktoś organizuje transport, ktoś kogoś przenocuje, skontaktuje z kimś, kto da pracę. I tak to działa

Anna Wyrwik

Rezk jest prawnikiem z Syrii. Do Europy uciekał przez Iran, przez góry, przez Turcję, przez morze. – To był najbardziej niebezpieczny moment w moim życiu – mówi. Po miesiącach w drodze, a potem miesiącach w ośrodkach dla uchodźców w oczekiwaniu na papiery, zamieszkał w Krakowie. Pracuje i układa wszystko na nowo.

I wtedy wszystko się zmienia

– Poproszę jedną syryjską na wynos – mówi chłopak i siada przy stoliku.

Przy drugim stoliku inny chłopak je klasyczną z mięsem, surówką i sosem. Na ladzie w pojemnikach znajdują się produkty. Oliwki, ser, czerwona cebula, pomidory, papryka, sosy, pity. Na ścianach wiszą małe wydruki zdjęć z Syrii. Pachnie mięsem, które obraca się na długiej tulei. Jeden z pracowników odkrawa kawałek, kładzie na pitę, dodaje ogórek kiszony i pastę czosnkową.

Rezk Alkabak nigdy nie marzył o przyrządzaniu kanapek. Marzył o prawie. Już wtedy, gdy jako dziecko biegał ulicami Damaszku. – Będę prawnikiem – mówił, gdy ktoś go pytał, kim chce zostać, jak dorośnie.

Urodził się w ponadpółmilionowym mieście Hims w zachodniej części Syrii, znanym z długiej historii i starych budowli, w tym VII-wiecznego meczetu Chalida ibn al-Walida. Zaraz potem jego rodzina przeprowadziła się do stolicy, do Damaszku. Tata Rezka, Maen, pracował na budowie, mama Shukrieh zajmowała się domem. On i jego starsze rodzeństwo, siostra Mariam i brat

Hani, chodzili do szkoły podstawowej, potem do gimnazjum, do liceum. *Wonderful place, wonderful time* – powie Rezk po latach o tym okresie swojego życia.

Powtarza: będę prawnikiem. I krok po kroku konsekwentnie dąży do spełnienia marzenia. Ma 18 lat, gdy 15 marca 2011 r. na fali arabskiej wiosny w całej Syrii odbywają się wielotysięczne demonstracje przeciwników autorytarnych rządów Baszara al-Asada. Ludzie idą, a na przeciw staje wysłane przez dyktatora wojsko. Żołnierze strzelają. Ginią setki cywilów. I wtedy wszystko się zmienia. Wszystko i dla wszystkich.

Wcześniej nikt by nie pomyślał o wyjeździe z kraju, teraz myśli o tym prawie każdy. Hims zaczyna wyglądać, jakby ktoś wysłał z niego życie, pozostawiając gołe mury i dziury po szybach, a meczet Chalida ibn

i ruszają w drogę, która skończy się w Niemczech.

Rezk jest wtedy na Uniwersytecie Damasceńskim. Na wydziale prawa, tak jak sobie wymarzył. Tyle że po skończeniu studiów, zamiast ubiegać się o staż w którejś kancelarii, musi uciekać przed wcieleniem do armii. Wyjeżdża do Libanu. Mija przygraniczne obozy dla syryjskich uchodźców i jedzie do niewielkiego Amszit nad Morzem Śródziemnym, gdzie przez kolejne dwa lata pracuje jako kucharz w restauracji.

Jak mogę dotrzeć do Europy?

Na świecie wybucha epidemia COVID-19 i Rezk nie może zostać dłużej w Libanie. Wraca więc do Syrii. Ma 4 tys. dol. oszczędności. Mariam sprzedaje biżuterię i wszystko, co ma cennego, i dokłada swoje. Tata, któ-

W ośrodku dla cudzoziemców w Białej Podlaskiej Rezka nie spotyka nic, z czym musiałby iść do mediów, ale od razu stwierdza, że nie jest to dobre miejsce.

al-Walida z listy atrakcji turystycznych przenosi się na listę „10 niezwykłych obiektów, których już nigdy nie zobaczymy”. W Damaszku kolejne fragmenty miasta obracają się w ruiny i powiększają internetowe galerie porównawczych zdjęć *before i after*. Rezk zaczyna rozumieć, że może zginąć w każdej chwili.

Pewnego dnia jego ojciec idzie do piekarni po chleb. Wybiera, kupuje, pakuje, wychodzi przed budynek i wtedy spada bomba. Ledwo uchodzi z życiem. Trafia na dwa miesiące do szpitala i to w tym czasie postanawia, że muszą wyjechać. Gdziekolwiek. W 2015 r. bierze Haniego

ry teraz pracuje w Monachium jako kierowca szkolnego autobusu, też coś wysyła. I brat, który pracuje tam jako barber. 2 tys. dol. dokładają jego teściowie. Rezk liczy, ale wciąż jest za mało.

– Cześć! Zdecydowaliśmy się wyjechać do Europy. Pomożesz mi? – dzwoni do najlepszego przyjaciela, który od kilku lat mieszka w Kanadzie.

– Pewnie. Ile potrzebujesz?

27 października 2020 r. Rezk i Mariam wsiadają do samolotu do Iranu, bo do Iranu Syryjczykom nie są potrzebne wizy. Wystarczy na facebookowej grupie wpisać: „Jak mogę dotrzeć do Europy?” i wyskakują

oferty. Wystarczy popytać znajomych, przyjaciół, tych, którzy wyjechali, i tych, którzy zostali. Biznes się kręci. Rezk i Mariam wybierają opcję za 1,2 tys. dol. od osoby. Pierwszym etapem jest lot. Lądują w Tebrizie. Ponad pół miliona mieszkańców, kolejne stacje metra, małe kamienice, w okolicy istniał ponoć biblijny Eden, a w centrum istnieje park Shah Goli. „Zdecydowanie warto zobaczyć podczas wycieczek do Tebrizu – zachwała internetowy przewodnik. – Jeden z niewielu terenów zielonych w mieście, przyjazna okolica, w której można się wybrać na spacer i złagodzić stres”. Rezk i Miriam czekają, zestresowani. Przez kolejne dni zastanawiają się, czy to jutro. Dziewiątego dnia słyszą, że tak.

6 listopada zakładają górskie buty, na ramiona zarzucają ciężkie plecaki i ruszają. Góry Kurdyjskie również są w przewodnikach. „Górskie krajobrazy z wysokimi szczytami, na których zalegają lodowce”, „Góry pokryte zielonymi łąkami z licznymi rzekami, a czasem i wodospadami”, „Łąki pełne polnych kwiatów oraz drzew owocowych”, „Fantastyczne widoki”. Rezk nie ma szans tego zobaczyć, bo idą nocą. A raczej biegą. On, jego siostra, ich przyjaciółka i jeszcze siedmiu mężczyzn. I przewodnik. Przed wyjazdem dużo czytali w internecie. O tym, jak tysiące ludzi szło przez te góry. I jak służby irańskie i tureckie tysiące zatrzymywały. O tym, jak dwóch Afgańczyków zamazało tu w styczniu 2022 r. albo jak chwilę wcześniej zamazała Afganka, która szła z dwójką dzieci. I w ogóle jak bardzo tu jest niebezpiecznie. Ale i tak idą. Biegają po łąkach, kamieniach, prawie nic nie widząc, ale skoro oni niewiele widzą, to ich też nikt nie zobaczy i nie zgłosi irańskiej ani tureckiej armii. Rezkowi ciąży plecak. Po co brał ze sobą to wszystko, bez sensu, na nic i tylko utrudnia. Ale zaraz potem myśli, że dobrze, że wziął, bo to wszystko, co ma, w sumie całe życie niesie teraz na plecach. I w tym momencie się przewraca. Złamana – myśli. – Cholera! Ktoś mu pomaga wstać i bierze pod ramię. Kuleje. I tak



idą, już trochę wolniej, aż dochodzą do Turcji.

Za tysiąc euro pontonem, za trzy motorówką

– Musisz usztynić z obu stron czymś metalowym i przewiązać bandażem. To nie złamanie. Zagoi się – mówi Rezkowi przez telefon znajomy lekarz z Syrii.

Zgiełk, tragarze biegają z wózkami, kelnerzy machają turystom przed oczami wielkimi menu, koty miauczą, wyjadając wyrzucone resztki na tyłach restauracji, po ulicach jeżdżą SUV-y albo rozklekotane fiaty, znużeni wędkarze łowią ryby w Bosforze, a Beşiktaş wygrywa z Galatasaray 2:0 w derbach. Rezk i Mariam chodzą ulicami Stambułu i szukają transportu. Przeszukują Facebooka i pytają ludzi. Wiedzą, że wiele osób umiera na tych łodziach, wiele utonęło, zamazało, zostało złapanych przez straż – albo nie zostało przez nią uratowanych. Znajdą te zdjęcia z mediów. Słyszą te historie. Ale muszą dostać się do Grecji.

Zdaniem Rezka ludzie w Polsce są bardziej przyjaźni niż w Niemczech. Choć wszędzie są tacy, którzy nie lubią, gdy ktoś jest inny.

– Znacie kogoś, kto może pomóc w przedostaniu się do Grecji? Tak, by było bezpiecznie – pyta Rezk ludzi, którzy mogą coś wiedzieć. A wiedzą, bo tu ten biznes kręci się już na pełnych obrotach. Ale też wiedzą, że nie ma bezpiecznie. Jest mniej lub bardziej niebezpiecznie. Bardziej niebezpiecznie jest, gdy się mniej zapłaci, czyli tak z 1 tys. euro. Tyle starczy na ponton. Od 1,5 tys. do 3 tys. euro kosztuje transport łodzią motorową. Rezk i Mariam chcą jak najbardziej zminimalizować ryzyko i znajdują człowieka, który bierze od nich 1,8 tys. euro na głowę.

Styczniową nocą wsiadają w Bodrum na motorówkę. Oni i sześć innych osób, razem osiem. Kierowca odpala silnik. Rezk jeszcze tego nie wie, a może wie, ale jeszcze sobie nie uświadamia, lecz za jakiś czas powie: – To był najbardziej niebezpieczny moment w moim życiu.

Dokumenty jak oryginalne

Wyspa Rodos jest napakowana hotelami i atrakcjami turystycznymi. Idealne plaże, Dolina Motyli, raj dla surferów. To tu kręcili „Greka Zorbę”, tu stał Kolos Rodyjski i tu po czterech godzinach łódź z Rezkim, jego siostrą i resztą ludzi dopływa do brzegu.

„Jesteśmy. Czy możemy się u ciebie zatrzymać?”, pisze Rezk do mieszkającego od ponad 30 lat na wyspie Syryjczyka, do którego wcześniej zgłosił się przez internet. Podobnie jak oni ów Syryjczyk jest ortodoksyjnym chrześcijaninem, więc pomoże.

Ucieczka to sieć kontaktów. Ktoś komuś wysłał pieniądze, ktoś komuś załatwia kogoś, kto załatwia kogoś, kto zna kogoś, kto organizuje transport, ktoś kogoś przenocuje, skontaktuje z kimś, kto zna kogoś, kto da pracę – i tak to działa. Tym bardziej jeśli jest się z Syrii, bo z Syrii każdy przyjeżdża do Europy nielegalnie. ▶

„Jasne, przyjeżdżajcie”, odpisuje Syryjczyk z Rodos. Omijają zatem fundacje, organizacje i inną pomoc, bo nie po to tu przyjechali, by siedzieć w obozie. Znają ludzi, którzy przesiedzieli tak w Grecji ponad rok. Oni chcą się dostać do Niemiec, do rodziny. Spędzają na Rodos kilka dni, a potem jadą do Aten, do kuzyna, z którym też wcześniej się umówili. Z lotniska w Atenach codziennie odlatują samoloty. Do innych krajów europejskich, do Niemiec, do Monachium, gdzie czekają tata i brat Rezka. A Rezk tylko stoi w oknie i patrzy, jak robią białe ślady na niebie. I tak przez dwa miesiące. Chodzą po Atenach i szukają sposobu. Tu również ten biznes ma się nieźle.

Z Syrii każdy przyjeżdża do Europy nielegalnie.

– Najważniejsze to opuścić Turcję i Grecję. Wszędzie indziej w Europie będzie już bezpiecznie – mówią im ludzie. – Musicie lecieć bezpośrednio do któregoś z krajów sąsiadujących z Niemcami. Ewentualnie możecie spróbować drogą lądową przez Albanie, a potem dalej, przez Bałkany.

Wybierają lot. Turyści robią sobie selfie na tle starożytnych świątyń, a Rezk i Mariam robią sobie zdjęcia do fałszywych dokumentów, które umożliwią im dostanie się na pokład samolotu. Koszt za jeden pakiet to 4 tys. euro. – Wyglądają jak oryginalne dokumenty – mówi mężczyzna, który im je sprzedaje.

Najbardziej znany piosenkarz w Syrii

– Ja polecę pierwszy – postanawia Rezk. Wie, że z Niemcami będzie trudniej, więc kupuje lot do Warszawy. Jest sierpień 2021 r. Bierze bagaże, bilet, fałszywe dokumenty i jedzie na lotnisko. Tam przechodzi przez pierwszą bramkę. Kładzie bagaże na taśmę. Komórka osobno. Pasek od spodni osobno. Płyny osobno, maksymalnie 100 ml. Jest tak zestresowany, że prawie sparaliżowany. Spocony. Lekko się trzęsie. Wie, co robi i co się z tym wiąże. Wie, że nie ma innego wyjścia. Zabiera z taśmy

bagaze. Idzie do gate'u. Pokazuje bilet, dokumenty i wsiada do samolotu. Stres powoli maleje, a on nie wie, czy leci godzinę, trzy czy dziesięć.

– Jestem nielegalnym uchodźcą z Syrii. Chcę się dostać do mojej rodziny w Niemczech. Proszę, pomóżcie mi – mówi strażnikom granicznym na Lotnisku Chopina w Warszawie.

– Nie martw się. Jesteś w Polsce. Jesteś bezpieczny – mówi do niego strażniczka.

Rezk po raz pierwszy od 27 października 2020 r., a może po raz pierwszy od 15 marca 2011 r., czuje się bezpiecznie.

Wszystko dzieje się sprawnie. Strażnicy zabezpieczają jego rzeczy, dają mu papiery, spisują protokół,

tłumaczą, powtarzają, żeby się nie bał, że jest w bezpiecznym miejscu, że mu pomogą. On im wierzy. I odpowiada na kolejne pytania, mające zweryfikować, czy naprawdę jest Syryjczykiem. Mówi o najśłynniejszych miejscach w swoim kraju, kto jest prezydentem Syrii i że najbardziej znanym piosenkarzem jest George Wassouf. Potem strażnicy gdzieś dzwonią i podają mu telefon.

– Kim jesteś? – pyta Rezk po arabsku.

– Nie mogę ci powiedzieć. Jedyne, co mam zrobić, to sprawdzić, czy jesteś Syryjczykiem.

Rozmawiają przez chwilę i głos ze słuchawki w końcu stwierdza: – Jesteś z Syrii. Powiem im to.

Rezk dostaje jedzenie, wodę, herbatę, łóżko do spania i tak spędza pierwszą noc w Polsce. Rano strażniczka z lotniska pomaga mu złożyć wniosek o status uchodźcy. Po tygodniu na kwarantannie, bo to wciąż pandemia COVID-19, Rezk wsiada do Flixbusa i jedzie do Niemiec. Tam po raz pierwszy od siedmiu lat spotyka się z tatą i Hanim. Hani w tym czasie nie próżnowała. Każdy chce u niego strzyc brodę, a na Instagramie obserwuje go już kilkanaście tysięcy osób.

Wkrótce do Monachium przyjeżdża mama Rezka. Prosto i legalnie, bo w ramach niemieckiej akcji

łączenia rodzin, która Rezka i Mariam ze względu na ich wiek (powyżej 18. roku życia) nie objęła. Mariam trzykrotnie próbuje dostać się do Niemiec samolotem, bo ponoć kobiecie jest łatwiej. Za trzecim razem ją wypuszczają.

Rok później, we wrześniu, wniosek Rezka o status uchodźcy w Niemczech zostaje odrzucony. Tłumaczenie jest proste: złożył już taki wniosek w Polsce. Nie wiedział, nie pomyślał o tym. Chciał być po prostu ze swoją rodziną bez względu na wszystko. Niemiecka policja odwozi go do granicy z Polską.

Wciąż widać napis Horbowianka

Jest jesień 2022 r. W słońcu brązowe liście spadają z drzew na trawę i nastolatki szurają po nich tenisówkami, kręcąc filmiki na TikToka. Ale z okien Strzeżonego Ośrodka dla Cudzoziemców w Białej Podlaskiej wszystko wygląda szaro. Media często pisały o tym miejscu. Kraty, mury, strażnicy, kajdanki, gaz łzawiący. Różne były historie. Rezka nie spotyka nic, z czym musiałby iść do mediów, ale od razu stwierdza, że nie jest to dobre miejsce. Poznaje dwóch chłopaków z Syrii. I tak siedzą sześć miesięcy i czekają. Na co? Na decyzję, czy mogą zostać w Polsce. Chodzą i czekają. Patrzą w telefony. Czytają wiadomości ze świata albo od rodzin w Niemczech. Prowadzą wideorozmowy. Nudzą się. Chodzą i czekają. Pół roku.

Następnie trafiają do Kolonii Horbów, wsi położonej przy drodze E30 prowadzącej z Białej Podlaskiej do przejścia granicznego z Białorusią Terespol-Brześć. Na białym budynku wciąż widać napis Horbowianka. Kiedyś to był zajazd, dziś jest hotel dla uchodźców. Po korytarzach chodzą Czeczeni, Ukraińcy, chodzi też Rezk z nowymi kolegami z Syrii, właściwie już przyjaciółmi. A właściwie nie chodzi, ale się snuje. Czekają. Patrzą w telefon. Czytają wiadomości ze świata albo od rodziny w Niemczech. Prowadzi wideorozmowy. Robi research w sprawie pracy. Kontaktuje się z organizacjami. W końcu trafia na krakowską Fundację Światło dla Syrii (Light For Syria).



„Naszą misją jest organizowanie i niesienie pomocy humanitarnej i rozwojowej, dobroczynnej i charytatywnej, społecznie użytecznej i oświatowej oraz przeciwdziałanie wykluczeniu społecznemu ludności z krajów dotkniętych wojną lub innymi kataklizmami, w szczególności Syrii”, pisze na swojej stronie fundacja. „Nie chcę pieniędzy ani nic takiego. Pomóżcie mi tylko znaleźć pracę”, pisze do niej Rezk.

Kanapka z shawermą w wersji Aleppo

– Może restauracja? – pyta Rezka Renata Grzybczak, prezeska fundacji. – W Krakowie jest ich dużo, na pewno coś się znajdzie.

Jest kwiecień 2023 r. Planty w słońcu, gołębie i dorożki na rynku, brytyjscy turyści piją piwo w pubach, a Rezk siedzi z Renatą w jednej z kawiarni. W kieszeni ma już pozwolenie na pracę. Znajduje ją w punkcie z syryjskim jedzeniem na krakowskiej Koronie. Ktoś w internecie pisze, że Jamra podaje jeden z lepszych kebabów w Krakowie. Rezk dostaje także status uchodźcy. Prawnik działający przy fundacji pomaga mu ogarnąć papiery.

Chłopak odbiera kanapkę syryjską i wychodzi. Pije herbatę, a na zewnątrz para je danie o nazwie szisz táfuka, czyli mięso na szablach, jak głosi

menu. Do środka wchodzi kurier po dania z zamówienia online.

– Wiesz, spędziłem 24 lata na nauce, żeby zostać prawnikiem. A teraz pracuję w kebabie i robię dla ludzi kanapki. To nie jest satysfakcjonujące – mówi Rezk i składa dla klienta kanapkę z shawermą o nazwie Aleppo. Smaruje pitę pastą czosnkową, kładzie na to mięso, pietruszkę, cebulę, paprykę, pomidor, ogórek i polewa wybranym sosem. Aleppo. Najpopularniejsza potrawa w menu. – Ale co mogę zrobić? Mam w ogóle szansę na coś więcej? Nie wiem. Będę się starał znaleźć inną pracę. Może jakaś

– Sytuacja w Syrii tak szybko się nie zmieni – mówi Rezk.

– Będzie tylko gorzej. Popatrz na to, co teraz się dzieje w Libanie.

korporacja? Może IT? Ale wiem, że moje CV nie jest najlepsze. Nie mam żadnego doświadczenia w Europie. Ukończyłem studia prawnicze w Syrii i nie mam szans, by pracować jako prawnik w Polsce. Musiałbym pójść od nowa na studia tutaj, a mam już 31 lat i muszę pracować, żeby zarabiać pieniądze.

Jeden z syryjskich przyjaciół Rezka z ośrodka w Bielsku Białej i Kolonii Horbów wylądował w Rzeszowie. Pracuje w zakładzie barberskim. Drugi próbował swoich sił we Wrocławiu, ale w końcu zdecydował się

– Spędziłem 24 lata na nauce, by zostać prawnikiem. A teraz pracuję w kebabie i robię dla ludzi kanapki – mówi Rezk.

na przeprowadzkę do Krakowa. Razem z Rezkim wynajmują mieszkanie. Bo Rezk zamierza zostać tu dłużej. Krok po kroku urządza sobie życie.

– Gdy pierwszy raz przyjechałem do Stuttgartu, pomyślałem, że to miasto idealne – opowiada. – A potem przyjechałem do Krakowa i stwierdziłem, że jest jeszcze lepszy. Wszystko tu jest proste, wszystko na miejscu.

Zaczął chodzić na siłownię. Latem jeździł nad zalew Bagry albo nad Zakrzówek. Niekiedy, gdy ma czas, spotyka się ze znajomymi w kawiarni albo barze z sziszą. Ale za dużo tego czasu nie ma, bo pracuje pięć albo sześć dni w tygodniu po osiem godzin, a do tego jeszcze ta siłownia i kurs prawa jazdy, bo może kiedyś zostanie taksówkarzem. Coraz lepiej mówi po polsku. W pracy czy sklepie bez problemu już się dogada. I od czasu do czasu odwiedza w Monachium rodziców i rodzinę brata, a w późnocnych Niemczech siostrę, która pracuje jako nauczycielka w przedszkolu.

– Ludzie w Polsce są bardziej przyjaźni niż w Niemczech – zauważa. – A już na pewno o wiele bardziej przyjaźni niż w Grecji. Choć wszędzie są tacy, którzy nie lubią, gdy ktoś jest inny.

Ucieczka to sieć kontaktów. Jeśli w tej chwili ktoś potrzebuje kogoś, kto w czymś by pomógł, coś załatwił, z kimś skontaktował albo doradził, to Rezk chętnie tym kimś jest.

– Myślę, że sytuacja w Syrii tak szybko się nie zmieni – mówi. – Będzie tylko gorzej. Popatrz na to, co teraz się dzieje w Libanie. Zaczyna się wojna. Nie wiem... Może kiedyś wrócę do Syrii i będę pracował jako prawnik. Ale kiedy? Za 10 lat? Za 15? Na razie planuję swoje życie spędzić w Polsce.

Anna Wyrwik

Odwieczny wróg?

Niemcy już nam zapłacili reparacje w postaci 20% swojego przedwojennego terytorium. Upominajmy się nadal o te reparacje, to Niemcy wyciągną i ten argument

Rozmawia Paweł Dybicz

PROF. ANDRZEJ ROMANOWSKI

Czy Niemcy przestali być odwiecznym wrogiem Polski?

– Niemcy nigdy nie byli odwiecznym wrogiem Polski. W ogóle nie ma takiego pojęcia jak „odwieczny wróg”.

W iluż to książkach, artykułach widziałem to pojęcie.

– Ale to świadczy tylko o naszej zideologizowanej historiografii. Proponuję na dzień dobry formułę inną: Niemcy nauczyli Polaków czytać i pisać.

Ostro jedziesz.

– Ale prawdziwie. To przecież Niemcy przynieśli do Polski Europę: Zachód i łacinę. To pośrednio dzięki nim zaczęto dziwne dźwięki słowiańskiej mowy zapisywać alfabetem używanym tysiąc lat wcześniej przez Cyserona. Przed tysiącem lat Niemcy nie przynieśli do Polski języka niemieckiego, bo go w piśmie nie używali – pisali wyłącznie po łacinie. No a chrzest przyjął Mieszko z Niemiec. To kłamstwo, że przyjął go z Czech, skoro księstwo czeskie nie miało wtedy swego biskupstwa. Nie mówiąc o tym, że Czechy były lennem Cesarstwa. A już absurdem do kwadratu jest fraza: „Mieszko przyjął chrzest z Czech, by nie przyjmować go z Niemiec”.

Historycy od wielu dziesięcioleci toczą spór, gdzie ten chrzest właściwie się odbył.

– Prof. Krzysztof Ożóg mówi o Poznaniu, prof. Tomasz Jurek o Magdeburgu lub Kwedlinburgu, nieżyjący już prof. Jerzy Dowiat obstawiał Ratyźbonę. Ale zawsze mogło chodzić tylko o biskupstwo niemieckie. Mieszko I czy za młodu Bolesław

Chrobry przyjeżdżali do Kwedlinburga lub Merseburga, podziwiali murowane świątynie i zamki, bo czegoś takiego w ich krajach nie było. Oni nie wyjeżdżali do Francji czy Italii, bo to było za daleko – oni wyjeżdżali do krajów niemieckich. Mieszko nosił tytuł „przyjaciel cesarza” (*amicus imperatoris*), a w latach 985 i 986 ramię w ramię z rycerstwem niemieckim najeżdżał słowiańskich Wieleatów. Potem synowa Chrobrego, Niemka Rycheza, wznosiła w Krakowie na Wawelu pierwszą katedrę: zaszczepliła w niej wzory z katedry w Kolonii. Ona musiała mieć ogromny wpływ na europeizację Polski – nigdy tego do końca nie poznamy, bo zniszczyła to w XI w. reakcja pogańska – taki ówczesny PiS.

Odwolujesz się do swojej broszury „Odwieczny PiS, czyli Historia Polski”.

– Tak. Dlatego nie uzasadnię tu tej tezy, pozwolę sobie nieskromnie odesłać do tej książeczki. Ale wyobraźnia podpowiada mi obraz, jak Rycheza z synem Chrobrego, księciem Mieszkim, długo rozmawia w noc poślubną po łacinie. Bo oni oboje, Mieszko i Rycheza, znali łacinę, znali też grekę. Ich córka, wielka księżna kijowska Gertruda, jest pierwszą polską pisarką. Rzecz jasna, łacińskojęzyczna. Bo łacina to język ojczysty Polaków. Ich pierwszy język ojczysty, język ich piśmiennictwa.

No a potem, u schyłku XII w., pojawiła się w Polsce kolonizacja niemiecka. Zawdzięczamy jej powstanie miast – najpierw na Śląsku, potem także w reszcie Polski. Na przykład w Krakowie, w którym niemieckojęzyczni

koloniści ze Śląska wytyczyli Rynek i odchodzące od niego ulice. Może więc o tym będziemy mówić, zamiast o odwiecznej wrogości?

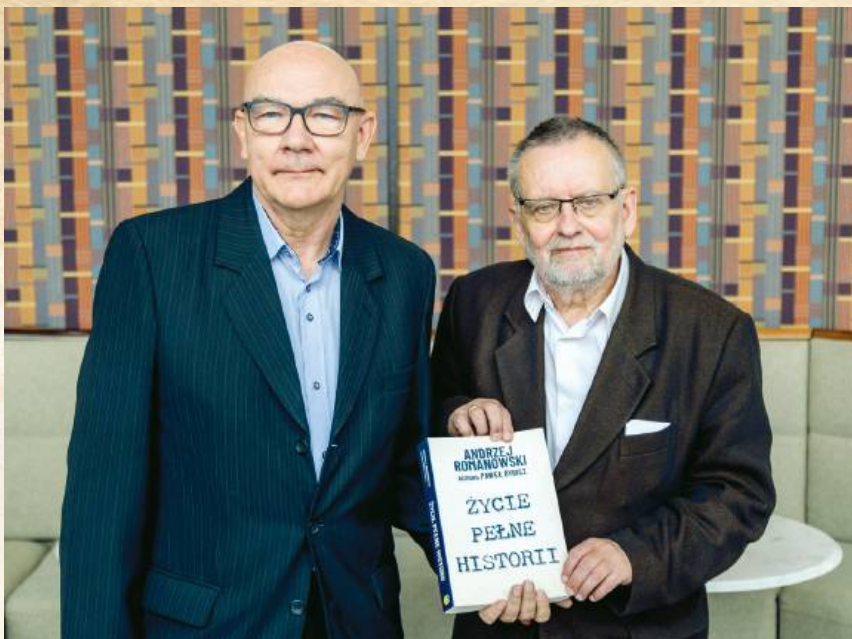
Jakoś dopiero ostatnio widzisz u ciebie zainteresowanie pograniczem zachodnim. Zawsze byłeś cały zwrócony na Wschód.

– To prawda. Ale z wiekiem człowiek mądrzeje. Gdy wykładałem studentom literaturę pogranicza, zorientowałem się, że jest u mnie jakaś dysproporcja. Wszak pogranicze polsko-niemieckie jest pierwotne, a więc najważniejsze. No i istnieje dziś Polska w granicach poczdamskich. Polska, której ponad jedna trzecia terytorium należała jeszcze 80 lat temu do państwa niemieckiego. Czasy PRL bardzo skutecznie wbiły nam do głowy mit „Ziem Odzyskanych”. Tak skutecznie, że w dążeniu do prawdy trzeba było przyjąć, że są to po prostu ziemie poniemieckie i kropka.

I wtedy z kłamstwa PRL-owskiego wpadamy w kłamstwo III RP. Bo Śląsk, który odpadł od Polski w pierwszej połowie XIV w., należał najpierw do Korony św. Wacława, czyli do Czech, potem do monarchii habsburskiej, a dopiero od połowy XVIII w. do połowy XX w. do Prus. Inna rzecz, że z Prusami zrósł się szczególnie silnie. No ale dla nas, to znaczy dla polskiej kultury, nigdy nie przestał być ważny.

Szczególnie ten Śląsk ludowy.

– Lud na Śląsku posługiwał się różnymi gwarami. Na północ od Wrocławia, blisko Wielkopolski, dominowała gwara polska, na południu Śląska – mieszane języki polsko-czeskie. Natomiast środek... zwłaszcza miasta były



Prof. Andrzej Romanowski (z prawej) z autorem rozmowy Pawłem Dybiczem.

niemieckie. Z tym że nie był to żaden wyjątek, bo taka sama sytuacja panowała przed wiekami również w Poznaniu czy Krakowie. Mówię bowiem nie o polskości Śląska, lecz o stałej więzi regionu z Polską. A ta jest chwilami zaskakująca, nawet wzruszająca, bo np. pierwszy druk polski... jak sądzisz, gdzie się ukazał?

W Krakowie?

– Właśnie nie, bo we Wrocławiu. W łacińskim druku Kaspra Elyana z roku 1475 pomieszczono trzy modlitwy w języku polskim: „Otcze nasz”, „Zdrowa Maryja” i „Wierzę”. Na pierwsze polskie druki w Polsce – rzeczywiście w Krakowie – trzeba było poczekać ponad 30 lat. Wydali je oczywiście przybysze z Niemiec, bo tylko oni posiadli umiejętność druku.

Po drugie, na Śląsku panowała dynastia piastowska. Ona dość szybko się zgermanizowała, ale dla tamtejszych niemieckich Ślązaków nie przestała być dynastią własną, rodzimą. Jej poddani pisali nawet utwory – po łacinie bądź po niemiecku – by ta dynastia objęła tron Polski. I ta śląska świadomość przetrwała do XX w. NRD-owska pisarka Ursula Höntsch pisała o swej rodzinnej Legnicy i wspominała swego władcę, poległego w roku 1241 w bitwie z Tatarami, Henryka Pobożnego. Zresztą niemieckojęzyczni Ślązacy nie zawsze

uważali się za Niemców – uważali się za Ślązaków. Ich język niemiecki też był odrębny – widać go w wielu dramatach Gerharta Hauptmanna.

Czym tłumaczysz przywiązanie Ślązaków, nawet tych niemieckich, do książąt piastowskich?

– Jak mówię, ci książęta byli swoi. Dla nas litewscy Giedyminowicze stali się Jagiellonami – też byli swoi. Przez pierwsze sto lat naszej państwowości Śląsk przechodził z rąk czeskich w ręce polskie, potem w ręce czeskie i znów, w 1058 r., w ręce

To Niemcy przynieśli do Polski Europę: Zachód i łacinę. To pośrednio dzięki nim zaczęto dźwięki słowiańskiej mowy zapisywać alfabetem używanym wcześniej przez Cyserona.

polskie. Później, od roku 1138, to już było odrębne księstwo, coraz silniej uzyskujące własną tożsamość, coraz bardziej odbiegające od Polski, bo wyżej stojące cywilizacyjnie, posługujące się językiem średnio-wysoko-niemieckim (*Mittelhochdeutsch*). Ostatni książę piastowski zmarł w roku 1675, 15-letni Georg Wilhelm von Brieg, Liegnitz und Wohlau, czyli Jerzy Wilhelm na Brzegu, Legnicy i Wołowie. W Brzegu stoi do dziś piękny zamek książąt piastowskich. Tak się mówi dumnie: książąt piastowskich,

ale to przecież nie znaczy polskich. Owszem, dynastia wywodziła się od Mieszka I, ale to byli władcy śląscy, ludzie języka niemieckiego. (...)

A zakon krzyżacki? Nie wliczasz go do państw niemieckich?

– Z zakonem krzyżackim sprawa jest skomplikowana. Przez 158 lat, od zajęcia Gdańska przez zakon (1308) do pokoju toruńskiego (1466), mieliśmy konflikt na śmierć i życie. Ale i wtedy nie powinno nam umykać to, że zakon sprowadzał kolonistów z Mazowsza. To była tzw. kolonizacja mazurska i już u schyłku istnienia państwo krzyżackie było w niemałej części polskie, mazurskie. Księstwo Pruskie, już po sekularyzacji, w 40% było polskie! Potem to się zmieniło, bo – czego też u nas się nie pamięta – w odwecie za zdradę elektora, który w czasie potopu stanął przy Karolu Gustawie, miał miejsce w 1656 roku straszliwy najazd polskich sojuszników, Tatarów, na Prusy Książęce. (...)

To, że oszczędzano Mazurów – to oczywiście bajka. Gdzie by tam Tatar, nieznający przecież języka polskiego, bawił się w takie niuanse. Najazd na Prusy Książęce był traumą dla pruskich Mazurów przez następne stulecia. Czy można się dziwić, że stali się oni jeszcze bardziej lojalnymi obywatelami państwa pruskiego? Że patrzyli nieufnie na Polaków, z którymi wprowadzie łączył ich podobny język, lecz od których odpychała wiara katolicka?

Ten najazd to nie było jednostkowe wydarzenie?

– Na Prusy Książęce jednostkowe, ale w skali ogólnopolskiej – nie. Na początku tego samego 1656 r. Stefan Czarniecki wzywał do zabijania „żydów i lutrów”. Wcielił to w życie Krzysztof Żegocki mordem lutrów – czyli Niemców, mieszczaństwa niemieckiego – w Wieluniu. A czy trzeba przypominać zagładę Leszna – centrum braci czeskich, miasta Jana Amosa Komeńskiego? I dokonane w tym samym okresie ▶

- wypędzenie braci polskich – arian? Potop szwedzki zaowocował rozpadem katolickiego fanatyzmu i polskiego nacjonalizmu.

Oczywiście wszystko odwróciły czasy zaborów. Rosjanie skutecznie rusyfikowali Ukraińców i Białorusinów, ale rusyfikacja Polaków, zwłaszcza w Polsce centralnej, szła im słabo. Natomiast germanizacja w gniazdowej było nie było Wielkopolsce czyniła zastraszające postępy. Niemcy imponowali kulturą, gospodarką, praworządnością. Po roku 1871, po powstaniu Cesarstwa Niemieckiego, byli rzeczywiście najbardziej niebezpiecznym zaborcą. (...)

Wróćmy do stosunków polsko-niemieckich. Prusy...



Mikołaj Kopernik? Jego rodzina miała korzenie śląsko-krakowskie. To ładnie brzmi, ale w XV w. śląsko-krakowskie znaczyło niemieckie.

– One nie zawsze były antypolskie.
Proszę o przykłady.

– A w oparciu o jakież to sojusze stało się możliwe uchwalenie Konstytucji 3 maja?

Chyba nawet nie warto go wspominać, bo nie minęły dwa lata, a Prusy wróciły do rozbioru.

– Tylko kto kogo najpierw zdradził? Polacy nie byli wierni temu sojuszoowi, na Sejmie Czteroletnim umieścili wśród praw kardynalnych Rzeczypospolitej wnioski o wydzwignięcie antypruskim: „Nie będzie się godziło na żadnym sejmie ani komukolwiek żadnej części zamieniać, tym bardziej od ciała Rzeczypospolitej oddzielać”. Owszem, uległa zmianie konstelacja międzynarodowa, ale niezależnie od tego Prusy w tym właśnie momencie przestały mieć interes w sojuszu z Polską, Fryderyk Wilhelm zwątpił w stałość polskich obietnic. Było mu to na rękę, ale i bez tego opinia o Polakach była w XVIII-wiecznej Europie fatalna. Już wcześniej Fryderyk Wielki uważał, że trzeba się będzie dobrze napracować, żeby ucywilizować tych polskich Irokezów.

Wpływy niemieckie nie ustały wraz ze średniowieczem.

Widać je w kolejnych epokach, gdy wśród pisarzy języka łacińskiego mamy wielu etnicznych Niemców.

Na przykład Jana Dantyska, który naprawdę nazywał się Johann von Höfen. A starszy nieco od niego Mikołaj Kopernik? Jego rodzina miała korzenie śląsko-krakowskie. To ładnie brzmi, ale w XV w. śląsko-krakowskie znaczyło niemieckie.

A w kościele Mariackim słuchało się mszy po niemiecku.

– Nie mszy! Ona była łacińska. Słuchało się niemieckich kazania, których ludzie języka polskiego nie rozumeli. Siedzieć jak na niemieckim kazaniu – to stąd się wzięło to powiedzenie. Ale najciekawsza jest powstająca w Polsce literatura piękna w języku już nie łacińskim, lecz niemieckim. Tu znów mamy wpływ Śląska – prawdziwego zagłębia niemieckiej literatury, kraju tysiąca poetów, jak potem mówiono. Na przykład jeden z najwybitniejszych poetów niemieckiego baroku, Martin Opitz, został u schyłku życia sekretarzem króla Polski, Władysława IV, pisał po niemiecku panegiriki na jego cześć. Zmarł w Gdańsku. A znów inny Ślązak, wybitny dramaturg Andreas Gryphius (prawdziwe nazwisko Greif), rodem z Głogowa, znał Polskę, podróżował po niej w młodości, wydał dramat „Piastus”, a dwa tomy swoich utworów opublikował w wielkopolskim Lesznie.

Od kiedy obecne jest myślenie, że Niemcy w stosunku do Polski są krwiożerczy, a przynajmniej nieżyczliwi?

– To wiek XIX. Mój ukochany romantyzm miał jednak oblicze nacjonalistyczne, to przecież jest czas narodzin nowożytnych narodów. Już nie ma mowy o pojęciu Germania Slavica. Ale nie stało się to od razu. Wielki pisarz niemiecki Ernst Theodor Amadeus Hoffmann, rodem z Królewca, urzędnik pruski w Warszawie, jeszcze w początkach XIX w. miał szansę poznać język polski, bo na uniwersytecie królewskim istniał lektorat języka polskiego. Tym samym uniwersytecie, na którym dopiero co wykładał Immanuel Kant, a który w roku 1544 powstał z woli księcia pruskiego Albrechta Hohenzollerna, potwierdzonej w 1560 roku przez króla polskiego Zygmunta Augusta, który nadał tej uczelni status równy Akademii Krakowskiej. Krystyn Celestyn Mrongowiusz, prawdziwe nazwisko Mrąga, odkrył swą polskość, czy raczej mazurskość, właśnie w Królewcu. Tradycje były, bo drugą w historii polską gazetą, po „Merkuryszu Polskim Ordynaryjnym” z roku 1661, była „Pocztą Królewiecką”, wychodząca w Królewcu w latach 1718-1720. Dziw, że dotąd nie powstała monografia o wielowiekowych związkach Królewca z Polską.

Postawiłeś też drugą, mocno dyskutowaną tezę, że chyba w każdym

Polaku, przynajmniej na zachód od Wisły, płynie trochę niemieckiej krwi.

– W nas płynie różna krew, to zupełnie oczywiste i tak jest w każdym narodzie. W końcu Słowianie weszli tu na miejsce Gotów, ci wcześniej na miejsce Celtów, a jeszcze wcześniej istniał jakiś inny lud, który zbudował Biskupin. Można powiedzieć: co z tego, przecież te ludy odeszły? Otóż nie do końca. Została nazwa Wisła. To przecież nie jest tak, że ktoś stworzył nazwę rzeki, składając samogłoski ze spółgłoskami. Słowo „Wisła” musiało coś kiedyś znaczyć! A ten źródłosłów nie jest ani gocki, ani celtycki, tylko pochodzi z języka jakiegoś innego, jeszcze wcześniejszego, ludu. A jeżeli tak, to musiały istnieć jakieś formy kontaktu między tymi ludami. Populacje musiały się mieszać.

A Rzeczpospolita składała się z wielu narodów, była ich tygłem.

– Właśnie. Wszystko było wymieszane. Symptomatyczne, że jeden z liderów obecnych polskich nacjonalistów nosi nazwisko Mentzen, a drugi – nazwisko Braun. (...)

Czy istnienie NRD było dla Polski zbawienne?

– Zbawienne to za dużo powiedziane. Państwo to mało gdzie było uznawane, niemniej jednak pierwszy układ graniczny, układ zgorzelecki z 1950 r., gwarantował przynajmniej z tej strony trwałość granicy na Odrze i Nysie. Skłonni dziś byśmy byli to lekceważyć, lecz przecież jakaś część niemieckiej przestrzeni polityczno-kulturowej uznawała wtedy, że ta granica jest ostateczna.

Pod naciskiem Moskwy.

– To nie ma znaczenia w prawie międzynarodowym. NRD uznała. Ale w sumie nie był to sąsiad Polsce życzliwy. Okazywało się to w momentach polskich kryzysów, na których NRD często chciała coś ugrać. Jej istnienie było jednak korzystne dla nas w tym sensie, w jakim ujął to gen. de Gaulle: że on tak kocha Niemcy, że chciałby mieć dwa niemieckie państwa. Trzeba pamiętać, że społeczeństwo niemieckie długo nie chciało się pogodzić z wynikiem wojny i przyjąć za nią odpowiedzialności.

Wszystko było wymieszane. Symptomatyczne, że jeden z liderów obecnych polskich nacjonalistów nosi nazwisko Mentzen, a drugi – nazwisko Braun.

Dopiero w latach 60., po procesie oprawców z Oświęcimia we Frankfurcie nad Menem, coś zaczęło się zmieniać. Pytanie, czy teraz z kolei coś się nie odwraca. Wszak istnieje Alternatywa dla Niemiec... Dlatego powinniśmy na Niemcy chuchać i dmuchać, cieszyć się tym, co mamy, nie tworzyć nowych, sztucznych pól konfliktogennych.

Na razie chcemy reparacji. W 2022 r. wyceniliśmy je na 6,22 bln zł.

– Można powiedzieć, że Niemcy już nam zapłaciły reparacje w postaci 20% swojego terytorium przedwojennego. Upominajmy się nadal o te reparacje, to Niemcy wyciągną i ten argument.

W Niemczech może się zrodzić taki pomysł: OK, to zorganizujemy konferencję pokojową, ustalmy, ile mamy

zapłacić, a wy oddajcie nasze ziemie wschodnie, któreście zagarnęli.

– Dziś to wydaje się niemożliwe, ale nie takie niemożliwości świat widział. PiS igrał z ogniem.

Muszą trochę dziwić twoje słowa, że po 1945 r. Polacy w Związku Radzieckim mieli lepiej niż Niemcy w Polsce w pierwszych latach powojennych.

– No ale tak było! Przecież do lat 60. nie wolno było na Śląsku używać publicznie języka niemieckiego. W ZSRR zostały szczątki przedwojennej inteligencji polskiej – i nie byli to

ludzie spauperyzowani, zagnani do łopaty: pracowali naukowo, jak np. we Lwowie Mieczysław Gębarowicz czy Wacław Olszewicz. Można oczywiście się zastanawiać, czy ludzie ci nie mieli jakiegoś układu z NKWD – skłonny jestem przypuszczać, że tak było. Ale to wszystko nie wytrzymuje porównania z losem wygnanych Niemców. Bo jeżeli nawet ktoś został – to bez prawa mówienia publicznie po niemiecku. Taka dyskryminacja trwała niemal 20 lat. W ZSRR po roku 1956 wychodziła prasa polska. Nie słyszałem o prasie niemieckiej na Śląsku, Pomorzu, w Gdańsku czy na Warmii, może poza okazjonalnymi biuletynami.

Fragmenty wywiadu rzeki Pawła Dybicz z prof. Andrzejem Romanowskim *Życie pełne historii*, wydrukowanego przez „Przegląd”



KSIAŻKA Z AUTOGRAFEM!

W pasjonującej rozmowie
prof. Romanowski wspomina spotkania
z Giedroyciem, Miłoszem i Michnikiem.
A także z Terleckim, Rokitą i... Rydzykiem.

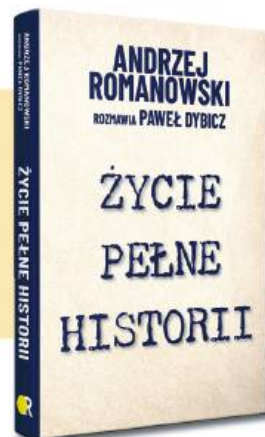


Dostępna także w formie e-booka

79 zł

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa.

Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.



Komu bije dzwon, czyli zakład o kościół

Maciej Mikołajczyk

Z dokumentu urzędowego: „Zostanie przeprowadzony dowód z oględzin w sprawie uciążliwości hałasowych powodowanych przez funkcjonowanie przedmiotowego zakładu”. „Dowód z oględzin” to słuchanie dźwięku dzwonów emitowanego przez „przedmiotowy zakład” – kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Poznaniu.

Jolanta Hajdasz, świeżo upieczona prezeska Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, czyli przybudówki PiS: „To kolejna metoda na eliminowanie wiary katolickiej i katolików z przestrzeni publicznej. Narzędziem w tym wypadku stały się przepisy dotyczące zwalczania hałasu, a konkretnie decyzje władz, by wyciszyć dzwon. Należy walczyć o kościelne dzwony, bo dziś zaczyna przeszkadzać ich dźwięk, a jutro problemem mogą się stać procesje, pielgrzymki i krzyże”.

Bój o to, w którym kościele za głośno dzwoni, trwa w całej Polsce.

Ateista i ministrant

Kobylepole, wioska pod Poznaniem, nazwę wzięła od pasanych tam w średniowieczu kobył. W XVI w. stała się własnością rodu Mycielskich herbu Dołęga. W XIX w. Mycielscy wybudowali tu pierwszy browar przemysłowy na ziemiach Wielkiego Księstwa Poznańskiego, a następnie sprzedali go z zyskiem Niemcowi. Sprzedaż majątku zaborcy nie była wyrazem patriotyzmu, na szczęście wybuchło powstanie wielkopolskie i w 1920 r. browar odkupiła polska spółka. W 1950 r. Kobylepole wchłonął Poznań. W 1974 r. przy ulicy Majakowskiego wybudowano kościół pw. Wniebowzięcia NMP.

Poznaniem od 2013 r. rządzi Jacek Jaśkowiak. Ateista, były ministrant

i niedoszły jezuita, okrzyknięty przez prawicę wrogiem krzyża. Ta strzelba musiała wypalić i zaiste wypaliła, w 50. rocznicę odprawienia pierwszej mszy w kościele przy ulicy radzieckiego futurysty. Do Wydziału Klimatu i Środowiska Urzędu Miasta w Poznaniu trafiła skarga, z której wynikało, że okoliczna ludność cierpi katusze z powodu bicia dzwonów. Podpisała się pod nią jedna osoba, ale, jak poinformowała mnie Joanna Żabierek, rzeczniczka prezydenta Jaśkowiaka, „każdy mieszkaniec Poznania może złożyć skargę do Wydziału Klimatu i Środowiska, a wydział zobowiązany jest do sprawdzenia zasadności interwencji i przeprowadzenia postępowania niezależnie od liczby zgłoszeń, jaka wpłynęła w danej sprawie”.

Najpierw zwrócono się do proboszcza Dominika Kużaja, ten zlecił wykonanie badań akustycznych. Wyniki omówił na mszy, ale bez szczegółów. „Rozumiem, że dźwięk dzwonów może niektórych mieszkańców niepokoić. Dlatego podjąłem decyzję o skróceniu czasu bicia dzwonów o połowę. Dzwony będą nadal biły podczas mszy i uroczystości, ale krócej. Zależy nam na tym, aby wciąż mogły wzywać wiernych, ale w sposób, który nie będzie uciążliwy dla mieszkańców. Mam nadzieję, że to rozwiązanie wpłynie pozytywnie na stosunki między parafią a mieszkańcami”, obieścił z amfony.

Zgniły kompromis

Stosunki nie całkiem się poprawiły, a do Wydziału Klimatu i Środowiska znowu wpłynęła skarga, od tego samego autora. Dzwony biją krócej, lecz nadal wydają dźwięk o natężeniu uciążliwym dla osób niezainteresowanych wzywaniem na msze. Urząd postanowił przeprowadzić wizję lokalną, o czym poinformował proboszcza: „W związku ze zgłoszoną interwencją

Bój o to, w którym kościele za głośno dzwoni, trwa w całej Polsce.

w sprawie uciążliwości akustycznych powodowanych przez parafię rzymskokatolicką WNMP w Poznaniu Urząd Miasta (...) zawiadamia, że w dniu 21 października o godz. 12.00 w wyżej wymienionej lokalizacji zostanie przeprowadzony dowód z oględzin ws. uciążliwości hałasowych powodowanych przez funkcjonowanie przedmiotowego zakładu”.

Ks. Kużaj odczytał pismo w kościele, bo go ubodło, że wystąpił do urzędu pisma wyjaśniające, kazał wykonać badania głośności i poszedł na kompromis, a kompromis okazał się zgniły. Ale najbardziej go uraziło sformułowanie „funkcjonowanie przedmiotowego zakładu”. Bo zakładem może być firma zajmująca się oczyszczaniem miasta lub transportem publicznym. Nazwanie tak kościoła stanowi obrazę uczuć religijnych.

Proboszcz poszedł do mediów. Tak trafił do Radia Maryja i „Gazety Polskiej Codziennie”. „Przeszkadza cicha modlitwa w obronie życia, przeszkadza bicie dzwonów, przeszkadzają wierzący przyznający się publicznie do Jezusa Chrystusa i Kościoła. Nie jesteśmy od tego, aby spełniać oczekiwania innych, lecz budzić sumienia”, zawołano w organie o. Rydyzka. W gazecie Tomasza Sakiewicza znalazł się zaś *passus*: „Skarżący się na hałas twierdzi, że córka potrzebuje ciszy w dzień, bo w nocy pracuje”. Prawicowe portale stwierdziły zaś, że nazwanie kościoła zakładem nie może dziwić, bo prezydent Jaśkowiak zwalcza katolicyzm, a „Joanna Jaśkowiak, jego żona, publicznie użyła wulgaryzmu, lecz przedstawiciel nadzwyczajnej kasty ją uniewinnił, przedstawiając polityczne uzasadnienie wyroku”.

Żona prezydenta rzeczywiście stanęła przed sądem, bo w 2017 r. brała udział w antyrządowej manifestacji. „Od czasu, gdy panuje nam »dobra zmiana«, budzą się we mnie różne uczucia. Najpierw było to zdziwienie, później zaskoczenie, oburzenie, niedowierzanie, złość, wściekłość. I ostatecznie brakuje mi słów (...). Jestem wk...na”, stwierdziła. „Wk...ną” usłyszeli policjanci. Małżonka prezydenta nie chciała zapłacić mandatu. Sąd pierwszej instancji ją skazał, nakazując zapłatę 1 tys. zł. Odwołała się. Przed drugą instancją wygrała.

„Obwiniona użyła słów wulgaryzmów, które były słyszane przez dzieci, co jest oczywistym złem. Ale znacznie większym złem jest to, co dzieje się w Polsce. Mamy ciąg naruszeń konstytucji w związku z ograniczaniem wolności zgromadzeń, przejmowaniem instytucji konstytucyjnych, czyli Trybunału Konstytucyjnego, Krajowej Rady Sądownictwa, w chwili obecnej Sądu Najwyższego, naruszaniem zasady trójpodziału władzy i odmową publikowania orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego. Z jednej strony mamy więc do czynienia z ciężkim naruszeniem najwyższego prawa, czyli konstytucji, przez przedstawicieli władzy wykonawczej i ustawodawczej, a z drugiej strony z zachowaniami obywateli, szczególnie obwinionej, które wyczerpują znamiona czy to wykroczenia, czy też przestępstwa. (...) Jeżeli będziemy chcieli jeszcze raz wyrażać wściekłość, to mamy olbrzymie ułatwienie. Nie trzeba już używać słów wulgaryzmów, wystarczy powiedzieć, że się jest tak zdenerwowanym jak pierwsza dama Poznania”, brzmiało uzasadnienie wyroku. Za polityczne motywy uzasadnienia koledzy ministra Ziobry wszczęli wobec sędziego postępowanie dyscyplinarne. Sędzia złożył pisemne wyjaśnienie. Zainicjowano drugie postępowanie z powodu aroganckiej i politycznej treści złożonego wyjaśnienia. Oba po latach skończyły w koszu.

Organ zobowiązany

Zapytałem rzeczniczkę prezydenta, dlaczego urząd jątrzy i uraża uczucia religijne, pisząc do proboszcza o „zakładzie”. Otrzymałem odpowiedź: „Uznanie kościoła za zakład zostało uregulowane wyrokami sądów. Zgodnie z wyrokiem Naczelnego Sądu Administracyjnego z dnia 10 maja 2023 r. »po stwierdzeniu na podstawie badań przekroczenia dopuszczalnego poziomu hałasu przez instalacje lub urządzenia odtwarzające bicie dzwonów kościelnych lub nagłaśniające pieśni religijne, właściwy organ ma obowiązek wydać stosowną decyzję o dopuszczalnym poziomie hałasu«; NSA niejednokrotnie rozstrzygał, iż wykładnia funkcjonalna prowadzi do jednoznacznego wniosku, że kościół

w myśl ustawy Prawo ochrony środowiska jest zakładem, a dzwony kościelne instalacją, która może powodować emisję hałasu, a której dopuszczalny poziom podlega regulacji decyzji w trybie ustawowych przepisów. W konsekwencji parafia posiadająca tytuł prawny do terenu, na którym prowadzi instalację, jest zakładem w rozumieniu ustawy o ochronie środowiska”.

Tymczasem prokościelne media nie ustają w ataku na Jaśkowiaka. Głos dały wilczyce, czyli Jolanta Hajdasz i osobistości jej formatu. Prezydentowi wypominają nie tylko utaskawienie klnącej żony, ale także fakt, że niedawno za dzwonięcie ukarał mandatem w wysokości 300 zł proboszcza poznańskiego kościoła Zmartwychwstania Pańskiego, wzywając go „do niwelacji nadmiernego hałasu”. Z tego samego powodu urzędnicy naskoczyli na parafię Najświętszej Maryi Panny Matki Kościoła. Mamy do czynienia nie z epizodem, ale „ze świetnie zorganizowaną antykatolicką krucjatą, której symbolem jest poniżanie kościoła poprzez nazywanie go zakładem”.

Poznański ratusz utrzymuje, że „nie ma mowy o krucjacie, a badanie głośności dzwonów nie jest elementem walki z kościołem ani kolejną metodą na eliminowanie wiary katolickiej i katolików z przestrzeni publicznej”.

„W toku postępowania wyjaśniającego proboszcz przedstawił badania hałasu wykonane przez akredytowane laboratorium, z których wynikało, że bicie dzwonów przekracza dopuszczalny poziom hałasu określony w rozporządzeniu Ministra Środowiska. Wynosi on 50 dB, a dzwony biją o 17,5 jednostki głośniejsze, niż stanowi norma. Przekroczenie przepisów to jedyny powód naszej interwencji w tym i innych przypadkach”, tłumaczy rzeczniczka prezydenta Poznania.

Wizja lokalna zakończyła się wezwaniem parafii do przedstawienia planu działania, by zmniejszyć poziom głośności dzwonów.

Kościelne dzwonięcie przekracza normy nie tylko w Poznaniu. Dzwony uciszono w Gliwicach, Toruniu, Gdańsku, Bytomiu, Opolu i w wielu innych miejscach. Polacy najwyraźniej nie księży, a swój dzwonek mają. ■

Konserwatyści rządzą tylko raz

W Europie Środkowo-Wschodniej lewica przechodzi kryzys, tymczasem na Litwie po raz piąty w historii wygrała wybory do Sejmu

Tomasz Otocki

W większości krajów Europy Środkowo-Wschodniej lewica przechodzi kryzys. Na Litwie jednak po raz piąty w historii wygrała wybory sejmowe. W ich wyniku partii kierowanej przez Viliję Blinkevičiūtę przypadną 52 mandaty (na 141 posłów, których liczy Sejm), konserwatystom 28, a mniejsze partie muszą się zadowolić liczbą od 3 do 20 mandatów. Choć nowa koalicja wydaje się jasna, nie wiadomo, kto zostanie premierem. Największe szanse na to ma Gintautas Paluckas, polityk młodego pokolenia. Ciekawe jest także, jaka będzie rola populistów w nowym Sejmie.

Konserwatywne czterolecie

Jeszcze jesienią 2020 r. na Litwie triumfowali konserwatyści (zdobyli wówczas 50 mandatów), którzy stworzyli rząd z dwiema partiami liberalnymi: Ruchem Liberałów (13 mandatów) oraz Partią Wolności (11 mandatów). Teraz to drugie ugrupowanie, będące w awangardzie „praw jednostki”, najsilniej upominające się o sprawy osób LGBT, w ogóle nie weszło do Sejmu, Ruch Liberałów zaś będzie miał natomiast w nowej kadencji 12 posłów. Za mało, by kontynuować konserwatywno-liberalną koalicję pod kierownictwem premier Ingridy Šimonytė.

Powiedzenie, że konserwatyści „rządzą tylko raz”, znowu się sprawdziło. – Rządy koalicji konserwatystów i liberałów przypadły na czasy kryzysów. Pandemia, kryzys migracyjny, wojna na Ukrainie, inflacja, źródła energii, wszelkiego rodzaju skandale finansowe, pedofilskie. Litwa wyszła z nich obronną ręką, ale władze, szczególnie konserwatyści,



W wyniku wyborów partii kierowanej przez Viliję Blinkevičiūtę przypadną 52 mandaty na 141 posłów.

nie próbowały nawet dyskutować ze społeczeństwem na temat działań antykryzysowych – tłumaczy Aleksander Radczenko, doradca liberalnej przewodniczącej Sejmu Viktorii Čmilytė-Nielsen, który precyzuje, że w rozmowie z „Przeglądem” reprezentuje własne stanowisko, a nie swojej szefowej.

Jak podkreśla Radczenko, społeczeństwo, a nawet mniejsi partnerzy koalicyjni byli często stawiani przed faktami dokonanymi. Premierka Ingrida Šimonytė zasłynęła wypowiedzią: „Jeśli wam się nie podoba nasza władza, to za kilka lat będą wybory i będziecie mogli wybrać sobie inną”.

– Właśnie ta arogancja konserwatystów, a nie sytuacja gospodarcza, która jest w sumie dobra, zmobilizowała większość wyborców

do głosowania przeciwko, na kogokolwiek, byle nie na konserwatystę – dodaje Radczenko.

Swoje zrobiła także ordynacja większościowa – w drugiej turze dała przewagę wszystkim tym kandydatom, bardzo szerokiego spektrum centrolewicy, którzy nie byli związani z konserwatystami. Do rangi symbolu urosł fakt, że w centrum Kowna Gabrielius Landsbergis, autor „jastrzębiej polityki” wobec Rosji i Chin, przegrał wybory z obecnym ministrem kultury z Ruchu Liberałów Simonasem Kairyssem. Z jednym zastrzeżeniem – ukarano go nie za politykę zagraniczną, ale za przewodniczenie partii konserwatywnej. Landsbergis, lider ugrupowania, które przechodzi teraz do opozycji, podał się właśnie do dymisji z funkcji

przewodniczącego. Być może w przyszłości zastąpi go odchodząca premier Šimonytė.

Lewica triumfowała 12 lat temu

Decyzji o powstaniu nowej koalicji jeszcze nie podjęto, Litwą zapewne rządzić będzie jednak centrolewicowy triumwirat, podobnie jak w 2012 r., gdy ostatni raz w historii lewica przejmowała władzę. Byłych partnerów koalicyjnych Litewskiej Partii Socjaldemokratycznej (LSDP) Algirdasa Butkevičiusa: Partię Pracy oraz Porządek i Sprawiedliwość, o których istnieniu nikt już na Litwie nie pamięta, zastąpią najprawdopodobniej Związek Demokratyczny „W imię Litwy” byłego premiera Sauliusa Skvernelisa (sprawował władzę w latach 2016-2020, stojąc na czele centrolewicowej koalicji) oraz Związek Chłopów i Zielonych, którym kieruje litewski oligarcha, właściciel ziemski Ramūnas Karbauskis (do 2022 r. był patronem politycznym Skvernelisa). Partia Skvernelisa ma w Sejmie 13 mandatów, a ugrupowanie Karbauskisa 8, łącznie z lewicą daje to 74 mandaty bezpiecznej większości. Niektórzy wróżą jeszcze dołączenie do nowej koalicji reprezentantów polskiej partii politycznej AWPL-ZChR, która w tych wyborach nie przekroczyła progu wyborczego, ale ma trzech posłów wybranych w okręgach jednomandatowych (posłowie są wybierani w systemie mieszanym: 71 w okręgach jednomandatowych według ordynacji większościowej, a 70 w jednym okręgu wielomandatowym według ordynacji proporcjonalnej – przyp. red.).

„Paradoksalnie wejście partii Władimira Tomaszeckiego do nowego układu nie będzie sprzyjać rozwiązaniu problemów mniejszości narodowych, już lepsza byłaby koalicja z liberałami, którzy pokazali, że te problemy potrafią rozwiązywać”, pisze na Facebooku Aleksander Radczenko. Rzeczywiście, w poprzedniej kadencji, za rządów partii niepałających miłością do Tomaszeckiego, przywrócono język polski na maturze, podjęto próbę przyjęcia ustawy o mniejszościach narodowych, uchwalono również prawo o oryginalnej pisowni nazwisk

(„Antonowicz przez w”, „Przegląd”, 31 stycznia 2022 r.). Takich sukcesów nie było, gdy AWPL-ZChR pozostała w koalicji. Wydaje się, że Tomaszecki, który od 2021 r. kieruje także Związkiem Polaków na Litwie, w swoich politycznych grach zaciął się na śmierć („Związek Polaków w rękach Tomaszeckiego”, 19 lipca 2021 r.).

Triumfująca w minioną niedzielę Partia Socjaldemokratyczna dowodzona przez Vilių Blinkevičiūtę (jej pełną sylwetkę zamieściliśmy w „Przeglądzie” w 2021 r.) nie jest już tym samym ugrupowaniem, którym kierował niepopularny Algirdas Butkevičius. To za jego rządów próbowano zmienić Kodeks pracy

scenariusz nie jest możliwy. Być może coś się zmieni w trakcie kadencji. Pytany przeze mnie poseł Eugenijus Sabutis od koalicji z Chłopami i Zielonymi woli sojusz z liberałami i z demokratami Skvernelisa. – Partie te udowodniły swoje zaangażowanie w sprawę bezpieczeństwa narodowego, jesteśmy zgodni w wielu ważnych kwestiach politycznych i gospodarczych – zaznacza.

Wracając zaś do programu lewicy, powszechnie podkreśla się, że Partia Socjaldemokratyczna stała się bardziej postępowym i demokratycznym ugrupowaniem, niż była w 2012 r.

– Teraz każdy członek partii ma wpływ na wybór swojego lidera,

Priorytety lewicy w nowej kadencji to edukacja, system opieki zdrowotnej, ubezpieczenia społeczne, bezpieczeństwo narodowe i różne kwestie infrastrukturalne.

w sposób niekorzystny dla pracowników, nie uchwalono też żadnych ustaw, które chroniłyby mniejszości narodowe czy osoby LGBT. W tym czasie, który przypadł na początek wojny na Ukrainie, wprowadzono wspólną walutę euro, co miało być m.in. zabezpieczeniem „geopolitycznym”. Socjaldemokracja w 2017 r. straciła władzę tak naprawdę przez niezdecydowanie Butkevičiusa i popularność następnego premiera Sauliusa Skvernelisa, którego na to stanowisko rekomendował Ramūnas Karbauskis. Później panowie się pokłócili i obecnie kierują dwoma różnymi ugrupowaniami.

Lewica bardziej postępową i demokratyczną?

– Brak chemii między Skvernelisem i Karbauskisem, dwoma samcami alfa, może rozsądzić przyszłą koalicję – podsumowuje jeden z moich informatorów. Lecz tak naprawdę na Litwie nie ma alternatywy. Jedyną opcją „dodatkową” byłoby przyciągnięcie do koalicji Ruchu Liberałów, który w latach 2020-2024 współrządził z konserwatystami. Viktorija Čmilytė-Nielsen nie mówi „nie”, ale sama wie po drugiej turze, że na razie taki

także na listy kandydatów w wyborach wszystkich szczebli. Partia jest bardziej lewicowa i wrażliwa społecznie, zarówno jeśli porównywać manifesty z obu okresów, jak i wypowiedzi przywódców, m.in. w sprawie wspierania związków osób tej samej płci – mówi prof. Liutauras Gudžinskas z Uniwersytetu Wileńskiego, sam działacz LSDP.

Z drugiej strony liczba członków partii zmalała w ostatnich latach o kilka tysięcy, w 2018 r. „starzy liderzy” opuścili ugrupowanie i powołali do życia Litewską Partię Regionów. Nie miała ona wzięcia w tych wyborach, ale wcześniej napsuła nieco krwi dotychczasowemu ugrupowaniu. LSDP udało się jednak zachować status największej partii na Litwie, dysponującej najszerszą infrastrukturą terytorialną oraz wsparciem i w miastach, i w mniejszych miejscowościach.

– Do partii należy ponad jedna czwarta merów, dokonaliśmy też pewnych „podbojów” na terenach, na których wcześniej nie byliśmy obecni, m.in. w rejonie wileńskim – wylicza Gudžinskas. Od 2023 r. merem rejonu jest Polak Robert Duchniewicz, który należy nie do AWPL-ZChR, ale właśnie do LSDP. W tym roku kierował zresztą ▶

► kampanią wyborczą lewicy. Niektórzy wróżą mu nawet w przyszłości stanowisko premiera albo co najmniej ważnego ministra.

Według Gudžinskasa na obecnym etapie ważne jest, by wszyscy parlamentarzyści, także ci z okręgów jednomandatowych, trzymali się programu lewicy, co nie zawsze było regułą. Istotne jest również zwiększenie jej atrakcyjności dla młodszych pokoleń.

Kto będzie premierem?

O priorytety lewicy w nowej kadencji wypytuję Eugenijusa Sabutisa, posła LSDP. – Głównie edukacja, system opieki zdrowotnej, ubezpieczenia społeczne, bezpieczeństwo narodowe, a także różne kwestie infrastrukturalne: martwi mnie degradacja infrastruktury drogowej. Nasza partia zadeklarowała też, że rozważymy zastopowanie niektórych bieżących reform, szczególnie w służbie zdrowia i edukacji – wymienia Sabutis. Sam ma dwa priorytety. – Moją główną troską pozostają inwestycje w infrastrukturę drogową poprzez zapewnienie możliwości stworzenia zrównoważonej procedury finansowania, która mogłaby generować co najmniej 10% wzrostu rocznie. Chciałbym poza tym kontynuować swoją pracę w obszarze samorządu terytorialnego, zapewniając mu większe prawa, zarówno polityczne, jak i gospodarcze, do dalszego rozwoju regionalnego.

Tymczasem w miniony wtorek gruchnęła wiadomość, że Vilija Blinkevičiūtė zamierza ogłosić, że nie będzie mogła sprawować funkcji premierki. – Myślę, że to błąd. I naprawdę powinniśmy ciężko pracować, aby przywrócić zaufanie ludzi, którym zostaliśmy obdarzeni – powiedział portalowi litewskiej telewizji publicznej LRT.lt były minister obrony w rządzie centrolewicy Juozas Olekas.

Vytenis Andriukaitis, były minister zdrowia, europoseł i były kandydat na prezydenta, dodał: – Kiedy Vilija ogłosiła, że zamierza zostać premierką, poparcie partii natychmiast wzrosło. Debata, czy to może przynieść skutek odwrotny, ma zatem sens. Myślę, że gdyby tak się

stało, prawdopodobnie doszłoby do takiej dyskusji.

Rimvydas Valatka, znany litewski publicysta, również nie wierzy, że Blinkevičiūtė zostanie szefową rządu.

– Wydaje się, że Blinkevičiūtė pozostanie europosłanką. Konieczne będzie znalezienie innego premiera i utworzenie koalicji. Poza tym w koalicji niewątpliwie znajdzie się trzech przedstawicieli partii Waldemara Tomaszewskiego, kilku anonimowych posłów i być może jeden przedstawiciel partii marginalnej. A jeśli utworzą koalicję, będą dwa warunki przetrwania – jeśli nie będzie kryzysu finansowego i jeśli Rosja nie zaatakuje Litwy – mówi „Przeglądowi”.

Generalnie w zmiany w polityce zagranicznej Litwy nie należy wierzyć. Kraj pozostanie na tym samym kursie wobec Rosji, Ukrainy, Unii Europejskiej i NATO, co w latach 2020-2024. Potwierdza to w rozmowie ze mną Antanas Valionis, były minister spraw zagranicznych, były ambasador w Polsce, członek LSDP:

Polska partia AWPL-ZChR nie przekroczyła progu wyborczego, ale ma trzech posłów wybranych w okręgach jednomandatowych.

– Pewnym wyzwaniem dla Litwy pozostają wybory w USA, w jakim to wszystko pójdzie kierunku.

W minioną środę ogłoszono, że największe szanse zostać premierem ma polityk młodego pokolenia socjaldemokracji, Gintautas Paluckas (45 lat). W przeszłości sprawował funkcję wicemera Wilna i posła na Sejm. Wniósł wiele świeżych idei do socjaldemokracji, ale obwiniano go, że pod jego rządami nie tylko wypadła z ważnych samorządów Litwy, ale także odnotowała słaby wynik w wyborach do Sejmu w 2020 r.

Czarny cień populistów

Niezależnie od problemów z wystawieniem kandydata na premiera centrolewica jest przewidywalna. Jej rządy trwały na Litwie w latach 1992-1996, gdy prezydentem pozostawał Algirdas Brazauskas, były lider Komunistycznej Partii Litwy. Później

centrolewica współrządziła krajem w latach 2001-2008 i 2012-2016. Centrolewicowy charakter miały też rządy Sauliusa Skvernelisa, trwające do pierwszego roku pandemii. Dobrze znana i przewidywalna jest także centroprawicowa opozycja złożona z konserwatystów i liberałów.

Natomiast pewną nowością na scenie politycznej Litwy jest wejście do Sejmu ugrupowania określanego wprost jako populistyczne i antysemickie. Mam na myśli Świt Niemna, formację, która w pierwszej turze zdobyła 15% głosów, ostatecznie zaś będzie miała w parlamencie 20 posłów, w tym jednego Polaka.

– Świt Niemna to zjawisko typowe dla litewskiej sceny politycznej. Przed każdymi wyborami od 25 lat wyskakuje jak filip z konopi takie nowe, populistyczne ugrupowanie, które zdobywa 10-20% tzw. głosów protestu. Potem czasami zostaje w opozycji, częściej dołącza do rządzących, skandalizuje, dzieli się, zasilą posłami inne ugrupowania i zazwyczaj po czterech

latach znika z parlamentu na zawsze – uspokaja Aleksander Radczenko.

W partii Remigijusa Žemaitaitisa, który zasłynął w zeszłej kadencji antysemickimi wypowiedziami, a później zrzekł się mandatu poselskiego, gdy zagroziło mu trwałe usunięcie z Sejmu, jest jednak coś niebezpiecznego dla litewskiej demokracji.

– Pewne novum w modus operandi Świtu Niemna to antysemityzm lidera. Tego rzeczywiście jeszcze nie było i to groźny sygnał alarmowy. Dla znacznej części wyborców, a nawet części mainstreamowych polityków to już nie jest temat tabu. To bardzo niebezpieczne i smutne – podsumowuje Radczenko.

Pozostaje liczyć na to, że centrolewica otoczy partię Žemaitaitisa „kordonem sanitarnym”, alternatywą dla rządów LSDP będą zaś konserwatyści i liberałowie, a nie politycy nawiązujący do najgorszych haseł XX w.

Tomasz Otoki

Kraj jałowych wyborów

W Bułgarii w siłę rosną ugrupowania antyeuropejskie

Christian Ślusarczyk

Przedterminowe wybory parlamentarne w Bułgarii wygrała koalicja GERB-SDS (Obywatele na rzecz Europejskiego Rozwoju Bułgarii-Związek Sił Demokratycznych). Na te proeuropejskie, centroprawicowe ugrupowania głosowało ponad 26% wyborców. Drugie miejsce zajęła inna proeuropejska i centroprawicowa koalicja, PP-DB (Kontynuujemy Zmianę-Demokratyczna Bułgaria), uzyskując 14,3%. Na trzecim uplasowała się prorosyjska i antyzachodnia formacja Wyzrażdane (Odrodzenie) – 13,4%. Zmiana w porównaniu z ostatnimi wyborami to nowa partia tajemniczego Deljana Peewskiego. Jego DPS Nowo Naczało (Nowy Początek) powstała na skutek podziału partii tureckiej i dostała ponad 11%. Bezbarwni socjaliści zadowolili się tym, co zwykle – nieco ponad 7%.

Łącznie do parlamentu dostało się dziewięć partii. Sporo, co nie wróży niczego dobrego. Połowa to ugrupowania populistyczne, prorosyjskie (czy bardziej antyukraińskie) i antysystemowe. Frekwencja wyniosła 37,5% i była drugą najgorszą w historii Bułgarii.

Warto zaznaczyć, że poprzednio Bułgarzy udali się do urn... 9 czerwca br. Może dlatego teraz mało ich interesowało w powyborczy poniedziałek, kto wygrał. Wszystkich bardziej zajmowało sprawdzanie, czy i jak wyniki z 27 października różnią się od tych z czerwca. Bo im więcej zmian, tym większe szanse na coś trwałego. Tymczasem korekt jest niewiele, a te, które się pojawiły, nie przyniosą pozytywnych efektów.

Ludzi interesuje, czy uda się skleić koalicję, która będzie w stanie rządzić dłużej niż trzy miesiące. Pośtanką Lena Borisałowa,



Choć na plakatach wyborczych widnieje napis, że kupowanie i sprzedawanie głosów to przestępstwo, proceder ten kwitnie i wypacza wyniki głosowania.



absolwentka Harvardu, 35-letnia polityczka partii Kontynuujemy Zmianę (nr 2 w parlamencie), idzie jeszcze dalej. Jej zdaniem nie chodzi wyłącznie o stałego premiera i rząd, kraj potrzebuje parlamentarnej większości antykorupcyjnej. „Nie chcę prorokować, co się stanie, jeśli takiej nie znajdziemy”, przestrzega deputowana.

Wszyscy przeciwko wszystkim

Dlaczego od trzech lat w Bułgarii nie można stworzyć stabilnego rządu? Bo wszyscy są przeciwko wszystkim i każdemu zależy na szukaniu kompromitujących materiałów na konkurencję. Bułgarzy z zazdrością spoglądają więc na sytuację nad Wisłą. Dla nich Polska pod wieloma

► względami pozostaje niedoścignionym wzorem państwa sukcesu, które po zeszłorocznych październikowych wyborach zbudowało trwałą koalicję, choć partie wchodzące w jej skład tak dużo dzieli. Bułgarskie media mówią wręcz o „polskim syndromie odpowiedzialności za kraj”. To zjawisko w Bułgarii kompletnie nieznane.

Podobnie jak w czerwcu wybory z 27 października wygrały partie proeuropejskie. Elementów wspólnych dla koalicji GERB-SDS i PP-DB znajdziemy sporo. Ale tak naprawdę partie te, które teoretycznie nie powinny mieć problemów z dobraniem sobie trzeciego koalicjanta, ponoszą największą odpowiedzialność za trwający już 36 miesięcy kryzys polityczny.

Jakie były i mogą być przyczyny kolejnego pata w dążeniu do powołania koalicji GERB-SDS z PP-DB? Kilka punktów spornych wskazał Asen Wasilew, jeden z liderów PP-DB. Przede wszystkim GERB, partia, której przewodzi Bojko Borisow, musi się „usamodzielić”, wyzwalając się spod wpływów szarej eminencji bułgarskiej polityki, Deljana Peewskiego. Trzeba ponadto dokończyć reformę systemu sądowego. Chodzi o przyjęcie trzech kluczowych zmian. PP-DB jest też za szybkim przyjęciem ustaw antykorupcyjnych – aby do tego doszło, potrzeba

zmian personalnych w parlamentarnej komisji antykorupcyjnej. Wasilew domaga się przyjęcia nowych ustaw, lepiej chroniących tzw. sygnalistów, czyli osoby informujące władze o naruszeniach prawa przez polityków i urzędników państwowych.

Czego się boi Bojko?

W Bułgarii wielu uważa, że to Bojko (jak mówi o nim cały kraj), który nie chce opuścić sceny politycznej, uniemożliwia dziś stworzenie stabilnej władzy. Ten niegdyś ulubieniec Angeli Merkel ma minimalne

będzie Borisow, który w imię własnego bezpieczeństwa nie chce zrezygnować z czynnej polityki. Dla niego bowiem związek z polityką to gwarancja wolności.

Podczas gdy ugrupowania proeuropejskie nie mogą znaleźć wspólnego języka, na trzecią siłę polityczną wyrosła partia Wyzrażdane (Odrodzenie). Założona przez Kostadina Kostadinowa powstała w miejscu ważnym dla bułgarskiej historii, bo w pierwszej stolicy kraju, mieście Pliśka. To ugrupowanie skrajnie prawicowe, nacjonalistyczne, antyeuropejskie i antyzachodnie. Opowiada się

Zdaniem politologów rząd, który powstanie po wyborach z 27 października, przetrwa najwyżej rok.

poparcie społeczne. W dodatku coraz częściej słychać głosy, że dopóki prokuratura nie zwinnie parasola ochronnego rozpiętego jakiś czas temu nad jego głową, a państwo nie rozpocznie śledztwa dotyczącego jego działalności, dopóty nie będzie ani stabilnej władzy, ani wyborów w konstytucyjnym terminie. Zdaniem politologów rząd, który powstanie po wyborach 27 października, przetrwa najwyżej rok. A jednym z głównych winowajców takiego stanu rzeczy

za wyjściem Bułgarii z UE, a jego zwolennicy nie kryją się z prorosyjskimi sympatiami. Odrodzenie chce wsparcia dla bułgarskiego biznesu i stworzenia silnej bułgarskiej armii. W jego programie znaczące miejsce zajmuje zatrzymanie kryzysu demograficznego. O skali problemu niech świadczy fakt, że w wyborach z 27 października uprawnionych do głosowania było 6,6 mln Bułgarów (w kraju i za granicą), podczas gdy wszystkich Bułgarów mieszkających w ojczyźnie jest ledwie 6,43 mln (2023, Bank Światowy).

Odrodzenie planuje też większą ochronę praw Bułgarów mieszkających za granicą. Ponadto dąży, co wyróżnia je na tle innych formacji, do połączenia Bułgarii z Macedonią Północną, której nie uważa za odrębny organizm państwowy. Opowiada się także za pozostawieniem lewa jako waluty narodowej. W Bułgarii od wielu lat obowiązuje stały kurs miejscowej waluty do euro. Poprzednie rządy robiły wiele, by Bułgaria weszła do strefy euro, lecz choć było już blisko, kraj wciąż nie spełnia niektórych wymogów.

Deljan wszechmogący

Bułgaria ma prezydenta (stałego) i premiera (od trzech lat tymczasowego). Ma również trzykrotnego premiera Borisowa, znanego za granicą,

BAJIT CHADAŚZ
SPOTKANIA Z KULTURĄ ŻYDOWSKĄ
(1996-2024)

DZIEDZICTWO, PAMIĘĆ
WSPÓLNOTA OBYWATELSKA
WRZESIEŃ - LISTOPAD 2024



31 LAT
CENTRUM KULTURY ŻYDOWSKIEJ
(1993-2024)

31-058 Kraków, ul. Meiselsa 17,
tel. (12) 430-64-49, www.judaica.pl
facebook.com/judaica.krakow info1@judaica.pl

Współorganizator programu Bajit Chadasz:
Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Urzędu Miasta Krakowa

Sponsorzy



Patronat medialny



Zbiórka program:  Współpraca redakcyjna: 

polityka i karatekę z komunistyczną przeszłością (był m.in. ochroniarzem Todora Żiwkowa). Ale to nie prezydentem, tymczasowym premierem ani wieloma kontrowersyjnymi ministrami zajmują się komentatorzy bułgarskiej sceny politycznej.

Już przed czerwcowymi, przedterminowymi wyborami najwięcej czasu i miejsca poświęcano osobie Deljana Peewskiego. Choć urodził się w Sofii i z mniejszością turecką nie ma nic wspólnego, od lat należy do najbardziej wpływowych polityków w coraz silniejszej tureckiej partii DPS (Ruch na rzecz Praw i Swobód). W lutym 2024 r. został nawet współprzewodniczącym tego ugrupowania. Ale po kilku miesiącach doprowadził do ostrego konfliktu i podziłał w DPS. Związany z partią od lat Ahmed Dogan, o tureckich korzeniach, poszedł w swoją stronę, Peewski – w swoją. Zniszczenie jedności ugrupowania, które zmieniło nazwę na Alians na rzecz Praw i Swobód, zaowocowało stworzeniem przez Peewskiego nowej formacji o nazwie DPS – Nowo Naczało (Nowy Początek). Partia tylko teoretycznie turecka szybko zyskała zwolenników i na początek zdobyła ponad 11% poparcia.

Przed wyborami zainteresowanie 44-letnim Peewskim przybrało na sile. Jego opinie i pomysły, które

się go bali. Działalność Peewskiego jednak nie podoba się za granicą, zwłaszcza za oceanem. Ponieważ jest zamieszany w praktyki korupcyjne, od kilku lat obejmują go amerykańskie i brytyjskie sankcje.

Głos kupię!

Kupowanie głosów to wieczna zmora Bułgarów. Przed każdymi wyborami policja skupia uwagę na dzielnicach Romów, bo ta grupa społeczna jest najbardziej podatna na tego rodzaju przekręty. Niekiedy ich dzielnice wręcz odcinano od świata. Tymczasem kupowanie głosów nie dotyczy wyłącznie Romów. Problem jest zauważalny w regionie sofijskim, wśród „prawdziwych” Bułgarów. Zdaniem dziennikarza Iwana Bakałowa z portalu e-vestnik.bg w czerwcowych wyborach parlamentarnych głosów kupionych było ok. 150 tys. Zważywszy, że do urn poszło wówczas 2,26 mln Bułgarów, ta liczba robi wrażenie. Teraz przekupionych mogło być więcej. Bo z roku na rok, co wiąże się z inflacją, ale nie tylko, za oddany głos płaci się coraz lepiej. Przed październikowymi wyborami można było „zarobić” od 50 do nawet 500 lewów (1,1 tys. zł). Najczęściej jednak oferowano 100-150 lewów (210-310 zł).

Łącznie do parlamentu dostało się dziewięć partii. To nie wróży niczego dobrego.

mają ocalić Bułgarię, zdominowały programy informacyjne. To oligarcha Deljan (nazwisko zbędne, wszyscy wiedzą, o kogo chodzi) pociąga za sznurki, nawet te, których nie widać. Kilkanaście lat temu twierdzenie, że Peewski może wszystko, wydawało się nieuprawnione. Ale w dobie przedterminowych wyborów coraz bardziej znajduje potwierdzenie w rzeczywistości.

Bo Deljan ma dziś wpływ w systemie sądowym, w kluczowych ministerstwach, w służbach specjalnych, w komisji ds. przeciwdziałania korupcji, w mediach (miał udziały we wszelkich liczących się telewizjach, gazetach i portalach). Dbą, by przeciwnicy polityczni o tym wiedzieli i by

Tuż przed wyborami Stowarzyszenie Bułgarskie Elfy opublikowało cztery długie listy zawierające dane osobowe obywateli, którzy zajmują się kupowaniem głosów. I choć stowarzyszenie informowało o wielu przypadkach kupowania głosów, policja zajęta jest jednym. Doprowadziło to do zatrzymania biznesmen z miasta Pazardżik.

Śledztwo przeprowadzone przez dziennikarzy Radia Wolna Europa pokazuje, że w czerwcowych wyborach najwięcej kupionych głosów oddano na partię GERB, a jesienią na ugrupowanie Deljana Peewskiego.

O tym, że dochodzi do przekrętów, świadczą wyniki z wielu lokali wyborczych w całej Bułgarii.

Przykład: w czerwcowych wyborach w lokalu w północnej Bułgarii na jedną z partii 501 wyborców oddało 500 głosów. W październiku ta sama liczba wyborców na to samo ugrupowanie oddała głosów... pięć!

Od kilku lat handlowaniem głosami zajmują się także ludzie związani z firmami VIS 1 i VIS 2. W latach 90. były to firmy ochroniarskie należące do osób o podejrzanym reputacji – bardziej niż ochroną zajmowały się wyłudzeniami, groźbami i oszustwami na sporą skalę. Jedna mafia miała chronić przed drugą. W ostatnich latach członkowie tych firm zmieniali „biznesy” w myśl idei: byle zysk i liczące się wpływy były jak największe i jak najłatwiejsze.

A skoro o pieniądzach mowa, nasuwa się też pytanie, ile te wszystkie wybory kosztują. Problem dotyczy przecież jednego z biedniejszych członków UE.

Ostatnie planowe wybory do parlamentu miały miejsce w kwietniu 2021 r. Kosztowały podatników 108 mln lewów (ok. 220 mln zł). Kolejne wybory odbyły się w lipcu tego samego roku. Państwo bułgarskie – być może przeczuwając, że zbliża się seria takich wydarzeń – postanowiło nieco zaoszczędzić i wydało 80 mln. Biorąc pod uwagę inflację, każde kolejne wybory musiały być droższe. Razem z ostatnimi, z 27 października br., w okresie od kwietnia 2021 r. do października 2024 na organizację siedmiu przedterminowych wyborów wydano łącznie 718 mln lewów (ok. 1,5 mld zł).

Tegoroczne wybory kosztowały ponad 100 mln. Ta kwota obejmuje m.in. przygotowanie i zabezpieczenie 12,3 tys. lokali wyborczych oraz diety (znacznie niższe niż w Polsce) dla prawie 100 tys. osób bezpośrednio związanych z wyborami.

25 października tymczasowy premier Dimityr Gławczew powiedział z troską: „Wszyscy już mamy dość. Czas najwyższy, aby serial »Gra w wybory« wreszcie się skończył. Moi rodacy muszą wreszcie zobaczyć napisy końcowe”. Czy tak się stanie i zrodzi się nowe powiedzenie, „do siedmiu razy sztuka”, pokażą najbliższe tygodnie.

Chrystian Ślusarczyk



Cuda z opóźnieniem

Plan wielkiej modernizacji Arabii Saudyjskiej na razie pozostaje tylko planem

Mateusz Mazzini

15 października wieczorem europejskie serwisy informacyjne obiegała pilna wiadomość. Z Rijadu do Brukseli dotarło oficjalne potwierdzenie, że Mohammed bin Salman, saudyjski książę, skupiający w praktyce pełnię władzy nad krajem w swoich rękach, przyjedzie wreszcie do Europy z oficjalną wizytą. A dokładnie – weźmie udział w szczycie Unia Europejska-Rada Krajów Zatoki Perskiej (ang. Gulf Cooperation Council, GCC). To akurat będzie typowy zjazd dyplomatyczny, ogłoszenia wielkich wspólnych projektów obu instytucji nie należy po nim się spodziewać. Obecna administracja unijna jest na wylocie, nowa nie została jeszcze oficjalnie zatwierdzona, więc po stronie europejskiej głównymi rozgrywkami będą tacy politycy jak Charles

Michel, odchodzący szef Rady Europejskiej, człowiek niemający już wpływu na nic.

Obecność Mohammeda bin Salmana, znanego szerzej pod akronimem MBS, ma jednak ogromne znaczenie. Przede wszystkim dlatego, że pozycja księcia (jak i całej Arabii Saudyjskiej) na arenie międzynarodowej rośnie, podczas gdy rola, jaką Unia odgrywa w jego własnej strategii, maleje radykalnie.

Arabię swą widzę ogromną

Żeby zrozumieć, kim jest MBS i jaką przyszłość planuje dla państwa, trzeba się cofnąć co najmniej do 2015 r., kiedy zmarł zasiadający wówczas na tronie król Abdullah. Władzę po nim przejął Salman, młodszy brat, 25. dziecko króla Abdulaziza, pierwszego monarchy władającego krajem w obecnym,

zunifikowanym kształcie. Salman to ojciec Mohammeda i obecny król Arabii Saudyjskiej, lecz analitycy są zgodni: to MBS, który przeszedł przez kilka ministerstw, w tym obrony narodowej, dzisiaj zaś pełni funkcję szefa rządu, pociąga za sznurki w Rijadzie.

W mówieniu o nim jako o de facto władcy nie ma przesady, tak też traktują go partnerzy zagraniczni i przywódcy innych państw. To on jest twórcą nowej, znacznie bardziej ekspansywnej polityki zagranicznej kraju. Pchnął Rijad do interwencji zbrojnej w Jemenie, zbliżył do Iranu, zintensyfikował kontakty handlowe z Chinami i utrzymał te z Rosją. Głównie dzięki niemu wśród pięciu największych partnerów eksportowych Arabii Saudyjskiej, jak pokazuje dane Banku Światowego, próżno szukać państw europejskich i Stanów Zjednoczonych. Najwięcej Saudyjczycy eksportują do Chin, Indii,

Japonii, Korei Południowej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. W imporcie sytuacja ma się nieco inaczej, bo tu na drugim miejscu znalazły się USA, ale powodem jest kupowanie przez Rijad amerykańskiej broni na masową skalę.

I tu małe wyjaśnienie dotyczące handlu uzbrojeniem właśnie. Po zamordowaniu w 2018 r. Dżamala Chaszukdziego, znanego saudyjskiego dziennikarza i krytyka rodziny królewskiej, piszącego m.in. dla „Washington Post”, wiele europejskich państw, z Niemcami na czele, wstrzymało sprzedaż broni do Arabii Saudyjskiej. W 2024 r. konieczność importowania większej ilości paliw kopalnych sprawiła, że śmierć dziennikarza poszła w zapomnienie, i Berlin już teraz z rządem Bin Salmana handluje w zbrojeniówce bez żadnych wyrzutów sumienia.

Mohammed bin Salman zapragnął pokazać światu, że Arabia Saudyjska to więcej niż pustynie, ropa naftowa i brutalny reżim.

MBS zapragnął pokazać światu, że Arabia Saudyjska to więcej niż pustynie, ropa naftowa i brutalny reżim, który na każdym kroku łamie prawa człowieka. Zaczął więc ofensywę wizerunkową, właściwie na wszystkich frontach. Wspaniałomyślnie pozwolił kobietom prowadzić samochody, a humanoidalnemu robotowi o imieniu Sophia nadał nawet saudyjskie obywatelstwo. W myśl strategii obranej wcześniej przez władze Kataru czy Zjednoczonych Emiratów Arabskich zaczął też inwestować gigantyczne pieniądze w sport, ściągając do siebie gwiazdy piłki nożnej, golfa i wrestlingu, czyli sportów, na punkcie których różne części zachodnich społeczeństw mają obsesję. Do tego dochodzą piłkarskie mistrzostwa świata, które Arabia Saudyjska zorganizuje w 2034 r., głównie dlatego, że była jedynym krajem, który zgłosił swoją kandydaturę przed datą wyznaczoną przez FIFA.

Prawdziwa rewolucja: wizerunkowa, ekonomiczna, społeczna, słowem cywilizacyjna, miała jednak się dokonać za pomocą innych

przedsięwzięć. MBS odkręcił kurek z pieniędzmi na projekty architektoniczne, urbanistyczne i klimatyczne, które miały wysłać Arabię Saudyjską w podróż do nieznanej, ale ekscytującej przyszłości.

Rekordowo pod każdym względem

W Dżuddzie, drugim największym mieście kraju i kluczowym centrum turystyki pielgrzymkowej na szlaku do Mekki i Medyny, miała powstać wieża kilometrowej wysokości. Pierwszy tak wielki budynek w historii, oczywiście najwyższy na świecie. Już sam projekt robił wrażenie, a przecież ginie w gęszczy innych gigantycznych inwestycji, pod którymi podpisał się MBS. W Arabii Saudyjskiej powstać ma chociażby Neom, czyli znany (i wyszydzany)

już chyba na całym świecie kompleks miejski o łącznej powierzchni ok. 26 tys. km kw. W jego skład wchodzić ma kilkanaście obszarów mieszkalnych – bo trudno je nazwać miastami w tradycyjnym tego słowa znaczeniu – cztery obszary naturalne, w tym pustynia, wybrzeże i urodzajne doliny. Ponad 400 km linii brzegowej, 41 zamieszkałych wysp. I perła w koronie – Linia (ang. The Line). Podłużne miasto ciągnące się na 170 km na północnym zachodzie kraju, w kierunku wybrzeża Morza Czerwonego. Jego szerokość ma wynosić zaledwie 200 m, ale to nie problem, bo w Linii nie będą funkcjonować samochody. Miasto będzie w 100% zeroemisyjne, transport publiczny zatem miał być realizowany za pomocą podziemnych pociągów, pędzących z prędkością 510 km/godz. Przejechanie z jednego końca Linii na drugi zajmowałoby 20 minut.

Na papierze zaplanowano, że w 2030 r. mieszkać tam będzie 9 mln osób, czyli mniej więcej jedna czwarta obecnej populacji kraju.

Projekt miał początkowo kosztować 500 mld dol., dzisiaj mówi się o budżecie trzykrotnie wyższym. To też oczywiście liczby rekordowe w urbanistyce czy w ogóle w inwestycjach publicznych. Do zbudowania futurystycznych budynków z lustrzanymi fasadami, stadionów zawieszonych na nadmorskich klifach czy dystopijnych wieżowców wybrano bodaj wszystkich najlepszych architektów, w tym Massimiliana Fuksasa, Rema Koolhaasa czy nieżyjącą już dziś Zahę Hadid. Zatrudniono armię księgowych, analityków i doradców, głównie oddelegowanych do Rijadu z biur europejskich.

Ten ostatni wątek zasługuje na osobny komentarz, bo jednym z miast, które dzisiaj w dużym stopniu żyją z saudyjskich kontraktów, przynajmniej jeśli chodzi o międzynarodowy biznes, jest Warszawa. Znacząca część zespołów konsultantów w największych firmach doradztwa strategicznego albo kursuje teraz regularnie między Polską a Arabią Saudyjską, albo została wręcz relokowana na kilka czy kilkanaście miesięcy do Rijadu. Jednocześnie warszawskie biura notują rekordowe zyski, bo MBS nie liczy się z pieniędzmi. Własnych zasobów intelektualnych nie ma, więc drenuje Europę, przynajmniej czasowo. I to jest niewątpliwie chichot historii.

Problem w tym, że nieograniczone pieniądze wcale nie przyspieszają cudów. Co więcej, niektóre zamysły mogą nigdy się nie zmaterializować. W kwietniu tego roku portal Bloomberg poinformował, że budowa Neom nie idzie zgodnie z planem, a założenia były już rewidowane kilkakrotnie – w tajemnicy przed światową opinią publiczną. Najpierw zredukowano te populacyjne, z 9 mln do 1,5 mln, teraz podobno realna jest liczba 300 tys. mieszkańców na koniec dekady. Zostało pięć lat, lecz Neom (w tym Linia) nie istnieje. Kilka miesięcy wcześniej Al-Dżazira opublikowała zdjęcia satelitarne, z których wynika, że postępy w realizacji miejscami są zerowe. Pierwsze miasto kompleksu, Riviera, miało być w pełni funkcjonalne już w 2020 r., a więc zaledwie trzy lata po oficjalnej prezentacji projektu. Tymczasem ►

► w miejscu zaznaczonym na mapie jako nadmorski kurort hula wiatr.

Z kolejną miejską o prędkości ponad pół tysiąca kilometrów na godzinę też nie wiadomo co zrobić, bo istnieje dopiero w fazie prototypu. Nieoficjalne informacje, cytowane przez portal Middle East Monitor, wskazują, że na jej wdrożenie możemy poczekać jeszcze kilkanaście lat. Saudyjczycy, nierzadko MBS osobiście, zaprzeczają tym doniesieniom i mówią, że wszystko idzie świetnie. Nie ma jednak sposobu, żeby to sprawdzić, bo władze nie dopuszczają na plac budowy dziennikarzy, a jeśli już, wizyta przebiega jak safari, oglądać można tylko wybrane elementy projektu.

Częściowo propagandę Rijadu weryfikuje rzeczywistość, choć w innym aspekcie. Do budżetu Arabii Saudyjskiej wpływa bowiem znacznie mniej pieniędzy z ropy naftowej, niż MBS by sobie tego życzył. Wprawdzie cena za baryłkę w tej chwili wynosi ok. 70 dol., czyli prawie dwa razy więcej, niż kiedy ogłaszane były wielkie saudyjskie inwestycje, ale po drodze przydarzyło się tąpnięcie na początku pandemii, które cenę obniżyło do mniej niż 20 dol. za baryłkę. Monarchia natomiast liczyła na niemal nieprzerwany

wzrost, może nawet prowadzący do stałego poziomu powyżej 100 dol. za baryłkę.

Rijad przesadził

To jednak tylko częściowe wytłumaczenie problemów z modernizacją wedle wizji saudyjskiej rodziny królewskiej. Bo przecież kwestie finansowe od początku były drugorzędne i to akurat się nie zmieniło. W kraju, w którym brakuje powszechnej edukacji, opieki zdrowotnej czy sieci wsparcia socjalnego, rząd nie musi się przejmować wydatkami typowymi dla liberalnych demokracji. A jeśli dodatkowo siedzi na wielkim bogactwie, które daje ropa naftowa, ma realne podstawy ku temu, by pieniędzmi zasypywać każdego, kto zechce tu pracować. Co więc poszło, a dokładniej idzie, nie tak?

Saudów nie lubi prywatyzować swoich klejnotów przemysłowych. W rezultacie Rijad musiał się zadłużyć. 14 zagranicznych instytucji finansowych pożyczyło łącznie 11 mld dol. na 10 lat.

Dla MBS to twarde lądowanie i być może uwertura do pierwszej wielkiej porażki w polityce. W przeciwieństwie bowiem do rzekomej liberalizacji społecznej, którą wszyscy uznali za pokazówkę, czy powszechnie krytykowanego sportwashingu – poprawiania sobie wizerunku za pomocą organizacji imprez sportowych – w modernizację akurat wielu uwierzyło. Zachwytem nad wizją księcia nie było końca, eksperci widzieli w nim kogoś, kto może zrehabilitować nasze pojmowanie urbanistyki i miast jako ośrodków życia społecznego. W połowie grudnia do Ad-Dammam w Arabii Saudyjskiej

Skala inwestycji, którą wymarzył sobie MBS, jest stanowczo zbyt wielka nawet jak na saudyjskie możliwości.

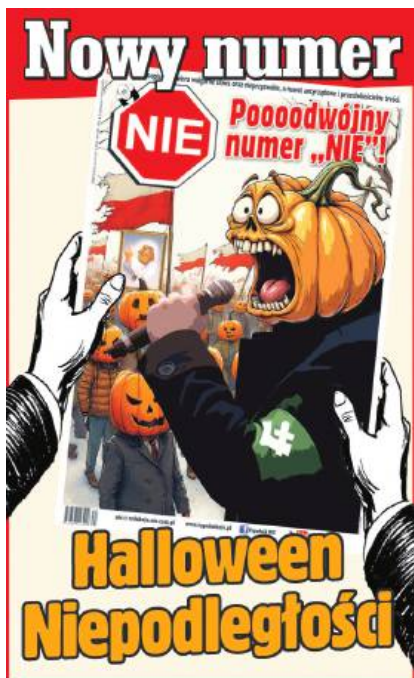
Okazuje się, że skala inwestycji, którą wymarzył sobie MBS, jest stanowczo zbyt wielka nawet jak na saudyjskie możliwości. Ani Rijad nie ma aż tylu pieniędzy, żeby budować zgodnie z utopijną wizją, ani nie ma to większego sensu pod względem opłacalności. Wystarczy popatrzeć w księgi rachunkowe królestwa. Mniejsze od planowanych wpływy z handlu ropą naftową to jeden problem. Fiasco inwestycyjne to drugi, być może poważniejszy.

Middle East Monitor wylicza, że rząd zakładał inwestycje zagraniczne w wysokości 100 mld dol. do 2025 r., tymczasem udało się pozyskać nieco ponad jedną trzecią tej kwoty. MBS zmuszony był nawet do sprzedania części akcji państwowego giganta naftowego, Aramco. W dodatku Public Investment Fund, wehikuł finansowy inwestujący pieniądze saudyjskiego skarbu państwa na rynkach kapitałowych i w konkretne podmioty (m.in. angielski klub piłkarski Newcastle United), narzeka na brak partnerów do wspólnych projektów. Z państwowego sejfów czerpać w nieskończoność nie może, bo dynastia

zjadą nawet najlepsi urbaniści świata, którzy wezmą udział w ICULUP, jednej z największych konferencji poświęconych rozwojowi przestrzeni miejskich. Przez chwilę więc wydawało się, że książę osiągnie swój cel. Przekona europejską klasę średnią, że tak naprawdę jest jednym z nich, nawet jeśli mógłby wszystkich tych planistów, konsultantów i architektów po prostu wykupić.

Lekcji ze spóźnionej i na razie fragmentarycznej modernizacji z inicjatywami MBS jest kilka, ale najważniejsza dotyczy charakteru tych inwestycji. Po raz kolejny dowodzą one, że autokraci robią wiele dla poprawy własnego wizerunku. Zależy im na prestiżu, bo nie mogą go łatwo kupić. Bez względu na to, czy mowa tu o Chinach pozorujących walkę z katastrofą klimatyczną, Indiach przyjmujących wszystkich uchodźców poza muzułmanami czy Arabii Saudyjskiej, która zabija dziennikarza, jednocześnie projektując miasto przyszłości – mechanizm od wieków pozostaje ten sam.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Klocek czy sztuka

Otwarto Muzeum Sztuki Nowoczesnej w centrum Warszawy. Od tego aktu nareszcie zaczyna się zabudowa placu przed Pałacem Kultury. Sporo lat temu rozpisano wielki konkurs na zabudowanie tej przestrzeni w samym sercu miasta, największego placu w Europie. Napłynęły prace z całego świata, ze dwie setki. Ściągnąłem te najlepsze do Instytutu Polskiego w Sztokholmie, zrobiliśmy wystawę. Przyznano nagrody, nawet pierwszą, ale żaden projekt nie był wystarczający. Pamiętam, jak Alek Wołodarski, wtedy naczelny architekt Sztokholmu, mówił mi, że jest błąd w założeniu. Jedna osoba czy zespół nie może robić tak wielkiego projektu, to zawsze będzie ułomne, najlepiej się nie śpieszyć, niech to idzie z latami, niech plac jak las zarasta różnymi formami różnych autorów. Tak zaczęło się dziać. Po muzeum szykuje się budowa teatru, który już bierze pod uwagę, że obok będzie miał bryłę muzeum. W ten sposób architektura zaczyna rozmawiać ze sobą. Dobrze więc, że się nie śpieszono.

Nie byłem na otwarciu muzeum, nie miałem zaproszenia, a wiedziałem, że będzie trudno się dostać. I przyszły tłumy. Wszyscy zachwyceni wnętrzami. Z drugiej strony lawina krytyki za wygląd zewnętrzny obiektu. Można nawet powiedzieć, że wybuchła wielka kłótnia, ileż emocji, hejtu i nienawiści. Byłoby świetnie, gdyby toczyła się dyskusja, ale to żadna dyskusja, tylko zbiorowe plucie. Ta architektura to minimalizm, oszczędny modernizm, jakby na przekór komplikacjom Pałacu Kultury, który tworzy tło. Uważam, że to jest dobra architektura, śnieżnobiałe pudełko zrobione jakby z lodu ma nieliczne otwory dla światła, które tworzą harmonię bryły. I ta niezwykła, doskonała, śnieżna biel. W Polsce wiedza i czucie estetycznej strony świata nadal są niskie. Rwane były wszystkie tradycje, oprócz tradycji niechlujstwa. Coś zaczęło się zmieniać po 1989 r., ale nadal jest słabo. Gdy przychodzą do mnie znajomi, ludzie inteligentni i wykształceni, zwykle zupełnie ich nie interesuje, co wisi u mnie na ścianie. Nie widzą. Prym jednak wie, że tu prawica, z reguły ciężkie estetyczne. I to oni najchętniej obrzygują nowe muzeum. Całe PiS się kotłuje z oburzenia. Konfederacji oczywiście marzy się neoklasycyzm w stylu faszystowskim.

Ale rozumiem, że ten budynek może się nie podobać, także tym, którzy znają się na sztuce, on wiele wymaga od widza. Tyle że ta prawicowa forma krytyki jest bezmyślna i wulgarna. Oczywiście prawicowcy nie rozumieją też sztuki współczesnej. Wśród przekleństw i złorzeczeń snują więc marzenia, by ten budynek zburzyć,

wymiatając przy okazji tę nową sztukę. „Bitwa pod Grunwaldem” to jest to. Generalnie tak mają, że jak czegoś nie rozumieją, to tym gardzą. Ale jeszcze raz podkreślam: czytam krytykę krytyków sztuki, którym ten obiekt się nie podoba. Nie z nich kpię.

Krzysztof Bosak, czołowy polityk Konfederacji, uchodzi za umiarkowanego, mówi gładko, jakby był z mokrego mydła. Ma wszystko dobrze ułożone. Ale jak się wejdzie pod skórę tej namydlonej mowy, włosy stają na głowie. Bosak broni Grzegorza Brauna, który znowu narozrabiał w Parlamencie Europejskim, wołając do deputowanych, że złodzieje i rzecz jasna Żydzi. Polska wystąpiła tam pod tegoż czubka. Niestety, Konfederacja, co przecież zawsze wiedzieliśmy, jest bliską krewną PiS, rodzina czasami się kłóci, ale jak poczuje zapach władzy, zaczną jeść z tej

Budynek MSN może się nie podobać, także tym, którzy znają się na sztuce, on wiele wymaga od widza. Jednak prawicowa forma krytyki jest bezmyślna i wulgarna.

samej miski. Ksenofobia i myślenie spiskowe są w obu partiach identyczne. Konfederacja zyskuje kosztem PiS, co PiS gniewa i martwi, ale na końcu jest myślenie, że jakoś się dogadamy. A pośła Brauna spotkałem w księgarni na Wiejskiej. Zdumienie, jakbym spotkał troglodytę, on istnieje naprawdę, on jest żywy! Wychodził z reklamówką pełną od książek. Musiały to być potworne książki, nie wiedziałem, że takie są w tej świetnej księgarni.

Z kolei na lewicy rozłam. Na Razem od dawna patrzę z ukosa. Zandberg jest z grubą ciosanym fanatykiem o tubalnym głosie, niczego nie wygra, nie ma teraz u nas miejsca ani czasu na radykalną lewicowość. Wychodzi z klubu parlamentarnego z tymi, którzy z jego partycji jeszcze nie wyszli.

Mówi się, że Macierewicz został ostatecznie pogrążony przez raport zespołu MON, który zbadał prace podkomisji smoleńskiej. Nic z tego, nadal będzie się unosił na powierzchni ze swoimi płonącymi oczami szaleńca, uwielbiany przez miliony zwolenników bujdy smoleńskiej. To wiara bliska religijnej, jej się nie wypłeni za pomocą prawdy i twardych dowodów. A Macierewicz nie poniesie żadnej odpowiedzialności karnej za zmarnowanie kilkudziesięciu milionów złotych na bzdury, za wpędzenie Polaków w spiskowe, obłądne myślenie.

Wojciech Kuczok

Październik zakończył się dla *madridistas* koszmarnie, choć wszystko wskazywało na to, że nadchodzi dla Realu czas dionizyjski. W rewanżu za finał Ligi Mistrzów Królewscy wygrali z Borussią Dortmund w swoim stylu, jako specjaliści od spektakularnych remontad, od stanu 0:2 do przerwy wyciągnęli końcowy wynik 5:2. Rozszalały Vinicius ustrzelił hattricka i nabrał pewności, że Złotej Piłki nikt mu już nie odbierze.

Tak efektowny występ miał być języczkiem u wagi, setka dziennikarzy uprawnionych do głosowania miała się nie oprzeć takiemu popisowi. Połowę TOP 10 Złotej Piłki stanowili gracze Realu Madryt, trenerem roku został coach Galácticos Carlo Ancelotti, Vini już szykował olbrzymią imprezę, miał pomysł na okolicznościową koafiurę i umówionego fryzjera. Aż nagle poszedł przeciek: gremium w końcu sobie przypomniało o tym, że Złota Piłka to nie Złoty But (trofeum dla najlepszego snajpera lig europejskich) – i choć w ostatnich 15 latach tylko raz nagrodzono gracza, który nie był napastnikiem (Luka Modrić wzniosł trofeum w 2018 r.), tym razem przygotowano niespodziankę. Za najlepszego piłkarza świata uznano Rodrigiego, pomocnika Manchesteru City i reprezentacji Hiszpanii.

Odwołano lot, Real zbojkotował galę, dając wyraz przedszkolnej frustracji i błażniąc się przed światem po raz drugi w ciągu kilku dni. Najpierw bowiem został zlan w swojej świątyni przez odwiecznego wroga, przegrywając El Clásico, najważniejszy mecz ligowy świata, aż 0:4. Powiedzieć, że Galácticos spadło morale, to nic nie powiedzieć.

Tutaj dygresja: może jednak im „s p a d ł y morale”, tak bowiem rzekł był ekspert telewizyjny, były piłkarz, a ja się zachwyciłem, jak niegdyś bym się wyniośle zmarszczył. Kiedy ktoś mówi „wziąć”, to jeszcze się wzdrygam jak na jadowite pająki jaskiniowe, bezlitośnie odróżniam też niechlujność wymowy od jej wady i tej pierwszej (np. „szeset złoty za ten swetr?!”) nie znoszę, ale już naturszczykowskie błędy frazeologiczne po prostu mnie

Madrycki spleen

Barcelona na każdego rywala stosuje inny manewr taktyczny



Za najlepszego piłkarza świata uznano Rodrigiego, pomocnika Manchesteru City i reprezentacji Hiszpanii.

rozczulają. Być może człowiek z wiekiem łagodnieje, a może to po prostu element podskórnego lęku przed AI i wyśnionym w koszmarach, nieludsko bezbłędnym i pozbawionym emocji botem komentatorskim.

Jeszcze zatęsknimy za żywymi sprawozdawcami i ich kiksami, jeszcze będziemy stawiać pomniki Dariuszowi Szpakowskiemu, ostatniemu, co tak lapsusy wodził. *Errare humanum est*, choć mało kto pamięta o drugim członie sentencji Seneki, w której mówi się, że co prawda popełnianie błędów jest ludzkie, lecz obstawianie przy błędzie jest już diabłą strategią. Tym bardziej szanuję pana Dariusza, bo wprawdzie mylił się seryjnie, także w wymowie nazwisk zawodników, ale nigdy tak samo: jak jest niepewny wymowy, to niczym Adaś Miauczyński za każdym razem stosuje inną z nadzieją, że za którymś trafi się prawdziwa.

Szpakowski jest stary, przetrwał w mediach publicznych już tyle systemów, rządów i zarządów, że należy mu się poważanie choćby na mocy ochronyabytków; jego nieprzerwane istnienie w mediach mnie koi – niegdyś w podobny sposób Mieczysław Fogg uspokajał pokolenie naszych dziadków, 60 lat kariery scenicznej to nie w kij dmuchał, stąd dowcip z mumią, która wybudzona przez archeologów pytała, czy Fogg wciąż śpiewa.

Takie też ukojenie znajdują w karierze piłkarzy już pomnikowych, a jeszcze żwawo pomykających po boiskach, śrubujących rekordy strzeleckie i nieustępliwie wiodących prym w swoich drużynach. O trzeciej młodości Cristiana Ronaldo, Leo Messiego czy Luki Modricia było już tej jesieni głośno, także na tych łamach zdumiewałem się i zachwyciłem ich żywotnością. Teraz przyszedł czas

na Roberta Lewandowskiego, bo nasz mistrz właśnie znowu zaskoczył wszystkich i dopisał do listy spełnionych marzeń dublet i tytuł MVP (*most valuable player*, czyli najbardziej wartościowy gracz) w najśłynniejszym klasyku świata. Wygrać mecz na stadionie rywala to sukces, ale w Gran Derbi to nie wystarczy. W meczach odwiecznych rywali chodzi o to, żeby przeciwnika przed jego własną publicznością upokorzyć, odrzec ze złudzeń, wyleczyć z marzeń, zdemolować i pozamiatać.

Jeszcze będziemy stawiać pomniki Dariuszowi Szpakowskiemu, ostatniemu, co tak lapsusy wodził.

Nowoczesna historia zmagania Realu z Barceloną pamięta wiele takich momentów: w 2009 r. Barça Guardioli rozbiła Real na Santiago Bernabéu 6:2 (po dwa gole strzelili wtedy Messi i Henry), jesienią 2015 r. Blaugrana, którą już dowodził Luis Enrique, pokonała Real 4:0, dubletem tym razem popisał się Luis Suárez. A w marcu 2022 r. obecny coach Królewskich Carlo Ancelotti zaznał czterobramkowych batów w klasyku po raz pierwszy, dla Barcelony Xaviego dwa razy trafił wtedy najszybszy piłkarz świata, Gabończyk Aubameyang.

A teraz do galerii sław dołączył nasz „Lewy”, ładując dwa gole w ciągu trzech minut, choć należy go zganić za to, że nie wpakował kolejnych dwóch goli, marnując w niezrozumiały sposób dwie setki. Wyręczyli go genialni koledzy – nagrodzony na paryskiej gali Kopa Trophy dla najlepszego młodzieżowca globu Lamine Yamal oraz będący tej jesieni u szczytu formy Brazylijczyk Rafinha. Co ciekawe, przez niemal godzinę nic nie wskazywało na takie rozstrzelanie, bo Barcelona frustrowała rywali nade wszystko serią perfekcyjnych pułapek ofensywnych, przy czym wydawało się, że to trochę rosyjska ruletka i za którymś razem gospodarze w końcu trafią. Jednak nawet kiedy strzelali ze spalonych, nie dawał się pokonać Iñaki Peña, który, najwyraźniej zmobilizowany przybyciem do klubu Wojciecha Szczęsnego, w ostatnich

meczach broni bezbłędnie, wybornie, transowo. Nasz golkeeper będzie musiał cierpliwie poczekać na ławce, aż zwolni się (o ile się zwolni) miejsce w pierwszym składzie, chociaż może przeciw słabszym rywalom pucharowym Hansi Flick da Polakowi zagrać.

Barcelona jest w kosmicznej formie, zdaje się być drużyną kompletną i potwierdza to w konfrontacjach z największymi. Kilka dni przed wizytą w Madrycie spowiewała Bayern Monachium, do

wyniku 4:1 przyczynił się także nasz narodowy supersnajper, ale królem boiska tym razem okazał się autor trzech trafień, młody Raphinha (czyli Raphael Dias Belloli, 27-latek, nie mylić ze starym Rafinhą, dobiegającym czterdziestki w lidze brazylijskiej, wieloletnim mistrzem Niemiec z Bayernem – takie to wyrafinhowanie różnice).

Paczka Hansiego Flicka zadziwia jak najlepsze drużyny barcelońskie w XX w., te Rijkaarda i Guardioli, które stworzyły i udoskonaliły sławną tiki-takę, czyli atak pozycyjny

Rodri to pomocnik uniwersalny – „szóstko-dziesiątka”, marzenie każdego trenera, zarazem pomocnik defensywny (świetne warunki fizyczne, 191 cm wzrostu), jak i ofensywny (doskonały przegląd boiska, czytanie gry, specjalność – podania prostopadłe czy, jak kto woli, penetrujące), gracz odbierający i rozgrywający, zarządca i mózg drużyny, dla której pracuje, mistrzowski asystent drugiego stopnia, od którego zaczynają się niemal wszystkie akcje bramkowe. A przy tym gracz na tyle dyskretny, niepazerny na gole, wyciszony, że większość niedzielnych kibiców, która podczas gali France Football liczyła na show Viniego lub Bellinghama, miała prawo zapytać, kto to w ogóle jest. Cokolwiek bowiem powiedzieć o Rodrim, do showmanów nie należy. Na scenę ledwie wkuśtykał, bo leczy zerwane więzadła, tę najfatalniejszą z możliwych piłkarskich kontuzji – w ciągu dwóch tygodni na przełomie września i października reprezentacja Hiszpanii straciła co najmniej do końca sezonu dwóch zawodników niezastąpionych – Rodri zerwał ACL, czyli więzadło krzyżowe przednie, a Dani Carvajal zerwał wszystko, co było do zerwania, diagnoza była równie makabryczna jak jego zdjęcia z nogą nie naturalnie wygiętą w kolanie. Obaj zasługiwali na tytuł najlepszego piłkarza

Szanuję pana Dariusza, bo wprowadzie myli się seryjnie, także w wymowie nazwisk zawodników, ale nigdy tak samo.

„tysiąca” krótkich podań. Dzisiejsza Barcelona wobec każdego rywala stosuje inny manewr taktyczny, ale wyniki ma równie imponujące.

Gra zatem Robert Lewandowski w najlepszej obecnie ekipie piłkarskiej globu, tymczasem najlepszym piłkarzem świata został Rodrigo Hernández Cascante, zdrobniale zwany Rodrim. Mistrz Europy, MVP Euro, jest, w co trudno uwierzyć, pierwszym od 60 lat Hiszpanem ze Złotą Piłką i dopiero trzecim w ogóle. Wcześniej byli Alfredo Di Stéfano i Luis Suárez (nie mylić z urugwajskim Suárezem, napastnikiem kąśliwym w sensie ścisłym, który za kąsanie rywali wylatywał z boiska).

świata – w moim przekonaniu Carvajal nawet nieco bardziej, bo oprócz triumfu w europejskim czempionacie powiodł jeszcze swoją drużynę do zwycięstwa w Lidze Mistrzów, a nawet zdobył gola w finale.

Jeśli Złota Piłka jest Rodriemu pociechą w rehabilitacji, dla Carvajala mogłaby być nawet zwieńczeniem kariery, czeka go bowiem znacznie dłuższe leczenie, obrońca Realu wróci na boisko najwcześniej w wieku chrystusowym i można wątpić, czy zdoła odbudować życiową formę z minionego sezonu. A jak bezbronna jest defensywa Realu bez niego, boleśnie pokazały ostatnie Gran Derbi. ■



Warszawskie Nowolipki – jedno z najgęściej zabudowanych miejsc w Polsce.

ARCHITEKTURA narzędziem obrotu kapitału

Wznoszenie budynków tylko po to, by przyniosły zwrot z inwestycji, jest niedopuszczalne w dzisiejszych warunkach ekologicznych. A tak się dzieje nagminnie

Rozmawia Mateusz Demski

Komu służą dziś budynki?

– Budynki mają to do siebie, że służą wielu interesariuszom jednocześnie. Blok z mieszkaniami komunalnymi służy po trochu każdemu: z jednej strony, mieszkańcom, z drugiej – wszystkim innym, którzy biorą udział w rynku mieszkaniowym. Na przykład politykowi, który będzie się chwalił, że coś wybudował; no i dobrze, niech się chwali. Natomiast ja w „Szarej godzinie” staram się przekonać do tego, by pierwsza motywacja stawiania budynków nie była motywacją inwestycyjną.

Trudno sobie wyobrazić, że deweloper nagle powie: przestajemy budować!



FILIP SPRINGER

– reporter i fotograf, w najnowszej reportersko-eseistycznej książce „Szara godzina. Czas na nową architekturę” pisze, jak w obliczu katastrofy ekologicznej powinna zmienić się architektura.

– Nie uważam oczywiście, że nie powinno się zarabiać na budynkach. W obrębie systemu, w którym żyjemy (i pewnie jeszcze trochę w nim pożyjemy), będzie to nieodzowne. Problem w tym, że architektura stała się ogromnym narzędziem obrotu kapitału. Być może jednym z największych. Wznoszenie budynków tylko po to, by przyniosły zwrot z inwestycji, jest niedopuszczalne w dzisiejszych warunkach ekologicznych. A tak się dzieje nagminnie.

Jeśli słyszymy, że 50 tys. mieszkań w Krakowie stoi pustych – tylko dlatego, że opłaca się je trzymać puste, bo i tak nabierają wartości – to mamy do czynienia z czystą spekulacją za pomocą architektury. Podobnie jest ze wznoszeniem kolejnych biurów

w Warszawie. Powstają one po to, żeby zachować pewien margines pustych przestrzeni biurowych, który pozwala utrzymywać ceny na rynku wynajmu biur.

Dyskutując o budynkach, rzadko się mówi o ich wpływie na klimat, choć od danych może zakręcić się w głowie. Przemysł cementowy odpowiada dziś za 8% emisji dwutlenku węgla, który powoduje ocieplenie planety – to więcej niż emisja pochodząca z lotnictwa, szacowana na ok. 2,5%. Odpady budowlane są przyczyną 37% globalnej emisji.

– Te liczby są nawet większe. Od pewnego czasu mówi się o 11% emisji z cementu.

Jak to więc możliwe – idąc za tym, co piszesz – że tak dużo rozmawiamy o podróżach samolotem, sieciówkach z ciuchami i plastikowych słomkach, a tak mało o budynkach?

– Bo bardzo trudno zindywiduować winę w przypadku budynku. Za jego powstaniem stoi mnóstwo graczy: od miasta, które zgadza się, by taki budynek powstał, przez architektów, którzy go projektują, oraz budowlanców, którzy leją beton, aż po inwestora. W tym wszystkim są użytkownicy, którzy czasami występują w roli ofiary, bo mają na głowie te nieszczęsne kredyty. Trochę trudno zagrać w taką prostą grę jak w przypadku słomek i segregacji śmieci. Łatwiej powiedzieć: „Jesteś złym człowiekiem, bo wracasz ze sklepu z foliówką”, niż: „Jesteś zły, bo mieszkasz w budynku z betonu”.

Jesteśmy w stanie żyć bez słomek, woreczków, nawet bez lotów na weekend do Lizbony. Niektórzy się oburzają, ale moglibyśmy łatwo zakończyć ten proceder – wystarczy wprowadzić drogie bilety lotnicze i zaprzestać subsydiowania paliw lotniczych. Nie jesteśmy jednak w stanie żyć bez budynków, w związku z czym dyskusja natychmiast

wchodzi w sferę niuansów. Ale bez jakich budynków? Czyich budynków? Kto ma o tym decydować?

Sam zadajesz w książce to pytanie: „Zbędne budynki, czyli jakie?”. Ktoś może się złapać za głowę, kiedy czyta: „Im gęściej będą zaludnione miasta, tym lepiej”. Piszesz, że lepiej gnieździć się z innymi w pięciopiętrowym bloku, bo zużycie energii przy jego budowie jest mniejsze niż w przypadku wolnostojącego domu rodzinnego.

– Gdy się pojawiają moje wypowiedzi, rozmowy i omówienia tej książki, natychmiast padają komentarze, że jestem komunistą, który zabroniłby wznoszenia budynków. Jest to częściowo prawdą, gdyż zabroniłbym, ale budowania domów jednorodzinnych, czyli budynków jednofunkcyjnych. To czyni mnie prawdopodobnie jakimś marksistą!

Nowe biura w Warszawie powstają po to, żeby zachować margines pustych przestrzeni biurowych, który pozwala utrzymywać ceny na rynku wynajmu biur.

Piszesz, że dogęszczanie paradoksalnie poprawia jakość życia. Tak się składa, że czytałem „Szara godzinę” w drodze do Nowego Jorku. Prawie 8,5 mln ludzi na jednym skrawku ziemi, gęstość zaludnienia oszałamia.

– W dyskusji na temat gęstości często przywołuje się takie radykalne przykłady jak Hongkong, Singapur, Tokio czy Nowy Jork. Parametry gęstości faktycznie wystrzeliły tam w kosmos. Z punktu widzenia Polski nas to nie czeka. Każdy, kto będzie nam próbował wmówić, że powinniśmy żyć w gęstych miastach, a to oznacza, że będziemy żyć w drugim Nowym Jorku, mówi nieprawdę. Z kilku powodów. Najważniejszy – pięć najgęściej zabudowanych

kilometrów kwadratowych w Polsce to Muranów, Nowolipki i miasteczko Wilanów w Warszawie, Ołbin we Wrocławiu i północne śródmieście Szczecina.

Nie jest to bynajmniej zabudowa, która kojarzy się z Nowym Jorkiem.

– Bo zagęszczanie dla każdego miasta znaczy coś innego. Chodzi tylko o to, żeby w ramach przestrzeni, która jest już na różne sposoby zabudowana, znajdować miejsca, w których można tę zabudowę dogęścić. Tak aby najlepiej wykorzystywać przestrzeń, którą i tak zawłaszczaliśmy. Za każdym razem, gdy to zrobimy, nie będziemy musieli budować osiedli na przedmieściu, a to zmniejsza koszty ekologicznego życia takiego miasta. Będzie ono zużywało mniej na dojazdy, infrastrukturę i masę innych rzeczy. Druga sprawa – większość polskich miast

się wyludnia. Nie będziemy więc mieli takiego problemu jak Nowy Jork, że jest ciągły napływ mieszkańców, w związku z czym trzeba pięć się w górę.

Jak powinna dziś wyglądać dyskusja o budynkach?

– Jediną drogą do tego, żeby zmniejszyć ślad ekologiczny budynków, jest, po pierwsze, budowanie mniej. Po drugie, projektowanie w taki sposób, żeby dało się te budynki wykorzystywać na wiele różnych sposobów. I po trzecie, budowanie tak, by w razie konieczności rozbiórki można było z tych klocków złożyć nowy budynek.

A co myślisz o tym całym zrównoważonym, ekologicznym budownictwie? To bardziej ciekawostka, fanaberia czy droga ku zmianie?

– Zaczynam się robić podejrzliwy na słowo „zrównoważone”. Z reguły nie oznacza ono tego, co miałyby oznaczać pierwotnie. Dobrze wybrzmiewa to w badaniach Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC). Znakomicie zmniejsza się energochłonność i zasobochłonność ▶

Filip Springer – autor książek poświęconych przestrzeni i architekturze, m.in. „Miedzianka. Historia znikania” (2011), „Wanna z kolumnadą. Reportaż o polskiej przestrzeni” (2013), „13 pięter” (2015). Stypendysta Narodowego Centrum Kultury i Fundacji im. Ryszarda Kapuścińskiego – Herodot. Nominowany do najważniejszych nagród literackich w kraju. Jego książki tłumaczone są na angielski, niemiecki, rosyjski i węgierski.

► budynków, bo jesteśmy już w stanie obstarwić je różnego rodzaju technologiami, które bezemisyjnie produkują lub odzyskują energię. Ciągłe natomiast rosną emisje z architektury jako takiej. Nieważne, jak bardzo zeroemisyjne budynki postawimy, skala ruchu budowlanego i tak zneutralizuje efekt. Już sam fakt, że stawia się nowy budynek, generuje taki ślad, że wszystko inne nie ma znaczenia.

Druga rzecz to klasyczny greenwashing. Jak się porozmawia z architektami, którzy brali udział w dostosowywaniu budynków do różnych certyfikatów, usłyszysz się, że to jest literatura, a nie architektura. Certyfikaty nie są po to, żeby cokolwiek minimalizować. To jedna wielka zielona ściema. Była taka sprawa z międzynarodowym ruchem, który miał wzywać architektów do projektowania niskoemisyjnego. Okazało się, że za wszystkim stoi producent kosztownego oprogramowania, które ma ułatwić pisanie tych certyfikatów.

Pozostaną jeszcze przy Nowym Jorku. Zastanawia mnie, jak na tle tego, o czym mówimy, wypada taki High Line? Na estakadzie dawnej linii kolejowej, za sprawą dwójki mieszkańców, powstał park ciągnący się kilometrami nad Manhattanem.

– Chyba nie podawałbym High Line'u jako wzorca z punktu widzenia bioróżnorodności. To ciekawy przykład, który zrobił furorę, ale projekt mocno wpłynął na ceny nieruchomości w okolicy, zwyżka cen jest

Pięć najgęściej zabudowanych kilometrów kwadratowych w Polsce to Muranów, Nowolipki i miasteczko Wilanów w Warszawie, Ołbin we Wrocławiu i północne śródmieście Szczecina.

obłędna. Zamiast poprawić poziom życia mieszkańców, park stał się jedną z najbardziej obleganych atrakcji turystycznych w mieście – ci, którzy mieszkają przy High Linie, mają permanentną wycieczkę za oknem. Natomiast jest drugie takie miejsce w Nowym Jorku, to skrzyżowanie ulic LaGuardia Place i West Houston Street. Na pustej działce artysta Alan Sonfist stworzył w 1978 r. żywy, ekologiczny projekt sztuki. W ramach „Time Landscape” przekształcił ten



Gdańsk: nowe osiedla na dawnych terenach stocznioowych i Wyspa Spichrzów, gdzie znajdują się głównie mieszkania na wynajem.

kawałek ziemi w „pradawny las”, odtwarzając roślinność, która istniała na tym terenie przed kolonizacją europejską.

Czyli pusta działka w środku miasta, tak po prostu?

– Dość wyraźnym trendem – który ma szansę przybrać na sile w ciągu najbliższych dwóch, trzech lat – są zjawiska czwartej przyrody i trzeciego krajobrazu. Chodzi o wkroczenie przyrody na tereny, które człowiek opuścił, np. przemysłowe. Tyle że to wejście musi się odbywać na zasadach przyrody, a nie ludzi. To musi być naturalna sukcesja. W Polsce są już takie miejsca. Opisywane przeze mnie Kopiec Powstania

wisko, knieję, miejski busz”. Co takiego tam się wydarzyło, że zmiany w stoczni opisujesz jako zabójcze dla jej dziedzictwa?

– Nic szczególnego, tam po prostu wydarzył się rynek. Największy banal. Ile mamy w Polsce przykładów tego, że wielki zakład został zlikwidowany, a następnie wszedł tam inwestor i miejsce zagospodarował? Jedyne, co każe nam zwracać uwagę na ten teren, to fakt, że wcześniej wydarzyło się tam coś ważnego dla historii Polski. Gdyby tak nie było, przeszlibyśmy nad tym do porządku dziennego.

Kawałek historii udało się ocalić: jest Europejskie Centrum Solidarności, jest Sala BHP i brama. Ale do tego będzie mnóstwo osiedli. Przy ECS już takie powstaje, ściana w ścianę. Co więcej, na tych osiedlach w lokalach użytkowych na dole są miejsca odbioru kluczy do apartamentów na krótki wynajem. Dziś to lokalizacja

nieatrakcyjna do życia dla innych. Gdańsk zna już takie historie. Istnieje osiedle przypominające spichlerze, gdzie ci nieliczni, którzy zdecydowali się tam zamieszkać, nie mogą dojść do ładu z firmami, które wykupiły po kilkadziesiąt mieszkań pod wynajem. Przyjeżdżają imprezowicze, sikają po bramach, nie da się żyć.

Od czego więc zacząć zmiany? Bo może wcale nie chodzi o to, jak budujemy, tylko z czego? Dość powszechnie uważa się, że kończą się



światowe surowce, w tym zasoby piasku – rocznie wykorzystuje się 50 mld ton, to najczęściej używany materiał na świecie. Znacząca większość jest przeznaczona do produkcji betonu.

– Budulec jest problemem, owszem. To zostało zmierzone, zbadane i policzone. Nie ma w tej książce za wiele wątków technologicznych związanych z tym, że zamiast betonu musimy używać drewna lub zmieszanych plastikowych butelek. Na etapie, na którym jesteśmy z różnymi innowacjami, wymyślenie czegoś podobnego nie zajmie dużo czasu. Zawsze nowe rozwiązania i materiały pojawiały się, gdy brakowało innych surowców.

Bardziej interesuje mnie jednak to, co jest przed budulcem. Co w obrębie architektury da się wymyślić, zanim zacznie się myśleć o postawieniu czegoś. Architektura oczywiście daje nam schronienie, ale przy spełnieniu kilku warunków może ona odbudowywać naszą relację z pozaludzką przyrodą, może dawać głębokie, poetyckie przeżycia, które będą w stanie wpływać na nasze postawy. Na naszą zdolność etycznego odnoszenia się do świata.

Jak to właściwie działa?

– Architektura opisuje nasze bycie w przestrzeni. I ma narzędzia do zarządzania tym naszym byciem na o wiele bardziej wysublimowanych poziomach niż technologia, z której powstaje budynek. Technologia to

tylko kwestia inżynierska. Natomiast architektura może otwierać nas na nowe sposoby patrzenia na świat. Może nas pociągnąć w kierunku troski o planetę.

Naprawdę wierzysz, że ta zmiana może się dokonać? Jeśli w twojej książce czytamy, że architektura jest obecnie jednym z najważniejszych instrumentów lokowania kapitału, nie ma co liczyć na przełom. Dopóki wszystko się zgadza w Excelu, nie wierzę, że ktoś pogna na ratunek planecie.

– Jeżeli nie dokona się zmiana w architekturze, to równie dobrze możemy uznać, że jest pozamiatane, budować bunkry i życzyć wszystkiego dobrego naszym dzieciom. Albo będzie tak, jak napisali Bruno Latour czy Naomi Klein. Do głosu dojdą dyktatury wybudowane na nierównościach wynikających z klimatu. Grupa najbardziej uprzywilejowanych ludzi zrobi sobie lepsze klimatyzatory, szczelniejsze okna, a reszta będzie się smażyć.

Zakładam jednak, że mamy w sobie dość instynktu samozachowawczego, żeby tej zmiany dokonać. Pewne jej zapowiedzi już się pojawiają. Być może za wolno, a może nie w tych krajach, co trzeba. Nie jest tak, że w architekturze nic się nie dzieje. Ale pewnie potrzeba nam bodźców, tak jak bodźcem do wymyślenia gruzobetonu była II wojna światowa. I tak jak bodźcem dla architektów ukraińskich do wymyślenia nowych rozwiązań okazał się brak różnego rodzaju materiałów, typu ścianki gipsowe. Bo dwa największe zakłady produkujące karton-gips zostały zbombardowane. Może, jak mówił mi architekt Maciej Miłobędzki, musi dojść do intensywnego przesilenia, żebyśmy zaczęli poważnie się martwić?

Mateusz Demski



Sceny z życia teatralnego

Banały, że życie to teatr, a teatr to życie, powtarzamy często i chętnie. Ale o tym, jak życie wdiera się w teatr, słyszymy zdecydowanie za rzadko. Reżyser Michał Grzybowski mówi o tym w „Sezonach”, filmie osadzonym w specyficznym mikroświecie. Prowincjonalna scena, której aktorzy chcą po prostu grać to, co jest do zagrania, ale przedstawienie idzie w nieoczekiwanym kierunku, gdy Marcin (Łukasz Simlat) dowiaduje się, że jego żona Ola, aktorka w tym samym teatrze (Agnieszka Dulęba-Kasza), miała romans z ich kolegą (Dobromir Dymecki). No i się zaczyna, zwłaszcza



„Sezony”, reż. Michał Grzybowski, prod. Polska, już w kinach

że Marcin okazuje się jedyną osobą, która w huczącym od plotek zespole o niczym nie wiedziała. Są w tym filmie momenty smakowite, jak ten, gdy Ola w stroju Dzwoneczka z „Piotrusia Pana” wyrzuca z siebie skrywane dotąd anse pod adresem wyposażonego w hak Hooka Marcina. Takie właśnie przełamania nastroju charakteryzują „Sezony”, które nie chcą dać się zaklasyfikować ani jako satyra na przewrażliwionych aktorów, ani jako dramat o rozpadającym się związku. Efektem jest film mocno wyróżniający się na polskim rynku, mówiący o poważnych sprawach z odrobiną uśmiechu.

Artur Zaborski

KURTyna W GÓRĘ



Falstaff i reszta

Gdyby ten obmierzły spaślak, pijaczyna, łgarz i fantasta Falstaff zniknął, świat by runął. Szekspir genialnie to obmyślił – sztywną dość opowieść o walkach między rodami aspirującymi do korony rozrzedził obrazami swawoli w gospodzie Pod Głową Dziką. Aż dziw, że ta świetna sztuka wróciła na afisz Polskiego dopiero po stu latach. Ale cóż to za powrót!

Obok zapierającego dech wizualnego i muzycznego piękna o sukcesie zadecydowały wyczelowane role, krwiste po-

stacie połączone w doskonale współpracujący zespół. Na jego czele czwórka głównych bohaterów: Król, Książę Walii, Lord Henryk Percy i Sir John Falstaff. Henryk IV Andrzej Seweryna jest monarchą w każdym calu, zatroskanym o całość państwa i o własnego syna lekkoducha. Jego główny oponent Henryk Percy Modesta Rucińskiego okazuje młodzieńczą zapalczywość, nerwowość, gotowość do poświęceń i decyzji straceńczych. Kiedy pojawia się na scenie, bucha energią, reaguje ostro i z trudem powściąga emocje. Książę Walii Pawła Krucza ukazuje wewnętrzną przemianę hulaki w dzielnego obrońcę kraju. Szczytowym momentem w tej roli – w duecie z Falstaffem – jest scena próby spotkania z królem, podczas której obaj odgrywają rolę monarchy. Dla Księcia to okazja, aby sponiewierać słownie rozpasanego kompana, ale dla Szymona Kuśmidra w roli Falstaffa okazja do brawurowego naśladowania zachowań monarchy w kreacji Andrzeja Seweryna. Kostium Falstaffa, charakteryzacja, eksponowany kałdun (sztuczny), który wydaje się utrudniać mu ruchy, zmierzwił włosy i wieczna suchota w gardle, jak to u czekającego na kolejną szklaneczkę pijusa – wszystkie te elementy budują postać budzącą uśmiech, ale i współczucie. Na tych czułych nutach wygrywa swojego Falstaffa Kuśmider, malując obraz prawdziwego człowieka, pełnego sprzeczności.

Tym czterem koncertowym rolom partnerują pozostali, nie pozostawiając miejsca na najmniejszy błąd. Okazało się, że dramat uchodzący w Polsce za mało interesujący ze względu na zawilgość intrygi historycznej, tak naprawdę jest atrakcyjnym thrillerem politycznym, a zarazem subtelnym dramatem psychologicznym i jędrną komedią. Pod warunkiem że znajdzie się ekipa, która potrafi tego dowieść. Tym razem tak się stało.

Tomasz Miłkowski

William Shakespeare, „Historia Henryka IV”, tłumaczenie Piotr Kamiński, reżyseria Ivan Alexandre, Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana, premiera 10 października 2024

Czerwony bez końca

Losy jednej rosyjskiej rodziny, coś jak z Czechowa, ukazują wraz z biegiem lat „transformację” kraju od ZSRR po dzisiejszą Federację Rosyjską. Dramat w swoim przebiegu pełen okrucieństwa i szaleństw jest adaptacją książki reportażowej białoruskiej noblistki Swietłany Aleksiejewicz, pokazującej stopniowy upadek świadomości zwykłego homo sovieticus i zrodzenie się czegoś jeszcze gorszego, co na razie nie ma nazwy. Akcja kończy się w 2003 r., a resztę możemy sobie sami dopowiedzieć.

Bronisław Tumilowicz



Daniel Majling, „Koniec czerwonego człowieka”, na podstawie książki Swietłany Aleksiejewicz, tłumaczenie Michał Sieczkowski, reżyseria Krystyna Janda, Och-Teatr, premiera 17 października 2024

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Zapasy duchowe na zimę

Zawsze to samo: przejście na czas zimowy, początek koszmaru, wycięta godzina światła, organizm jeszcze próbuje się bronić, ale sezonowa depresja już sunie ku mnie, już się muliste listopadowe nize zbliżają, grudniowa noc ciemna doprawiona dżingelbelsami; co rok ciężiej, co rok zbieram zapasy duchowe na zimę, żeby się nie dać przygwoździć przygnębieniom.

Gromadzę zachwyty, dopóki mi starcza na nie sił, bo potem z braku światła na wszystko zobojętniej, zapadnę w zmysłowy letarg i będę próbował jakoś się doczołgać do wiosny. Jak się misiofaki otłuszczają na zimę, tak i ja teraz żarłocznie czytam, oglądam, słucham i wypatruję, a jeśli mnie wciąż ciarki przechodzą, to wiem, że jeszcze nie pora się zagrzebać w barłogu, aby przetrwać deficyt endorfin; jeszcze mnie olśniewają dobra kultury, ale już widzę wyraźny przechył w stronę jesieniarstwa i melancholii. No bo np. wzięto mnie akurat na Johna Cheevera, a przecież leżał w górnej części stosiku lektur-na-jutro już od zeszłego roku, nabyty drogą kupna jak wszystkie przekłady Krzysztofa Majera, którego sztuki przekładu jestem wielbicielem.

Majer lubi odkrywać dla polszczyzny autorów w Stanach poważanych i uznanych, a nad Wisłą nie wiedzieć czemu dotąd nietłumaczonych (tak było z reportażowymi „Depeszami” Michaela Herra, awangardową „Kochanką Wittgensteina” Davida Marksona czy ostatnio opowiadaniem Amy Hempel), ale czasem sięga po klasyków literatury anglosaskiej i tłumaczy ich kongenialnie na nowo – jak opowiadania Melville’a, a teraz Cheevera właśnie.

Jeśli „Pływak” nie jest największym arcydziełem melancholijnej nowelistyki XX w., tekstem opadającym równomiernie z rejestrów euforycznych do skrajnie depresyjnych, niczym syrenie glissando, to nie wiem, cóż mogłoby nim być. Realista magiczny przedmieść Nowej Anglii na najdoskonalszym ze swoich opowiadań na przestrzeni kilkunastu stron zmienia American Dream w American Nightmare. Być może popełniam grzech dla filmoznawcy śmiertelny, ale są w literaturze dzieła tak krystaliczne, że odmawiam sobie prawa do obejrzenia ich filmowych adaptacji, nawet jeśli wedle krytyków udały się niezgorzej. Wiem, że Burt Lancaster wracał drogą wodną do domu przez baseny sąsiadów w filmie Sydneya Pollacka i Franka Perry’ego, ale nie chcę tego widzieć: wolę czytać oryginał i zanurzać się

wraz z bohaterem w studzących wodach aż po ostatnie słowa, w których dociera do sedna rozpacz.

Okradziony z dnia, łacniej poddaję się również urokom filmowych snujów. Jeśli jest jakaś pora, w której owoce *slow cinema* smakują najsoczyściej, to właśnie dojrziała jesień. Mistrzem takich ekranowych ulegątek jest Turek Nuri Bilge Ceylan, pieśzczoł festiwalu canneńskiego. Jego przeszło trzygodzinne „Wśród wyschniętych traw” nie doczekało się premiery kinowej w Polsce, ale jest dostępne w streamingu – i może to lepiej, bo sobie człowiek może podzielić projekcję na dwa wieczory i rozsmakować się w coraz bardziej czechowowskiej narracji Ceylana.

I tym razem na anatolijskiej prowincji przy wschodniej granicy tak bardzo nic się nie dzieje, że aż wzroku odebrać nie można. Zgorzkniały nauczyciel marzy o przenosce do Stambułu jak trzy siostry o Moskwie, a między

Jeśli jest jakaś pora, w której owoce slow cinema smakują najsoczyściej, to właśnie dojrziała jesień.

wyrzekaniem na zły los przeżywa romans z jednonogą, lewicującą pedagożką, a także szkolną infamię z powodu oskarżeń o nadmierną poufałość z uczennicą. Jak to u Ceylana, kapitalne, nieskończenie długie, świetne literacko dialogi w caravaggiowsko oświecanych wnętrzach przeplatają się ze zjawiskowymi zdjęciami pejzażowymi – ale tym razem reżyser daje w bonusie psikusa, przełamując na chwilę czwartą ścianę i napięcie przed spodziewaną sceną miłosną. Bohater poproszony przez kochankę, aby zgasił światła w salonie, wychodzi na chwilę poza plan, mija dekoracje w hali, rozgardiasz techniczny, filmowców, korzysta z łazienki, aby zażyć tabletkę na potencję, po czym wraca do filmu. To mrugnięcie okiem do wszystkich, którzy Ceylanowi zarzucają brak dystansu i nadętą „tarkowszczyznę” – ten dowcip wznosi ostatnie dzieło Turka na wyżyny, których nie dostąpił bodaj od nagrodzonego w Cannes w roku 2002 dramatu „Uzak”.

Bohaterowie Cheevera i Ceylana dużo gadają i dużo piją; nie żebym tu chciał reklamować nielegalnie trunki, ale w tym wypadku kulturalny *food pairing* jest na rzeczy – pijcie do wieczorów z tymi mistrzami głębką czerwień.

Charlotte Mullins

Czas: 17 tys. lat temu, dzisiejsza południowa Francja. Dwóch ludzi wchodzi przez wąski otwór i zaczyna wspinać się długim, krętym korytarzem ukrytym głęboko w kompleksie jaskiń. Pod nimi wiruje rzeka, torując sobie drogę przez skały. W korytarzu jest ciemno choć oko wykol i nie docierają tutaj żadne dźwięki ze świata zewnętrznego. Dorosły trzyma płonącą pochodnię, a jej dymiący płomień wyciąga w ciemność palce światła. Nastolatek podąża za nim, spoglądając na ryty na ścianach przedstawiające żubry i renifery. Czasami, gdy przejście się obniża, muszą iść na czworakach lub przedzierać się wśród szkieletów dawno wymarłych niedźwiedzi jaskiniowych, których kły zabrali poprzedni goście, by zrobić wisiorki i naszyjniki.

Zmierzają do najodleglejszego miejsca w kompleksie komór, ponad pół kilometra od wejścia. Tam, balansując na piętach, aby stopy nie ugrzęzły w błocie, kucają i przyniesionym ze sobą ostrym kamieniem wycinają z wilgotnego dna jaskini ciężki kawał gliny. Gdy podnoszą bryłę i przenoszą ją na skalisty występ, ich stopy zagłębiają się w podłoże, lecz oni zabierają się do pracy. Powoli miękka glina przekształca się w dwa żubry o długości ramienia dorosłego człowieka. Zwierzęta wpisują się w załamania skały jak w krajobraz, ale wystają majestatycznie ponad jej powierzchnię, a samiec podążający za samicą zdaje się stawać dęba. Ich twórcy stoją, trzymając wysoko pochodnię. W świetle migotliwego płomienia żubry jakby ożywały – ich grzywy sterczą, a charakterystyczne garbate grzbiety i ogony drgają.

Czy te rzeźby wykonano w ramach rytuału płodności, aby uczcić magiczne stworzenie życia? A może nastolatek został zabrany w głąb jaskiń, by dopełnić obrzędu osiągnięcia pełnoletności, rytuału przejścia w podróż do dorosłości? Możemy się tylko domyślać. Dwa żubry w jaskini Tuc d'Audoubert we Francji pochodzą z epoki paleolitu. Są prehistoryczne,

Pierwsze znaki

Odkrycie sztuki jaskiniowej to moment zmieniający życie



Wenus z Willendorfu sprzed 25 tys. lat.

powstały przed jakimkolwiek źródłami pisanymi, na długo przed wynalezieniem samego pisma. Są to najwcześniejsze znane na świecie rzeźby reliefowe (inaczej płaskorzeźby, czyli rzeźby „wyrastające” z tła).

Korzystając ze wskazówek pozostawionych w jaskini: śladów pięt w błocie oraz palców odcisniętych na rzeźbach, archeolodzy i paleontolodzy potrafią powiedzieć, jak i przez kogo żubry zostały wykonane. To niesamowite, tak patrzeć na te ślady

– sprawiają wrażenie, jakby zwierzęta wyrzeźbiono zaledwie chwilę temu, a artyści, którzy zostawili swoje odciski w glinie, właśnie odeszli. Nie możemy jednak być pewni, dlaczego rzeźby zostały wykonane. Co taka sztuka znaczyła dla naszych przodków i jakie znaczenie ma ich sztuka dla nas dzisiaj? Czy w ogóle uważali, że to, co robią, jest „sztuką”? (...)

Sztuka to podejrzane określenie. Jego znaczenie i wartość zmieniały się z biegiem czasu, ale docelowo stworzono je po to, by służyć do wyrażenia czegoś, co wykracza poza słowa. Współczesny malarz Ali Banisadr twierdzi, że cała sztuka, począwszy od jaskiniowej, dotyczy magii. Mówi, że artyści jaskiniowi „próbowali wykorzystać magię, wyrazić w wizualnym języku coś, czego tak naprawdę nie rozumiemy. Zawsze chodziło o magię”. Co to oznacza? Banisadr nie mówi o żadnym hokus-pokus, o wyciąganiu królika z kapelusza, ale o tajemniczej sile, niewytłumaczalnej mocy. Tego rodzaju magia potrafi przekształcić obiekt lub zestaw znaków na ścianie i dać mu możliwość przekazywania potężnych idei, wykraczającą daleko poza zasięg języka mówionego.

Sztuka to podejrzane określenie. Jego znaczenie i wartość zmieniały się z biegiem czasu.

Czasami idee te są wyrażane szybko lub z zapierającą dech w piersiach złożonością. Artyści wykorzystują tę magię, aby zmienić najprostsze znaki czy też znajdujące się pod ręką materiały – węgiel drzewny, kamień, papier, farbę – w dzieła sztuki. Kiedy artysta rzeźbi zwierzę bądź maluje postać, niekoniecznie próbuje oddać podobieństwo, raczej stara się wyrazić coś ważnego na temat tego zwierzęcia lub tej postaci. Dlatego dzieła sztuki – niezależnie od tego, jak różnorodne wydają się ze względu na formę – ostatecznie łączy wspólny wątek. Artyści na przestrzeni dziejów zawsze poszukiwali najlepszych środków do wyrażenia swoich pomysłów. (...)



Dzikie świny w jaskini Leang Tedongnge na Celebesie odkryto dopiero w 2021 r.

Nasza podróż zaczyna się, choć brzmi to niewiarygodnie, 100 tys. lat temu, kiedy ludzie współcześni po raz pierwszy stworzyli farbę, ucierając czerwoną ochrę i łącząc ten pył (pigment) z tłuszczem ze spalonych kości. W jaskini Blombos w Republice Południowej Afryki odkryto muszle z farbą sprzed 100 tys. lat. Nie odnaleziono żadnych dzieł sztuki datowanych na ten okres, a farba przygotowana w muszlach mogła być używana do ozdabiania ciała lub pochówków, ale opanowano umiejętność wytwarzania farby, a tym samym celowego i twórczego zmieniania świata.

Zanim ludzie współcześni zaczęli migrować z Afryki do Europy i Azji ok. 60 tys. lat temu, używali farby do wykonywania dekoracyjnych znaków na różnych przedmiotach i ścianach. Dekoracja może uatrakcyjnić powierzchnię, ale nie ma w niej głębszego przesłania. Kropki czy krzyżyki na doniczce nie mają nam nic do powiedzenia na temat tego, co to znaczy żyć, być człowiekiem. Potrzebujemy do tego sztuki. Jak dotąd w Afryce nie odnaleziono żadnych prehistorycznych malowideł ściennych, jednak podobieństwa między późniejszymi przykładami z Indonezji i Europy podpowiadają, że nim zaczęła się nasza masowa migracja, istniał wspólny sposób myślenia i miał on swoje korzenie w Afryce. Kuszące byłoby wyciągnąć taki wniosek, lecz na razie pozostaje on teorią.

Żubry w jaskini Tuc d'Audoubert we Francji pochodzą z epoki paleolitu.



Do najwcześniejszych znanych śladów należą skupiska czerwonych kropek i odciski dłoni znalezione na ścianach jaskiń obok przedstawień zwierząt. Farbę w kolorze czerwonej ochry przedmuchano na dłoń za pomocą wydrążonej kości ptaka, po czym przykładano dłoń do ściany niczym szablon. W jaskini Chauveta we Francji w całym kompleksie powtarza się charakterystyczny odcisk dłoni z krzywym małym palcem. Na

Borneo wczesne odciski dłoni odkryto w odległych jaskiniach w Kalimantanie Wschodnim, a na Celebesie – na wapiennych ścianach Leang Timpuseng. Te serie odcisków dłoni – wszystkie wykonane ok. 35 tys. lat temu – są oddalone od siebie o tysiące kilometrów, ale mają ten sam przekaz: byłem tutaj, to jest mój znak. Nie są dziełem sztuki – przypominają raczej podpisy, być może wykonane przez osoby, którym powierzono malowanie zwierząt. Pierwszymi dziełami sztuki są najstarsze przedstawienia zwierząt. Teraz nasza podróż naprawdę może się rozpocząć. Malowidła przedstawiające zwierzęta pojawiły się mniej więcej w tym samym czasie lub nawet wcześniej niż odciski dłoni.

Obok dłoni w celebeskiej jaskini znajduje się babirusa, czyli świniopodobny jeleni, namalowana długimi, zamasytymi pociągnięciami. Ma co najmniej 35 700 lat. Wiek trzech dzikich świń namalowanych w głębi jaskiń

Leang Tedongnge datuje się na niewiarygodne 45 500 lat, jest to więc najstarszy znany przykład sztuki figuratywnej (sztuki przedstawiającej rozpoznawalne formy).

Zarówno w Indonezji, jak i w Europie zwierzęta ukazywano z profilu, stosując pogrubione kontury. Skupiano się na ich sylwetce i charakterystycznych cechach: rogach, kłach i grzywach. Oświetlone pochodniami w głębi jaskiń musiały budzić respekt. ▶

► W osadach jaskiń, w których żyli ludzie współcześni, znaleziono także małe rzeźby. Z kości, kłów mamutów i kamieni rzeźbiono zwierzęta lub hybrydy ludzko-zwierzęce, jak np. liczący 40 tys. lat człowiek-lew wykonany z kła mamuta. Niektóre rzeźby przedstawiają postacie kobiece z dużymi piersiami i pośladkami, z wypukłymi brzuchami oznaczającymi ciążę, jak wapienna Wenus z Willendorfu sprzed 25 tys. lat. Figurki te mogły być talizmanami – małymi rzeźbami przeznaczonymi do noszenia ze sobą, którym przypisywano moc ochronną i których zadaniem było zapewnienie właścicielowi bezpieczeństwa bądź liczego potomstwa.

Dziś archeolodzy potrafią datować rzeźby i malowidła, korzystając z zaawansowanej techniki. Mogą określić wiek użytych materiałów lub wiek osadów mineralnych, w których je odkryto. Jednak jeszcze w XIX w.

100 tys. lat temu ludzie współcześni po raz pierwszy stworzyli farbę, ucierając czerwoną ochrę i łącząc ten pył z tłuszczem ze spalonych kości.

ludzie śmialiby się, gdyby im powiedzieć, że sztuka ta została stworzona tysiące lat przed Rzymianami. W epoce wiktoriańskiej wierzono, że świat ma zaledwie kilka tysięcy lat, a za najwcześniejszy okres, w którym mogła powstać sztuka, przyjmowano okres „przedrymski”. Przełomowe badania Charlesa Lyella dotyczące czasu geologicznego i Charlesa Darwina na temat ewolucji gatunków doprowadziły do zmiany poglądów i uznania, że świat i jego mieszkańcy są znacznie starsi – o miliony lat starsi – niż wcześniej sądzono. Dopiero po opublikowaniu teorii Lyella i Darwina na poparcie tej tezy archeolodzy zaczęli katalogować artefakty i pochówki – topory krzemienne i prehistoryczne szkielety ludzkie.

Prehistoryczne szkielety to jedno, ale gdy w 1879 r. dziewięcioletnia Maria Sanz de Sautuola i jej ojciec Marcelino opowiedzieli, że widzieli takie zuby i konie namalowane na sklepieniu prastarych jaskiń, świat akademicki parsknął śmiechem i stwierdził, że te malowidła to

podróbki. Szydzono, że prehistoryczni ludzie nie umieli malować, nie byli wystarczająco wyrafinowani!

Malowidła, o których mowa, znajdowały się w posiadłości Marcelina w Altamirze w Hiszpanii, w kompleksie jaskiń składającym się z kilku dużych komór i korytarzy. Na ścianach wszystkich widnieją zwierzęta rytowane i namalowane czerwoną ochrą, których kontury wykonano węglem drzewnym. Marcelino, wyśmiewany za twierdzenie o odkryciu sztuki prehistorycznej, zmarł w 1888 r. Dopiero w 1902 r. przyznano, że przedstawienia zwierząt są taką sztuką. Obecnie wiadomo, że niektóre z nich mają 36 tys. lat.

Odkrycie sztuki jaskiniowej to moment zmieniający życie. Dzięki świnie w jaskini Leang Tedongnge na Celebesie odkryto dopiero w 2021 r., a inne niedawne znaleziska wciąż są dokumentowane. Wiele przykładów

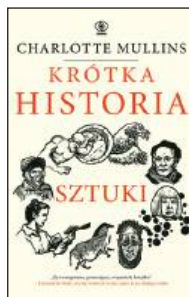
z Europy jest znanych od dziesięcioleci, dlatego są lepiej przebadane. Jednym z nich jest jaskinia Chauveta we Francji. Znajdujące się w niej malowidła pochodzą sprzed 33 tys. lat. Odkryli je w roku 1994 trzej doświadczeni grotolazi, którzy poczuli powiew idący od sterty kamieni i postanowili zbadać jego źródło. Dotarli do jednego z najlepiej zachowanych okazów sztuki jaskiniowej na świecie. Na jednej ze ścian czai się stado lwów o czujnych oczach i nakrapianych pyskach, wężących w poszukiwaniu ofiary. Na innej walczą nosorożce, a poniżej widnieje tabun koni z najeżonymi czarnymi grzywami i sterczącymi uszami. Jedno zwierzę ustępuje miejsca innemu, wszystkie narysowane są węglem drzewnym wyrazistą kreską i sporadycznie cieniowane dla dodania ciężaru. Nogi niektórych ukazane zostały wielokrotnie, jakby były uchwycone w ruchu.

W ostatecznym rozrachunku nie mamy możliwości dowiedzieć się, jak początkowo odbierano malowidła i rytury w jaskiniach takich jak Chauveta. Wydaje się, że wiele jaskiń było wykorzystywanych, a następnie opuszczonych, po czym znów wykorzystywanych tysiące lat później, i w ten sposób obok starych przedstawień pojawiła się nowa sztuka. Używając różnych technik datowania, stwierdzono, że niektóre obrazy zwierząt w jaskini Chauveta zostały namalowane kilka tysięcy lat później. To tak, jakbyśmy dzisiaj wstawili jeden lub dwa posągi do grobowca Tutanchamona!

W jaskini Chauveta znaleziono szkielety niedźwiedzi, ale nie ma żadnych szczątków ludzkich, co może świadczyć o tym, że nie było to miejsce, w którym ludzie żyli, ale raczej takie, w którym odbywały się obrzędy. Wygląda jak katedra, meczet, a nawet galeria sztuki. Jest to naturalnie ukształtowana duża, imponująca przestrzeń mogąca służyć spotkaniom grupy, np. gdy dzieci osiągnęły dorosłość lub aby uczcić pewne aspekty cykli rocznych czy migracji zwierząt. Może zwierzęta na ścianach przywoływane były w opowieściach przywódców grupy. Oświetlając obrazy, by wydobyć dramatyzm, nasi przodkowie mogli opowiadać dzieje trudnych polowań albo szamani mogli posługiwać się nimi w celu przywoływania duchów zwierząt – na niektóre z nich nie polowano, ludzie bali się ich i czuli przed nimi respekt.

Ważne jest, żeby oglądając te pierwsze malowidła i rzeźby, zdać sobie sprawę, że patrzymy w przeszłość oczami XXI w. Kiedy widzimy reprodukcję lwów z jaskini Chauveta, naszą pierwszą myślą nie jest to, że ożyją i nas zjedzą. Malowidła te możemy dziś podziwiać, ale jest mało prawdopodobne, że wywołają one w nas takie same wrażenia, jak oglądane w świetle pochodni 33 tys. lat temu.

Fragmenty książki Charlotte Mullins *Krótką historią sztuki*, przeł. Ewa Hornowska, Rebis, Poznań 2024



DR HAB. N. MED. JAROSŁAW JÓZWIAK
– lekarz psychiatra specjalizujący się w tematyce ADHD

Z TEGO SIĘ NIE WYRASTA

Czym jest, a czym nie jest ADHD

Rozmawia
Iwona Tarnowska-Ciosek

Powinniśmy zacząć od najbardziej podstawowej kwestii: czym jest ADHD, a czym na pewno nie jest? Jakie są najbardziej charakterystyczne cechy ADHD?

– Objawy lokują się w czterech wymiarach. Pierwszy to wymiar energii – czyli pacjenta cechuje albo bardzo duża, albo bardzo mała energia. Drugi to wymiar koncentracji, czyli albo brak koncentracji, albo ogromne skupianie się na zainteresowaniach. Kolejny jest wymiar szybkości działania, czyli albo robię coś impulsywnie, gwałtownie, bez zastanowienia, albo nie jestem w stanie podjąć decyzji, prokrastynuję. Czwartym elementem ADHD jest zaburzenie regulacji emocji, czyli

jak to zawsze opowiadam, emocjonalność adehadowa. Skoki energii to dwie skrajności. Wygląda to tak, że człowiek albo ma bardzo dużo energii, widać, że go nosi, szybko mówi, dużo robi, łapie się za kilka rzeczy naraz, rozpira go energia, a kiedy indziej nie może wstać z łóżka, nie ma na nic siły, nie jest w stanie się ruszyć i zmusić do niczego. Ta cecha występuje u każdej osoby z ADHD.

Czy to niezależne od temperamentu? Czy dotyczy zarówno osób energicznych, jak i tych spokojniejszych?

– Temperament to jest natura i to nie ma związku z ADHD, dlatego że w różnych okresach życia osób z ADHD pojawiają się skrajności. Przychodzi taki moment, że człowiek nie ma w ogóle siły przez rok, a to jest ten sam człowiek, który wcześniej miał bardzo dużo energii,

więc trudno mówić o standardzie czy o jakimś stanie typowym dla tej osoby.

Jak często występują takie skoki energii? Czy to może się zmieniać w ciągu dnia?

– U dzieci, szczególnie tych najmniejszych, może się to zmieniać wielokrotnie w ciągu dnia. Może być tak, że ogromnie nadpobudliwe dziecko nagle w środku dnia leży i śpi. Spało w nocy, ale teraz „bach” i zasypia, jakby mu ktoś odłączył prąd.

Niektórym tak zostaje do dorosłości...

– Może tak być, ale to szczególnie widoczne u dzieci – niektórych, nie wszystkich. ADHD to niezmiernie skomplikowana konstelacja objawów, które mogą w realnym życiu wyglądać bardzo różnie. Według mnie nie ma czegoś takiego jak ▶

▶ standard ADHD, bo po prostu to się zmienia i w różnych okresach życia można mieć inaczej niż zawsze. Energia obniża się z wiekiem, więc nawet jeżeli ktoś był energiczną osobą w dzieciństwie, to 10 lat czy 15 lat później może być zupełnie inny, bardzo spokojny. Inny przykład: do nastolatki przychodzi koleżanka. To dla niej fascynujące, ciekawe i ekscytujące. Znajduje się w stanie pobudzenia, szczeniawkuje i jest hiperaktywna. Ale jak tylko koleżanka wyjdą, zamienia się w depresyjną nastolatkę, która płacze, nie odzywa się cały dzień i siedzi w swoim pokoju. Czyli poziom energii zależy od tego, czy zajmuje się czymś ciekawym, fascynującym.

Na tej zasadzie, że ktoś wpadł na superpomysł i nagle, pstryk, ma mnóstwo energii, a jego życie znowu ma sens, choć dopiero co miał bardzo niski poziom energii i nic mu się nie chciało?

– Dokładnie tak. To powód, dla którego u osób z ADHD często nieprawidłowo rozpoznaje się depresję. W tych okresach, kiedy mają niski poziom energii, nic ciekawego się nie dzieje w ich życiu – wtedy rzeczywiście mają niski poziom energii i jest on bardzo związany z niskim samopoczuciem, z kiepskim nastrojem. Lekarze często wtedy rozpoznają depresję, mimo że pacjenci mówią mi: „Doktorze, ja się nie zgadzam. Według mnie to nie była depresja, to co mi inny doktor rozpoznawał, ale dostawałem leki przeciwdepresyjne”. Bardzo często te okresy obniżonego poziomu energii są traktowane przez psychiatrów jako depresja.

Tutaj chciałbym tylko podkreślić, że aktualna europejska klasyfikacja chorób, czyli ICD, nawet w wersji najnowszej, czyli ICD-11, która wejdzie w praktyce dopiero za kilka lat, nadal mówi o podtypach w ADHD, czyli dzieli osoby z ADHD na te, co mają bardzo dużo energii, na te, co mają duże problemy z koncentracją (w domyśle to ci z niską energią), i trzeci typ – mieszany. Tymczasem nie ma żadnych podtypów, wszyscy są mieszanymi. Co ciekawe, najnowsza amerykańska klasyfikacja również stwierdza, że nie ma podtypów. (...)

Czyli pierwsza adehadowa cecha to skoki energii. A co z deficytem uwagi?

– To skoki koncentracji. Wygląda to tak, że jeżeli człowiek z ADHD jest czymś zafascynowany, to to zmienia jego objawy. Czyli jak jestem w szkole i mam nieciekawą lekturę, to czytam stronę pięć razy, ale

Generalnie ADHD to zaburzenie skrajności.

w ogóle nie wiem, co czytam, a na lekcji nie jestem w stanie uważać, jeżeli to nieciekawy temat. Bardzo często psychologowie wykluczają ADHD, bo przecięt: „On może czytać książki i oglądać film, czyli może się skupić”...

Jak chcesz, to potrafisz? Zdolny, ale leniwy?

– Osoba z ADHD nie może się skupić na rzeczach nieciekawych i tym się różni od człowieka bez ADHD, który, jak trzeba, to przeczyta. Osoba z ADHD nie da rady tego przeczytać albo będzie mieć duży problem z koncentracją wtedy, kiedy to, czym się zajmuje, jest nieciekawe. Natomiast wtedy, kiedy jest ciekawe, wpada w tzw. hiperfokus. Jest nadmiernie skupiona. „Zajmuję się tym, co mnie interesuje, i nie wiem, kiedy minęło ostatnie 15 godzin”. Jeden z moich pacjentów, informatyk, czyli główny zawód adehadowy, kiedyś mówi: „Doktorze, siadłem ostatnio do kodowania o 16.00 i wstałem od komputera następnego dnia o 19.00”. Mówię: „Rozumiem, że pan nie jadł i nie pił, ale do toalety musiał pan pójść?”. „Pewnie tak, pewnie byłem ze dwa razy, ale nie mam pojęcia, bo ja i tak cały czas myślałem o tym, jak ten program mam pisać”. Czyli 27 godzin siedział i pracował, tak bardzo był zaangażowany i zafascynowany swoją pracą. Takie skrajności są typowe dla ADHD: albo brak skupienia, albo maksymalne zaangażowanie.

Trzecia cecha to skoki szybkości działania?

– Jeżeli to coś ciekawego, fascynującego, w jakiś sposób mnie emocjonalnie dotykającego, to w tej chwili, natychmiast muszę to

zrealizować. Nie mogę odłożyć tego do jutra. Zapisuję się na kurs online i od razu kupuję pięć książek na ten temat. Jeżeli natomiast to coś nieciekawego – jakieś formalności, jakieś papiery do urzędu trzeba wypełnić, napisać pracę magisterską, podsumować jakieś dane... – to w żaden sposób nie daję rady się za to zabrać. Odkładam i odkładam na później, zajmę się tym w ostatniej chwili i tylko deadline może mnie uratować.

A w jaki sposób prezentuje się emocjonalność adehadowa?

– Przede wszystkim osoby z ADHD są bardzo wrażliwe na to, co inni o nich mówią i w jaki sposób się w stosunku do nich zachowują. Emocjonalność ma bardzo duży wpływ na wszystkie sfery życia człowieka. Z powodu emocjonalności adehadowej osoby z ADHD prawie zawsze dobierają się ze sobą: prawie zawsze partnerem osoby z ADHD będzie inny adehadowiec, przyjacielem adehadowca jest adehadowiec itd. Po drugie, osoby z ADHD czasami tworzą związki na wyłączność. Oczekuję, że moja partnerka będzie stale przy mnie. Nie będzie jeździła do rodziny, znajomych czy gdzieś tam, tylko cały czas będziemy razem. Dziecko – nastolatek z ADHD – ma kolegę Jasia. Jaś jest tylko moim kolegą. Jak Jaś pójdzie do Marka, to nie rozumiem, jak on mógł coś takiego zrobić. Małe dzieci z ADHD często są przylepami. Chcą, żeby rodzice spali w tym samym łóżku, długo trzymali za rękę przy zasypianiu, i wykańczają rodziców, chodząc za nimi do toalety i po całym mieszkaniu. Ale: wiele osób z ADHD z kolei mówi, że czuje emocjonalną pustkę i że w ogóle ich nie obchodzi to, co inni o nich mówią, i w ogóle nic ich nie interesuje. Znowu mamy do czynienia ze skrajnością. Na pewno to się dzieje w mechanizmie przewrażliwienia i bardzo często występuje właśnie u tych nastolatków z ADHD, którzy tak mocno wszystko czują, że chodzą, patrząc pod nogi, i prawie nie podnoszą wzroku (...) i żyją w traumie, bo każde spojrzenie traktują jako oskarżenie i wytykanie ich palcami. Zamykają się emocjonalnie

i bardzo często mówią, że już nic nie czują. Generalnie ADHD to zaburzenie skrajności. To ciągłe przeskakiwanie w tych czterech wymiarach, z jednej skrajności w drugą.

Czy istnieją jakieś inne przypadłości, z którymi można pomylić ADHD? Takie, które nie występują od dzieciństwa, tylko pojawiły się w dorosłości i mogą dawać podobne objawy? Wiele osób, które obecnie podejrzewa u siebie ADHD, ma już inne diagnozy psychiatryczne, ale bywa, że błędne.

– Pewnie, że są. Często w tym kontekście mówimy o chorobie dwubiegunowej albo o niedoczynności tarczycy, ewentualnie traumie. W psychiatrii nie ma testu z krwi albo jakiegoś innego badania obrazowego, w którym moglibyśmy obiektywnie pokazać wynik, dlatego tutaj zawsze będą wątpliwości. ADHD często myli się z chorobą dwubiegunową, bo następują zmiany faz – raz dużo, raz mało energii. Czasami z depresją, bo jak są niskie

interesujące ich rzeczy. Większość ludzi nie ma ADHD, większość ludzi chodzi codziennie do pracy i nikt ich nie pyta: „O, słuchaj, a chciałbyś może tę tabelkę dzisiaj zrobić? A jeśli nie, to może jakieś kreatywne zadanie sobie wymyśli?”. Faktycznie: gdyby społeczeństwo wiedziało, co to jest ADHD, to osoby z ADHD miałyby mu dużo do zaoferowania, bo wtedy, kiedy są zafascynowane tematem, mnóstwo rzeczy są w stanie zrobić lepiej niż osoba bez ADHD (...).

A gdyby można było dopasować do siebie środowisko? Wyobraźmy sobie, że wcale nie musimy pracować osiem godzin. Możemy robić rzeczy, które nas interesują, otaczamy się ludźmi, którzy akceptują naszą emocjonalność taką, jaka jest... Czy wtedy ADHD w ogóle byłoby problemem?

– To piękna, utopiina wizja. (...) Nie wiem, czy to by sprawiło, że nikt by nie musiał się leczyć na ADHD, ale na pewno by to bardzo zmniejszyło potrzebę farmakoterapii. Nie

chorób i zaburzeń zdrowia, więc nie zgadzam się z tym, że to ewolucyjne, że to mózg łowcy itd. (...)

Myślę, że wszyscy ludzie z ADHD chcieliby się poczuć wyjątkowo. Lepiej myśleć, że należy się do tej vipowskiej, bystrzejszej części społeczeństwa.

– W jakimś sensie tak. Tacy jesteśmy. Osoby z ADHD takie są, bo wtedy, kiedy coś jest dla nich nowe lub fascynujące, to są w tym znacznie lepsze od innych. Einstein pewnie miał ADHD, Leonardo da Vinci i wielu innych odkrywców też. Większość, jeśli nie prawie wszyscy artyści sceniczni, których podziwiamy i uznajemy za gwiazdy, ma ADHD. To prawda, natomiast nie mogę nie zauważyć negatywów, które się z tym wiążą. (...) Osoby z ADHD według różnych danych żyją średnio 12 lat krócej. Według niektórych badań aż 70% żyje o 21 lat krócej.

Czy jest możliwe, aby oddzielić to, co w nas adehadowe, od tego, co nie jest? Czy to tak płynne, że cechy ADHD stają się częścią naszej tożsamości?

– Filozoficzne pytanie, które dla wielu osób bywa źródłem cierpienia. Pacjenci pytają mnie: „Czy to możliwe, że ja się składam tylko z objawów ADHD i z nawyków, które próbują to niwelować? Czy jest coś we mnie poza ADHD?”. „Jest, tylko nie wie pan/pani o tym”, odpowiadam. „Chodzi o to, że całe życie jest temu podporządkowane i w tym momencie jest pan/pani chodzącym ADHD, szukającym dopaminy dzień i noc”. W zasadzie jedynym sposobem, żeby dowiedzieć się, które cechy są nasze, a za które odpowiada ADHD, jest rozpoczęcie farmakoterapii. To nie jest tak, że osoba z ADHD musi nie lubić swojego stanu i różnych swoich adehadowych cech. Wręcz przeciwnie. Ale dopiero, kiedy zaczniesz brać odpowiednie leki, będzie się mogła przekonać, jak to jest mieć brak objawów oraz stabilny poziom dopaminy.

Fragmenty książki Jarosława Józwiaka i Iwony Tarnowskiej-Ciosek *Z tego się nie wyrasta. Kompedium ADHD*, Groommedia, Warszawa 2024

Wiele osób z ADHD mówi, że czuje emocjonalną pustkę i że w ogóle ich nie obchodzi to, co inni o nich mówią.

poziomy energii, to lekarze uznają, że to depresja, która nawraca co jakiś czas. Bardzo często bywa także błędnie diagnozowane jako zaburzenia osobowości. Teoretycznie może nawet zostać pomyłone z niedoczynnością tarczycy i Hashimoto, gdzie funkcjonują okresy nadczynności i niedoczynności tarczycy. Inna sprawa, że jeszcze nigdy się nie spotkałem z taką pomyłką, choć w teorii jest to możliwe. (...)

Po co leczyć osoby z ADHD, jeśli im ze sobą dobrze?

– Ale im nie jest ze sobą dobrze. Osoby z ADHD mają pewne cechy, które sprawiają, że często nie funkcjonują dobrze w społeczeństwie.

Być może, gdyby społeczeństwo było bardziej otwarte, wszystkim żyłoby się lepiej.

– Zawsze trzeba patrzeć od strony człowieka. Osoba z ADHD często niestety źle radzi sobie w świecie, bo świat nie jest stworzony dla ludzi, którzy są w stanie robić wyjątknie

wiem, czy zupełnie by wyeliminowało, bo jak mam mało energii i nie jestem w stanie się zwlec z łóżka, żeby się umyć, i potrzebuję, żeby ktoś dał mi jakieś nie wiadomo jakie wyzwanie, żebym wstał, to trudno obyć się bez leków. To może skrajny przykład, ale na pewno nie taki rzadki. (...) Zgodnie z definicją ADHD to zaburzenie neurorozwojowe, natomiast przyznam, że moim zdaniem to nie wyczerpuje tematu. Istnieje tyle negatywów wynikających z ADHD, że w wielu przypadkach to naprawdę duży problem zdrowotny. Trzy najbardziej związane z ADHD problemy medyczne to alergie, padaczka i otyłość. Alergie to może być pikuś, ale padaczka i otyłość to zawsze poważna sprawa, która całkowicie zmienia zdrowie człowieka. Oprócz tego istnieje masa innych





WITOS



Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego w Warszawie zaprasza na wystawę „O Wincentym Witosie inaczej”. Oprócz zdjęć i dokumentów związanych z życiem i działalnością urodzonego w Wierchosławicach polityka prezentowany jest obszerny zbiór plakatów, druków ulotnych, karykatur prasowych, malowanych portretów oraz drewnianych figurek wykonanych przez artystów ludowych.

**Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego
Warszawa, al. Wilanowska 204**





NIE TYLKO NA POWAŻNIE



✉ Kłamał, kłamie i będzie kłamał

Lekki niesmak patriotyczny. Jakoś nic w historii naszej Ojczyzny nie chce być przejrzyste czyste. Na przykład wolność zdobyta po I wojnie światowej. Nasi walczyli po każdej stronie frontu. Czy wywalczyliśmy sobie tę wolność, czy to tylko przypadek i gra polityczna? Potem



ta wojna z bolszewikami... Poszliśmy na nich hen, aż w głąb ich terytorium. Skończyliśmy zaś zwycięstwem pod Warszawą. Również perypetie II wojny światowej: przegrana, ucieczka rządu i pozostawienie narodu

samopas. Gehenna czasów wojny, powstania – w getcie oraz warszawskie. Niewola, więzienia, obozy koncentracyjne. Straty ludzkie i materialne. Straty psychiczne. Powrót zesłańców u boku Armii Czerwonej, ale teraz robi się z nich zdrajców.

Nowa, powojenna rzeczywistość. Odbudowa państwa z użyciem nierzadko przemocy, ale nie można było inaczej. Ci wynoszeni na ołtarze „wyklęci” stanowili realne zagrożenie dla odradzającego się państwa. Nadzieja na III wojnę, wiara w wizję upadku bolszewickiej Rosji – to były mrzonki. Rzeczywistość skorygowała te oczekiwania. Świat się uspokajał po wojennym szaleństwie, niekoniecznie po myśli opozycyjnych wojskowych. Świat chciał odpocząć.

Następnie próba obalenia tzw. komunizmu: opozycja, ruchy robotniczego oporu. Słynny KOR, jak pamiętam grupa otoczona nimbem wielkiej siły i oporu. Jednak

według mnie więcej było działaczy KOR niż obronionych robotników. Wśród załóg robotniczych pozalegali się dziwni ludzie. Robotnicy znikąd. Wszyscy wyczuwali, że przy nich mówić należy tylko o bzdurach. Ot, marna gierka i jednych, i drugich.

Wreszcie słańbuteńka już „komuna” upadła. Jakoś tak bez wyraźnych szkód dla wszystkich. Ale zaczęły się dzieć różne dziwne rzeczy. Przejmowano sprytnie majątek narodowy. I to nie marne PGR-y czy inne cieniutkie zakłady, lecz duże i wartościowe przedsiębiorstwa. I przyrzyć się trzeba dokładnie, kto się stał beneficjentem tych przejęć za marny grosz. Przejęto wydawnictwa, spółdzielnie, banki czy inne instytucje dające pewne i łatwe zyski. Te, które nie rokowały przychodów, pozostawiono same sobie i w konsekwencji poupadały pod naporem konkurencji z Zachodu.

Cóż to za argument, że jeden czy drugi pan, który pasie się teraz za nasze, był działaczem jakiejś grupy stawiającej opór komunistycznym władzom i bronił uciemiężonych! Był szlachetny, a teraz się zdewalował? Nie wspomniatem jeszcze o stanie wojennym. Pozamykani za kratkami żyli sobie dosyć spokojnie – zostały przecież fotografie tych „uwięzionych” na spacerniaku. Pan Lech mówił, że nie pamięta dokładnie, czy w Arłamowie miał wygodne łóżko...

Nic szlachetnie czystego.

Tadeusz Żyła

✉ Weźmy się i zróbcie

Lewica ma to do siebie, że co jakiś czas przechodzi do kolejnego etapu i zmienia ideologię na zupełnie przeciwieństwo dotychczas obowiązującej. Dziś prywatyzacja i gospodarka wolnorynkowa, wczoraj jedyną słuszną była gospodarka uspołeczniona i kolektywizacja. O covidzie po 24 lutego 2022 r. po prostu przestano pisać. I funkcjonariusze aparatu propagandowego nie zadają pytań, co robić z paszportami covidowymi czy maseczkami. Nie ma tematu.

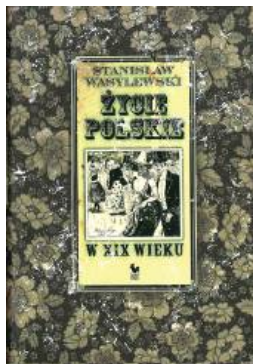
Donald Tusk też postępuje zgodnie z wyżej opisaną zasadą. Wczorajsi uchodźcy, prześladowani przez pisowski reżim, nagle stają się nielegalnymi imigrantami, atakującymi polską granicę. Oznacza to wejście w nowy etap. Ludzie o gołębih sercach i ptasich rozumach, którzy szczerze uwierzyli w męczeństwo uchodźców (?!), zdumieni są nagłą zmianą narracji. Nie rozumieją istoty lewicowych ideologii, nie pojmują, że byli tylko narzędziem, które stało się niepotrzebne na obecnym etapie. Jak w rolnictwie. W czasach kombajnów niepotrzebne są cepy. W roku 2019 Grete Schwardzką wynoszono pod niebiosa, postawiono na kazalnicy w ONZ i przywódcą państw nakazano słuchać, jak gromy w nich ciska niczym Zeus, który z góry Olimp Greków piorunami raził, gdy mu humor nie dopisywał. Dzisiaj jest krytykowana i przepędzana przez policję. Bo nie słucha tych, którzy ją stworzyli, nie pojmują mądrości etapu.

Grzegorz Kotyński

KSIAŻKI

Stanisław Wasylewski
Życie polskie w XIX wieku
Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2024

Stanisław Wasylewski (1885-1953), autor kilkunastu książek, setek felietonów, artykułów prasowych i słuchowisk, był publicystą oraz utalentowanym popularyzatorem historii. Sympatię czytelników zaskarbił sobie barwnym stylem, a także darem wyszukiwania intrygujących faktów i ciekawostek. Opublikowane dopiero po jego śmierci „Życie polskie...” stanowi sumę wieloletnich badań nad dziejami polskiej kultury i obyczajów w XIX stulecie. Wasylewski komentuje wydarzenia, umiejętnie wykorzystując relacje autorów ówczesnie żyjących, opisuje miejsca i ludzi, by pokazać specyfikę, kierunki rozwoju umysłowego i politycznego, a także obyczajowość życia na podzielonych ziemiach polskich tego okresu. Zajmują go wielkie osobowości, ale i mniej znani twórcy. Pisze zarówno o polityce, jak i o literaturze, sztuce, muzyce, teatrze, zwyczajach, pożywieniu i ubiorach. Wydanie zostało uzupełnione o wstęp Janusza Tazbira, posłowie Stanisława Sławomira Niciei oraz o obszerną bibliografię i materiał ilustracyjny.



Główni wrogowie pana prezydenta

Zapytał nas jeden z czytelników, o co chodzi z Konferencją Ambasadorów. Co to za ciało i czym się zastrzyżyło, że prezydent Duda stawia jego członków w jednym szeregu z absolwentami MGIMO, czyli w gronie największych wrogów. Ba, uznawani są za jeszcze gorszych, bo absolwenci MGIMO, gdy byli za PiS wyrzucani z MSZ, mogli iść do pracy do MSW (Mariusza Kamińskiego), oni zaś – już nigdzie. A teraz Andrzej Duda oficjalnie ogłosił, że nikomu z Konferencji Ambasadorów nominacji ambasadorskiej nie podpisze.

„Nie zobaczymy mojego podpisu pod nikim, kto należał do tzw. Konferencji Ambasadorów, bo dla mnie ci ludzie wielokrotnie kompromitowali Polskę i są niegodni tytułów ambasadorów, niegodni są tego, by reprezentować Polskę”, mówił w wywiadzie dla TV Republika.

To puste groźby. Po pierwsze, Duda nikomu nominacji nie podpisuje, w związku z tym, czy ktoś jest z KA, czy nie jest, nie ma znaczenia, wszyscy kandydaci Sikorskiego na stanowiska ambasadorów są w tej mierze zrównani. Po drugie, te groźby mają termin przydatności – i jest on coraz krótszy, kadencja obecnego prezydenta upływa 5 sierpnia 2025 r.

Ale ciekawsze w tym wszystkim jest coś innego. Skąd ta niechęć ludzi PiS? Skąd te opinie, że ambasadorowie z KA „kompromitowali” Polskę? Skąd te słowa?

Sprawdźmy. Konferencja Ambasadorów grupuje 38 byłych ambasadorów, niejeden pełnił też wysokie funkcje ministerialne w centrali. Nie ma sensu po kolei ich wymieniać, strona internetowa KA działa, każdy chcący ich nazwiska odnajdzie. Ważne jest to, że choć

zaczynali pracę w różnym czasie, jedni w Polsce Ludowej, drudzy w III RP, w trakcie kariery zawsze byli przez kolejnych ministrów wyróżniani.

Potem, gdy przyszło PiS, część odeszła na emeryturę, innych PiS się pozbyło, łącząc ich przy tym, nazywając „zaciągami Geremka”. Skrzyknęli się więc w roku 2018 i zaczęli przygotowywać krytyczne wobec polityki zagranicznej PiS analizy. W ten sposób naprzeciw PiS stanęła grupa fachowców, bardzo kompetentnych, doświadczonych, która punktowała politykę zagraniczną partii rządzącej. No... W MSZ ich raporty były oczywiście czytane. Z komentarzem, że za łagodne. Ech, nie wymagajmy od dyplomatów języka postów i senatorów. W każdym razie PiS ich znienawidziło, że śmieli się odzywać.

Jest jeszcze jeden powód tej nienawiści – ta cała pisowska ekipa, która przyszła do MSZ, wiceministrowie, różni wspomagacze rozlokowani w gabinecie politycznym, pan od kadry, to było grono dyletantów, nigdy wcześniej w MSZ niepracujących. Dla nich przewodnikami w tej instytucji byli tacy ludzie jak Andrzej Papierz czy Andrzej Jasionowski, trzeci szereg, który chciał się odgrywać. Ci zaś, którzy lata całe spędzili w machinie dyplomatycznej, byli tajemniczy i obcy i z założenia budzili wrogość. Stąd te inwektywy, szukanie łałek, by lepszych od siebie ściągnąć w dół.

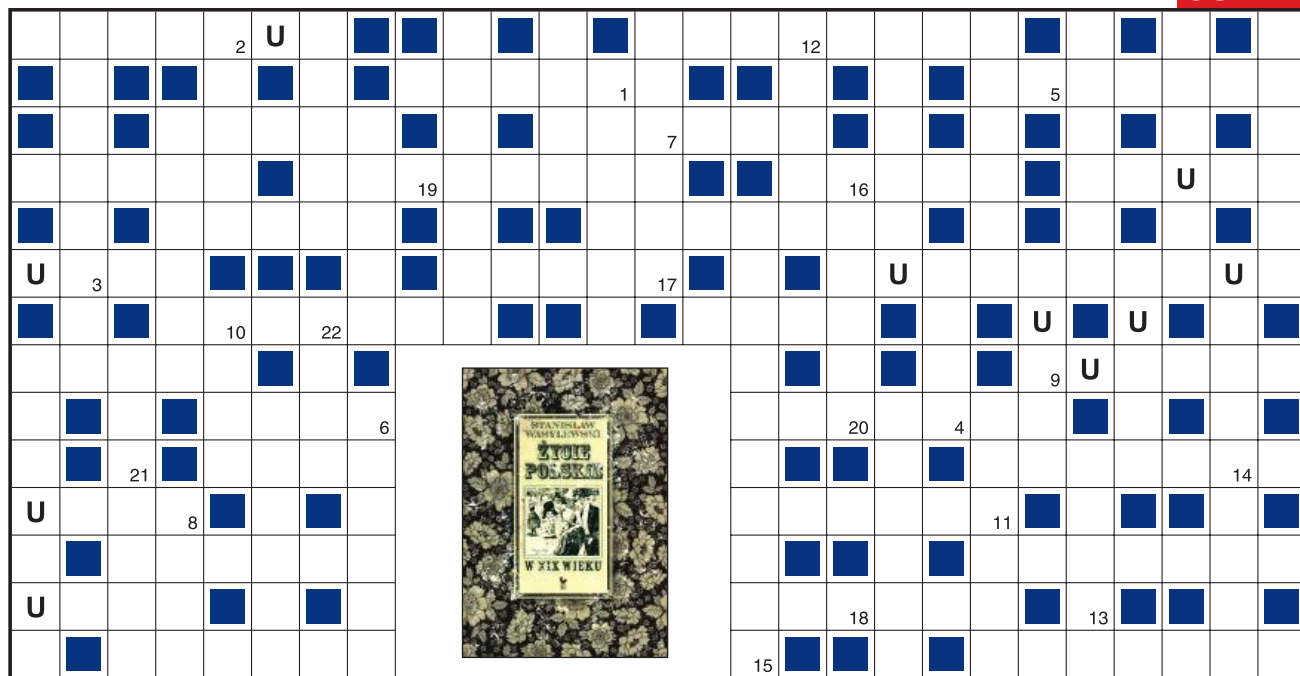
Ten spór, stary jak MSZ, chłopaków z politycznego awansu ze starymi MSZ-owcami, trząśł gmachem przez cały okres PiS. A teraz obserwujemy jego konwulsje w formie głupot wypowiedzianych przez pana prezydenta Dudę.

Dużo mu tego gadania nie zostało.

Attaché

Troje astronautów, (od lewej) Wang Haoze, Song Lingdong i Cai Xuzhe, przed odlotem na chińską stację Tiangong, gdzie będą prowadzić eksperymenty w ramach programu budowy do 2030 r. bazy na Księżycu. 30 października 2024 r.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery U ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- imię ministra Bodnara
- miął wrócić na białym koniu
- i słuchacze, i sala wykładowa
- pierwiastek o symbolu N
- stolica Adżarii
- tytułowi robotnicy z wiersza Przybosia
- o słynnej śpiewaczce
- trzeba je spłacać

- kłody z otworami na ręce i nogi więźnia
- tarcza wykuta przez Hefajstosa
- imię piosenkarza Ramazzottiego
- na niej występy artystyczne
- intensywne popieranie lub pokonywanie przeszkody
- wielka mała z Afryki

- narzędzie do piaskownicy i ogródka
- zbrojne wtargnięcie, masowy napływ
- Włochy inaczej
- kierunek w sztuce od Komitetu Paryskiego
- ważny dla artystów Zwornika, Jednoroga
- wygoda z dostatkami i elegancją
- zestawione przeciwieństwa
- noszone łóżce z baldachimem
- grube kłuski z twarogu
- stare, zniszczone ubranie
- Pankiewicz lub Eibisch
- bóstwo Indian północnoamerykańskich
- makowa do ciasta, solna na ozdoby
- warczący mechanizm
- boiskowa trawa

- młode pokolenie w stawie hodowlanym
- ogniowa – krótkotrwały, silny ostrzał
- jego modele to Juke, Qashqai
- zieleń wśród gorących piasków
- boczne skrzydło kamienicy
- w jednym mieście z Budą
- ruch taśmy filmowej, elementu maszyny
- wyścigi między bojami
- potrzebna do tracheotomii
- Błękitny z kreskówki z Bielska-Białej
- akrobacyjny przewrót przez głowę
- jedna z wielu podobnych części
- wycinek widowni na stadionie
- bez ładu i niego
- wątpliwość natury moralnej
- mowa środowiskowa, np. młodzieżowa

- Nitras lub Sierakowski
- o parze małżeńskiej
- gałgan do podłogi
- z rubryczkami do wypełnienia
- wózek na działkę, budowę
- kłab czegoś lotnego
- igielne lub nadstawiane
- uszkodzenie tkanek, kontuzja
- ułatwia kierowanie koniem
- zespół nawiniętych przewodów elektrycznych
- do odtwarzania filmów z kaset
- energia, żywiość
- napitek mocniejszy od piwka
- monolog naukowca do studentów
- po tym wyczynnie można mieć kłopoty
- stać na niej – przeszkadzać
- budynku, ustroju lub drzew

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

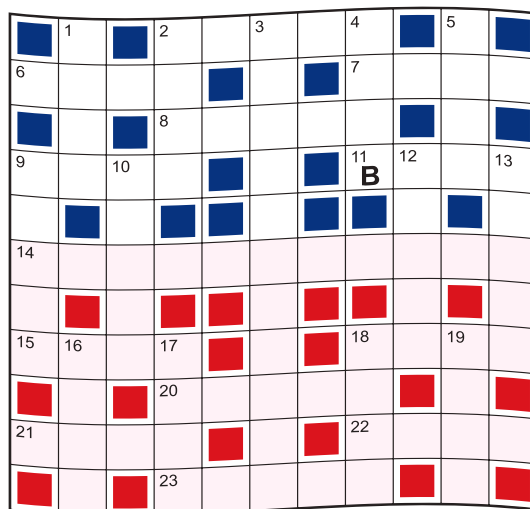
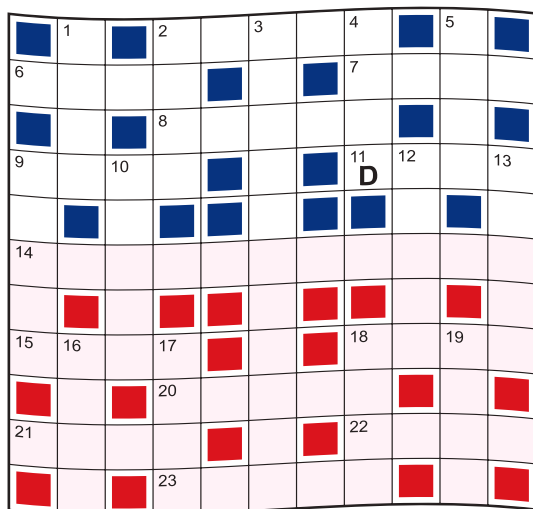
data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1194”. Do rozlosowania książki „Życie polskie w XIX wieku” ufundowane przez Wydawnictwo Iskry. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 11 listopada 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1191” z nr. 42: *Diabeł diablem pozostanie*. Nagrody otrzymują: Andrzej Bas z Krakowa, Józef Hałas z Białobrzegów, Zdzisław Kowalski z Kielc.

Objaśnienia zostały podane pod wspólnym oznaczeniem. Zdecyduj, do którego diagramu wpisać odgadnięte słowo.



Poziomo:

- 2) na niego – już i koniecznie ■ długowłosa w komunie
6) Stefczyka lub biletowa ■ kwartet minus jeden
7) dobre – renoma, część ■ klub z Madrytu
8) dąsy, grymasy ■ plisa, zagięcie
9) miele nim gaduła ■ Samuel, twórca rewolweru
11) zwierz pokryty szczecinią ■ regulowana pęseta
14) ograniczanie, redukowanie ■ recepcja w przychodni
15) z wodorem w wodzie ■ umiejętność zachowania się
18) maniera lub pozycja ■ za Saturnem, przed Neptunem
20) mebel na książki ■ imię Axera
21) dymi nad Sycylią ■ bywa ośli, maniakałny
22) bardzo śmieszna sytuacja ■ bożyszcze
23) sen mara, Bóg... ■ usypisko żwiru w żlebie

Pionowo:

- 1) ciężki, zimnokrwisty koń ■ wakacyjna pora
2) wafel z ciasta naleśnikowego ■ wyszyty ornament
3) z 500 ml wódki ■ dziedzina Indiany Jonesa
4) skrzyżnego pies nie wykona ■ koło zębate lub procedura
5) ta pasta but ożywi ■ informacje na dysku
9) warstwa ochronna kabla ■ monarchiczny ustrój w Rosji
10) wodze ■ achteł
12) skrzyżowanie z wysepką ■ składacz tekstu w drukarni
13) Eiffa w Paryżu ■ cyrkowy komik
16) szkło powiększające ■ nazywane gablotą
17) do wchodzenia na statek ■ kulszowy lub błędny
18) personalna poprzez władzę ■ narzędzie z lemiuszem
19) halda, przyzma ■ cząstka z jądrem i elektronami

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

4								
8	7		3	4	9			2
		2	5	1		9		
3	8		6		7			
				5	4	3		
1	4		8			6		
						2	6	
	2	6		3	1			
			6	2		3		7

ŚREDNIE

			6	3	1	5		
	1	2		5		9	7	
5				9				
8	5			7		4		
	3	1			8	6	9	
4				3	1		7	
3			9		7		1	
	6							
			3				5	

TRUDNE

2	3			9				
5		6	3					
		7	6	4	2			
1	9					7	2	
				7				
		4		2			9	
7					1	9		3
6				8	3	5		
						6		

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – to myśli, której autorem jest Solon.

ROZWIĄZANIA
WYKONANE PRZEZ
TWAŁĄ KONTAKTOWĄ
UWAGA: WYKONANE PRZEZ



PENETRACJE



JOLANTA KWAŚNIEWSKA,
BYŁA PIERWSZA DAMA RP

Z Kongresem Kobiet, który był pomyślany, żeby wzmacniać i wspierać kobiety, związane są wielkie nazwiska, którym niestety przyzwoitości zabrakło. To jest wycineczek niefajnych rzeczy, które się przy okazji działy. Zawsze miałam umiejętność rozmawiania z kobietami. Podczas pierwszej edycji miałam bardzo polityczne wystąpienie, bo chciałam namawiać kobiety, żeby były bardziej aktywne w polityce, żeby sięgały po więcej, wspiwały się po szczeblach kariery, nie odpuszczały. (...) To jest dla mnie zamknięty rozdział. Zrozumiałam, że nie ma tam dla mnie miejsca i że nie potrzebuję tej wielkiej maszyny Kongresu Kobiet, żeby mówić o rzeczach dla mnie ważnych. Przede wszystkim jednak nie chcę mieć wokół siebie wampirów energetycznych. Chcę pracować z ludźmi, którzy myślą podobnie do mnie. Nie chcę być w nieszczerym, jakimś udawanym układzie.



STEFAN ZGLICZYŃSKI,
DYREKTOR PUBLIKACJI

Prezydent Duda, premier, ministra edukacji, ministrowie kultury, kolejni pisowscy szefowie IPN i innych instytucji historycznych zrobili wszystko, aby zrehabilitować morderców Żydów – składano wieńce na grobach faszystowskich kolaborantów, stawiano pomniki antysemitom, fundowano tablice pamiątkowe mordercom żydowskich ocalańców, wydawano monografie ku czci bandytów pacyfikujących wioski białoruskie i ukraińskie. Mimo setek poważnych prac naukowych – takich jak np. prace Mirosława Tryczyka – według badań opinii publicznej większość Polaków uważa, że to Polacy cierpieli w czasie II wojny światowej bardziej niż Żydzi, a większość w ogóle nie dopuszcza do siebie myśli o współudziale Polaków w Holokauście.



WALDEMAR KULEJ,
NAUCZYCIEL I TRENER BOKSU

Tata nigdy nikomu nie chciał pokazać słabości, zawsze był fantastycznym aktorem, nawet jak było ciężko, mówił: „Dam sobie radę”. Może to też pomogło mu odnieść sukces w ringu, nawet w Meksyku po ciosie, który go zamroczył, wytrzymał, uśmiechnął się i dalej walczył. A przez moment w ogóle nie widział przeciwnika, tylko czarną plamę. I udało mu się, wygrał 3:2.

Rodzice często robili domówki, wtedy mówiło się: prywatki. Pamiętam np. urodziny mamy. Wszyscy już byli, czekaliśmy na Władka Komara. W pewnym momencie dzwonek, wszyscy już lekko podchmieni, mama, roześmiana, podchodzi otworzyć i widzi tylko gigantyczny bukiet róż, taki, który się nie mieści w drzwiach, a dopiero zza niego wychyla się Władek. To był piękny moment. Takich imprez było mnóstwo. Ja w swoim pokoiku, a w drugim pokoju goście, więc raczej nie spałem zbyt głęboko, czasem towarzystwo balowało do 4 czy 5 rano. Ale to zwykle było w sobotę, potem w niedzielę odsypialiśmy.



PAWEŁ DOMAGAŁA,
AKTOR, WOKALISTA

Nauczyciele i rodzice widzieli wartość w pasji, z jaką zajmowałam się muzyką i teatrem. Myślę, że byłem bardzo przekonujący, uparty i konsekwentny. Wcześniej odkryłem, że pasja może być przepustką do niezależności. Trzymam się tego do dziś. Z kalkulowaniem, co mi po drodze. Na studiach odmówiłem roli w filmie, po przeczytaniu scenariusza powiedziałem, że to raczej nie będzie dobry film, ale życzę powodzenia. To był znany producent. Potem kilka lat nie miałem ofert. Czy to była niezależność? A może brawura albo głupota?

L	H	P	I	S	K	F	G	W	A	L	T	D
K	A	S	A	Ó	I	M	I	E	T	R	I	O
T	F	A	L	D	A	W	Y	F	O	C	H	Y
C	O	L	T	L	D	Z	I	K	O	Z	Ó	R
A	E	I	E	L	P	S	E	O	I			
R	E	J	E	S	T	R	A	C	J	A	L	I
A	C	R	E	U	O	A	L	D	Z			
T	L	E	N	Ó	U	R	A	N	T	A	K	T
U	E	R	W	I	N	T	U	R	E	G	A	L
U	P	Ó	R	K	I	D	O	L	E	T	N	A
A	W	I	A	R	A	M	O	P	I	A	R	G

ŁATWE

4	1	9	2	7	6	5	8	3
8	7	5	3	4	9	6	1	2
6	3	2	5	1	8	9	7	4
3	9	8	4	6	2	7	5	1
2	6	7	1	9	5	4	3	8
1	5	4	7	8	3	2	6	9
9	4	3	8	5	7	1	2	6
7	2	6	9	3	1	8	4	5
5	8	1	6	2	4	3	9	7

ŚREDNIE

9	7	8	6	3	1	5	2	4
6	1	2	8	5	4	9	7	3
5	4	3	7	9	2	8	6	1
8	5	6	1	7	9	4	3	2
7	3	1	4	2	8	6	9	5
4	2	9	5	6	3	1	8	7
3	8	5	9	4	7	2	1	6
1	6	7	2	8	5	3	4	9
2	9	4	3	1	6	7	5	8

TRUDNE

2	3	1	7	9	5	4	6	8
5	4	6	3	1	8	2	7	9
9	8	7	6	4	2	3	5	1
1	9	5	8	3	4	7	2	6
8	6	2	9	5	7	1	3	4
3	7	4	1	2	6	8	9	5
7	5	8	2	6	1	9	4	3
6	2	9	4	8	3	5	1	7
4	1	3	5	7	9	6	8	2

SZCZĘŚLIWE SĄ PAŃSTWA, W KTÓRYCH KAŻDY UWAŻA KRZYWDY,
JAKICH DOZNAJĄ INNI, ZA WŁASNE.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji:
Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz,
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek,
Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,
Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,
Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,
Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyszyn
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Aby język giętki...

PROF. MIROSLAWA MARODY

O WYPROWADZANIU PRZES PIS PIENIĘDZY

Miały służyć jako dom spokojnej starości dla członków partii, a właściwie dom spokojnego przeczekań do powrotu do władzy.

LECH MAŻEWSKI O UKRAINIE

Prezydent Zełenski to coraz bardziej nietrybny petent, utrudniający znalezienie rozwiązania toczącej się globalnej rozgrywki politycznej.

PROF. ADAM BODNAR O SĄDACH

Celem była budowa podczas trzeciej kadencji systemu orbánowskiego. Osoby, które kolaborowały z tą władzą, myślały, że to będzie trwało wiecznie.

AGNIESZKA HOLLAND

O ŚRODOWISKU FILMOWCÓW

Wolność i pieniądze to jest to, czego potrzebujemy najbardziej.

MAGDALENA CIELECKA O PIENIĄDZACH

Nie wstydę się, że zarabiam pieniądze. Seriale dają wolność finansową. Popularność przekłada się na propozycje reklamowe. Kontrakty. W teatrze zarabia się w mikroskali, w kinie od czasu do czasu.

JAKUB GIERZAŁ O DZIKOŚCI

Zachwycamy się dziką naturą, ale jak jej się bliżej przyjrzeć, to zobaczymy, jaka jest brutalna i bezwzględna.

ANIA RUSOWICZ O ROZWODZIE

Zdrada to krzywda, na którą nie wolno się zgadzać.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WKBKPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Zofia Błażko

PIĘKNO MELANCHOLII

Zofia Błażko (ur. w 1986 r. w Gdyni) ukończyła Wydział Malarstwa ASP w Gdańsku. Zafascynowana życiem i twórczością malarzy francuskich, po zakończeniu nauki wyjechała do Paryża, gdzie przebywała na rezydencji artystycznej. W poszukiwaniu inspiracji wyjeżdżała też na rezydencje do Dakaru, Pekinu i Sankt Petersburga. Mimo młodego wieku jest rozpoznawalna na arenie światowej. W pracach, czerpiąc z tradycji mistrzów renesansu, łączy klasyczny ideał piękna z nowoczesnymi akcentami, kontrastuje wyraziste, niemal komiksowe formy z zamyśleniem i wewnętrznym spokojem bohaterek obrazów.

Alicja



Salon Goldenmark w Gdańsku
ul. Rajska 8
do 29 listopada



Ksenia



Marta





UKRAÏNA!

9. FESTIWAL FILMOWY

01-17.11.2024 r. | online na platformie MEGOGO.PL

21.10-15.12.2024 r. | repliki festiwalu

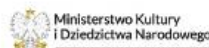
Białystok · Łódź · Gdynia · Gliwice · Gorzów Wielkopolski · Kraków · Lublin · Płock · Poznań · Szczecin · Toruń · Wrocław

 [ukrainaff](#)  [ukrainaff](#)  [Ukraina! Festiwal Filmowy](#) www.ukrainaff.com

ORGANIZATOR



WSPÓŁFINANSOWANIE



eprasa.pl 41d5953032



74

Internationale
Filmfestspiele
Berlin

Nagroda FIPRESCI

MOJE ULUBIONE CIASTO

czyli pyszny filmowy
kawalek życia!

REŻYSERIA MARYAM MOGHADDAM, BEHTASH SANAEIHA

W KINACH OD 8 LISTOPADA

